

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

# Pro Libris

Nr 3 (28) Zielona Góra 2009

ISSN 1642-5995

Nr indeksu 370754



Eseje

Wiersze

Proza

Szkice krytyczne

Sztuka



*Zrealizowano w ramach Programu Operacyjnego Promocja Czytelnictwa  
ogłoszonego przez Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego*

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne

**Pro Libris**

Lubuskie Pismo Literacko-Kulturalne  
Pro Libris nr 3(28) - 2009

W numerze wykorzystano reprodukcje prac prezentowanych w scenie „Awangarda”  
wystawy „My, berlińscy. Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa”  
(Stadtmuseum/Ephraim Palais Berlin, 20.03-14.06.2009)  
oraz reprodukcje prac Margarete (MK) i Stanisława (SK) Kubickich  
z książki Lidii Głuchowskiej „Avantgarde und Liebe. Margarete und Stanisław Kubicki 1910-1945”, Berlin 2007.  
MK na s.: 10, 39, 40, 41, 48, 131; SK: pozostałe  
Diapozytywy udostępniono dzięki uprzejmości prof. S. Karola Kubickiego z Berlina.

Copyright by  
Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. C. Norwida, Zielona Góra 2009

Redaktor naczelny  
*Sławomir Kufel*

Zastępca redaktora naczelnego  
*Grzegorz Gorzechowski*

Redaktor graficzny  
*Magdalena Gryśka*

Sekretarz redakcji  
*Ewa Mielczarek*

Korekta:  
*Ewa Mielczarek, Joanna Wawryk*

Członkowie redakcji:  
*Ewa Andrzejewska, Anita Kucharska-Dziedzic, Czesław Sobkowiak, Maria Wasik, Grażyna Zwolińska*

Stali współpracownicy:  
*Krystyna Kamińska, Tomasz Mróz, Ireneusz K. Szmidt, Andrzej K. Waśkiewicz, Jacek Wesółowski*

Fotografie:  
*Thomas Bruhn, Reinhardt Friedrich, Lidia Głuchowska, Jonatan Kurzwelly, Anna Kuzio-Weber,  
Marek Lalko, Marcel Mettelsiefen, Friedrich Paulmann, Magdalena Poradzisz-Cincio, Ewa Maria Slaska, Uli Winkler*

Wydawca  
*Pro Libris - Wydawnictwo Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Cypriana Norwida,  
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra*

Skład komputerowy  
*Firma Reklamowa GRAF MEDIA, tel. 068 451 72 78*

Druk i oprawa  
*Drukarnia FILIP*

Nakład – 350 egz.

ISSN 1642-5995  
Nr indeksu 370754

---

Adres Redakcji:  
WiMBP im. Cypriana Norwida w Zielonej Górze,  
al. Wojska Polskiego 9, 65-077 Zielona Góra (z dopiskiem Pro Libris);  
e-mail: [Prolibris@wimbp.zgora.pl](mailto:Prolibris@wimbp.zgora.pl)  
<http://www.wimbp.zgora.pl>

# Od redakcji

Z elitarnością jest trochę tak, jak z kosmitami. No niby wszyscy wiedzą, że są; wielu widziało, tylko nie do końca wie, co; inni wątpią, a jeszcze inni wierzą – ot i całe zamieszanie. Tymczasem elita to rzecz bezcenna. Tylko dzięki niej mamy punkt odniesienia, tylko dzięki niej możemy powiedzieć, co jest wartościowe, a co nie.

Wydało się nam korzystne o elitach, osobliwie lubuskich, poopowiadać. Czytelnik znajdzie różne opinie – sięgające w głąb i te poruszające się raczej po powierzchni rzeczy. Wszystkie są potrzebne, bo, przynajmniej, minione 60 lat jakieś elity na zamieszka-nych przez nas terenach wykształciło. Pozostaje pytanie o ich jakość i sposób funkcjonowania. Zapraszam do lektury przedstawionych na początku numeru wypowiedzi – a może i do polemiki, boć przecież polemista to też elita, myśląca i, Bogu dzięki, pisząca.

Obrodziło wierszami. Może to objaw jesieni, a może jakiegoś przebudzenia lubuskich twórców. To cieszy i zachęca do lektury – a jeśli się komuś nie podobają – niechaj chwyci pióro i z nami się podzieli swoimi uwagami. Wzbogaci w ten sposób dział recenzji i omówień, w którym coraz śmielej pojawiają się ludzie młodzi, wręcz debiutanci.

Plastyka jak zwykle stanęła na poziomie – tym razem prezentacja dotyczy twórczości Margarete i Stanisława Kubickiego, artystów europejskiego formatu, pięknie przedstawionych przez Lidę Głuchowską.

Wreszcie – pomyślmy jak komputer. Rozważania Marcina Sieńki odnieść można do wszystkich właściwie dziedzin współczesnego życia, bo staje się ono coraz bardziej wirtualne.

Załadujmy więc program „Pro Libris” i – do lektury. A gdy już znuży nas natłok informacji – zawsze możemy się zresetować...

**Sławomir Kufel**

Mit den Eliten ist es ein bisschen, wie mit den Außerirdischen. Denn alle scheinen zu glauben, da ist etwas dran, manche haben sie sogar gesehen, sind sich aber nicht ganz sicher, was es war, andere zweifeln, jene glauben vorbehaltlos. Dabei sind die Eliten an und für sich unschätzbar. Nur sie bilden Bezugspunkte, dank denen wir sagen können, was wertvoll ist, und was nicht.

Es schien uns lohnenswert, über die Eliten, zumal die Lebuser Eliten, ein bisschen zu plaudern. Der Leser findet hier unterschiedliche Meinungen – manche tiefgreifend, andere eher auf der Oberfläche bleibend. Wir brauchen sie alle, denn – es muss ausdrücklich gesagt werden – es haben sich doch in den letzten 60 Jahren bestimmte Eliten auf unseren Gebieten ausgebildet. Es bleibt nur die Frage nach deren Qualität und Funktionierung offen. Ich möchte Sie dazu auffordern, die zu Anfang dieser Ausgabe veröffentlichten Äußerungen zu lesen – und vielleicht auch mit ihnen zu polemisieren, denn Polemiker sind ja auch ein Teil der Elite, und zwar jener, Gott sei Dank, Schreibenden.

Wir verzeichnen einen guten Ertrag an Gedichten: Sei es der Herbst, sei es eine Art Aufwachen der Lebuser Künstler. Dies ist erfreulich und lädt zur Lektüre ein – und falls die Gedichte jemandem nicht gefallen sollen, dann möge er doch nach der Feder greifen und seine Anmerkungen mit uns teilen. Dadurch könnte er den Rezensions- und Besprechungsteil bereichern, in dem immer öfter junge Autoren auftauchen, manchmal gar Debütanten.

Die bildenden Künste halten ihr konstantes, hohes Niveau – diesmal zeigen wir die Werke von Margarete und Stanisław Kubicki, Künstler vom europäischen Format, wunderschön von Lidia Głuchowska ins Bild gebracht.

Und zu guter Letzt: Lassen wir uns wie ein Computer denken. Die Überlegungen von Marcin Sieńka kann man eigentlich auf alle Bereiche des heutigen Lebens erstrecken: es nimmt einen zunehmend virtuellen Charakter an.

Die Anwendung „Pro Libris” wird also geladen – machen wir uns an die Lektüre. Und wer von dem Überfluss an Informationen genug hat – der kann ja immer noch „Reset” drücken...

**Übersetzung von Grzegorz Kowalski**

# Spis treści

---

<b>ks. Andrzej Draguła</b> , Elita, czyli równiejsi .....	6
<b>Grażyna Zwolińska</b> , Czy można ufać elitom .....	11
<b>Alfred Siatecki</b> , Chodzony za politykami .....	15
<b>Marek Grewling</b> , Kapral King – czyli siła przewodnia .....	23
<b>Czesław Sobkowiak</b> , O elitach, czyli jak jest .....	25
<b>Anna Kwapisiewicz-Sevens</b> , Wiersze [ <i>Kwartet waltorniowy „In the Church”, Słyszeć obrazy (muzyka zimą), Wariacje na temat twarzy, Passionate historie d’eau albo Wniebowstąpienie</i> ] .....	28
„Muzyka jest moją pierwszą i ostatnią miłością”. Z Zakiem Tellem, liderem zespołu Clawfinger rozmawia Karol Graczyk .....	32
<b>Janusz Koniusz</b> , Wiersze [ <i>Mojżesz, Głaz, O kochankach z Werony, Droga</i> ] .....	34
<b>Stanisław Turowski</b> , W drodze ze stypy .....	38
<b>Paulina Korzeniewska</b> , Wiersze [ <i>***Niedawno zmarli..., ***(przyjaciółko), ***w trzypiętrowej kamienicy, bez tytułu</i> ] .....	40
<b>Jan Andrzej Fręś</b> , Jak osiedliłem się w Australii .....	44
<b>Marek Grewling</b> , Wiersze [ <i>Spacer po Saksonii, Limbus Araneae</i> ] .....	47
<b>Rafał Krzysiński</b> , Gołębiarz .....	49
<b>Viktoria Korb</b> , Od okowów związku do pułapek wolności (Von fesseln der Beziehung zu Fallen der Freiheit) .....	52
<b>Konrad Krakowiak</b> , Wiersze [ <i>***z ziarna, ***powracając, Nad szkicami Norwida, po drugiej stronie</i> ] .....	57
<b>Zbigniew Kozłowski</b> , Mistrz Ohtarza .....	61
<b>PREZENTACJE</b> .....	67
<b>Lidia Głuchowska</b> , Margarete i Stanisław Kubickcy – w kręgu polskiej i niemieckiej awangardy (Margarete und Stanislaw Kubicki - im Kreise polnischer und deutscher Avantgarde) .....	67
<i>Worek cukru, czyli o awangardzie i nie tylko artystycznych cudach współpracy polsko-niemieckiej.</i> Z profesorem S. Karolem Kubickim rozmawia dr Lidia Głuchowska ( <i>Ein Sack Zucker. Über die Avantgarde und die nicht nur künstlerischen Wunder der deutsch-polnischen Zusammenarbeit.</i> Mit Professor S. Karol Kubicki, spricht Dr. Lidia Głuchowska) .....	70
<b>Karol Graczyk</b> , Wiersze [ <i>Drgania, Helmut Newton wychodzi na łowy, Dźwięk zamka w namiocie, Brakujące centymetry</i> ] .....	82
<b>KRAJOBRAZY LUBUSKIE</b> .....	86
<b>Magdalena Poradzisz-Cincio</b> , Krosno Odrzańskie – szkice z dziejów i kultury miasta (Krossen an der Oder – Skizzen aus der Geschichte und Kultur der Stadt) .....	86

---

<b>VARIA</b> .....	96
<b>Marcin Sieńko</b> , Myśleć jak komputer – o wpływie mediów elektronicznych na strategie poznawcze .....	96
<b>Ewa Maria Slaska</b> , Mors porta vitae. Polskie groby w Berlinie. Część I. Berlińskie cmentarze .....	100
<b>Michael Kurzweilly</b> , Mediateka Słubfurcka (Die Słubfurter Mediathek) .....	109
<b>RECENZJE I OMÓWIENIA</b> .....	113
Maria i Odys	
Maria Miłek, <i>Maszt Odysa</i> ( <b>Urszula M. Benka</b> ) .....	113
Poezja Pluszki	
Adam Pluszka, <i>Z prawa z lewa</i> , wiersze ( <b>Karol Graczyk</b> ) .....	115
Niezwykły album	
Helmut Newton, <i>Work</i> ( <b>Karol Graczyk</b> ) .....	116
Widzimi się, czyli <i>demiurg simulacrum</i>	
Jerzy Suchanek, <i>Widzimi się</i> ( <b>Beata Patrycja Klary</b> ) .....	116
Eseje o Śląsku	
Wojciech Kunicki, <i>Śląsk. Rzeczywistości wyobrażone</i> ( <b>Dorota Cygan</b> ) .....	118
W świecie Aborygenów	
Mateusz Marczewski, <i>Niewidzialni</i> ( <b>Janusz Koniusz</b> ) .....	120
Potwierdzenie drogi	
Władysław Łazuka, <i>Noc – podróż i inne wiersze</i> ( <b>Czesław Sobkowiak</b> ) .....	122
Wiersze z miłości	
Anna Żłobińska, <i>Stąpanie po szkle</i> ( <b>Czesław Sobkowiak</b> ) .....	123
Opowiadania niejednoznaczne	
Paweł Huelle, <i>Opowieści chłodnego morza</i> ( <b>Agnieszka Szpylma</b> ) .....	124
Czar tajemnic	
Ian R. MacLeod, <i>Wieki światła</i> ( <b>Magdalena Stolarska</b> ) .....	126
Niebieski azyl. Rytmy Magdaleny Gryski	
<i>Błękitna melancholia</i> , wystawa w Galerii Wieża Ciśnień ( <b>Anna Dragan</b> ) .....	127
<b>KRONIKA LUBUSKA</b> .....	128
<b>KSIĄŻKI NADEŚLANE</b> .....	132
<b>AUTORZY NUMERU</b> .....	133

# Elita, czyli równiejsi

Kiedy myślę o elicie, natychmiast przychodzi mi do głowy cytata z *Folwarku zwierzęcego* G. Orwella: „Wszystkie zwierzęta są sobie równe, ale niektóre są równiejsze od innych”. Mam wrażenie, że ten cytat dobrze oddaje sytuację elit w społeczeństwie demokratycznym. Od czasów rewolucji francuskiej, która głosiła przeciw *égalité*, czyli równość, wszelka elitarność wydaje się antydemokratyczna. Jednocześnie jednak w społeczeństwie demokratycznym każdy ma prawo do zostania elitą. Przecież – przynajmniej teoretycznie – w demokracji każdy może stać się kimś. Ostatecznie jednak o elicie wcale nie decydują jej członkowie, tylko ci, którzy ją wybierają, bo przecież elita, to – etymologicznie rzecz ujmując – zgromadzenie ludzi wybranych.

Definicja słownikowa mówi, że elita to „wyodrębniona, niekoniecznie sformalizowana, grupa przywódcza, stanowiąca wzór dla reszty społeczeństwa, kierująca jego życiem i określająca lub przynajmniej wpływająca na kierunek jego rozwoju”. Ale elita to nie jest jednorodna formacja. Członkiem elity można stać się w bardzo różny sposób: przez urodzenie, pieniądze, posiadane relacje, pełnioną funkcję polityczną, osiągnięcia w danej dziedzinie czy zasługi dla społeczeństwa. Wszystko to może dać przekonanie przynależności do elity – kręgu osób, które dzięki pewnym obiektywnym uwarunkowaniom wyróżniają się od reszty społeczeństwa. Tak powstają elity polityczne, zawodowe, intelektualne, sportowe, gospodarcze, wojskowe, kościelne czy elity w show businessie. Ale jest jeszcze coś, co nazywane bywa elitą godności – to grupa ludzi wyróżnianych przez

ogół czy większość społeczeństwa, ludzi cieszących się powszechnym szacunkiem, często większym niż inni autorytetem. Członkowie tej elity rekrutować się mogą z każdej grupy społecznej, jeśli tylko zdołają przekonać do siebie pozostałych.

## Requiem dla inteligencji

Punktem odniesienia do dyskusji na temat tzw. elity godności pozostaje w Polsce kwestia istnienia grupy społecznej, zwanej inteligencją oraz związanego z nią etosu inteligenckiego. Jako warstwa społeczna, inteligencja wykształciła się w Polsce w drugiej połowie XIX stulecia, a za jej złoty wiek należy uznać międzywojnie. Podstawową cechą wyróżniającą tę formację społeczną był wykonywany zawód, dlatego do inteligencji zaliczali się nauczyciele, lekarze, prawnicy, artyści, inżynierowie, a z czasem także urzędnicy. Wszyscy oni żyli z pracy umysłowej, co zasadniczo wymagało posiadania wyższego wykształcenia. Elita inteligencka nie była jednak jedynie grupą ludzi wykształconych, cechowała się także innym istotnym wyznacznikiem – żyła przekonaniem posiadania misji dziejowej. „Była to część elity, która bezinteresownie myślała o całości sprawy polskiej. Sprawę tę czyniła żywotną i prezentowała ją wobec całego społeczeństwa i świata” – jak pisze J. Chałasiński w *Společnej genealogii inteligencji polskiej*. Etos inteligencki cechował się bezinteresownością służby społecznej i narodowej. Swą społeczną rolę inteligencja odgrywała zwłaszcza wobec warstw mniej zamożnych i mniej – jak to się mówiło – oświeconych.



W pierwszym numerze „Krytyki Politycznej” prof. Marian Kula bardzo krytycznie odniósł się do roli i znaczenia inteligencji i etosu inteligentnego. W jego przekonaniu w dyskusji na ten temat dochodzi do istotnego zmitologizowania formacji inteligentnej. „Zalóżmy – pisze M. Kula – że wiemy (choć wcale to nie jest pewne), co znaczy ten etos inteligencji. Myślmy o nim, gdy patrzymy na tę grupę przez pryzmat walk, spisków, szlachetnych zachowań”. W takich jednak działaniach – zauważa trzeźwo M. Kula – zwłaszcza poza momentami kryzysowymi, brała udział jedynie niewielka część warstwy. W zwyczajnych warunkach „ludzie w większości też byli (i są) zwyczajni”. Wydaje się, że teza prof. Kuli jedynie potwierdza przekonanie, że inteligencja jako warstwa społeczna niekoniecznie jest tożsama z inteligencją jako elitą społeczną. W czasach PRL-u inteligencja oznaczała już tylko – nie zawsze lepsze – pochodzenie.

Etos inteligentki odżył na krótko w latach zrywu Solidarności, gdy inteligencja przyszła w sukurs robotnikom. Ten społeczny mariaż inteligentko-robotniczy nie trwał jednak zbyt długo. Transformacja gospodarcza wymogła istnienie nowych elit. Jak twierdzi prof. Kula, jeśli kraj się będzie rozwijał, to inteligencja będzie zapewne „zanikać jako grupa wyodrębniona, przzerośnięta i o nadmiernym znaczeniu. Ludzie będą robić pieniądze zamiast myśleć o poezji i urzędzeniu idealnego świata. W pewnym sensie (choć tylko w pewnym!) można być nawet z tego zadowolonym. Miejsce jednak zarazem nadzieję, że pewien etos, już nawet nie inteligentki, lecz etos przyzwoitości, będzie w szerokich kręgach zachowywany”. Tak czy inaczej, wydaje się, że etos inteligentki się wyczerpał. Inteligencja jako elita społeczna spełniała swoje zadanie. Kto ją zastąpi?

## Na gospodarczych salonach

Miejsce elity inteligentkiej zajmuje coraz bardziej elita ekonomiczna. Takiej zmianie wart sprzyja ustrój gospodarczy i polityczny. Kapitalizm promuje ludzi przedsiębiorczych. Na progu początkującej jeszcze gospodarki wolnorynkowej warstwy dobrze uposażone to w większości szemrani biznesmeni, często z nomenklatury, którzy wykorzystali koniunkturę przełomu, oraz rodzące się na naszych oczach pokolenie tzw. wyścigu szczurów. Intelktualną bazę dla tych środowisk stanowią: marketing i zarządzanie

(oraz kierunki pokrewne) jako najbardziej chyba powszechne wykształcenie akademickie oraz skuteczność i sprawność w działaniu, czyli psychologia rynku.

Rodząca się warstwa młodego, zamożnego społeczeństwa, to przede wszystkim ludzie skuteczni, przebojowi i inteligentni. Myliłby się jednak ten, kto by sądził, że ich inteligencja idzie w parze z podejściem do świata, który nazwałbym intelektualnym. Zdaje się bowiem, iż jako filozofia życia rządzi nimi pragmatyzm i utylityzm. Liczy się w ich życiu nie to, co jest wartościowe w klasycznym tego słowa rozumieniu, ale to, co jest przydatne i jakościowo dobre. Mówiąc krótko – wartość życia zamieniono na jakość życia. Zdarza się, że bardzo szybko gromadzony jest ogromny majątek. Nie ma znaczenia, jaką klasę społeczną reprezentują ci, którzy wkraczają na ekonomiczne salony. Dzięki majątkowi kojarzeni są z elitą. Wielu z tych, którzy „zrobili pieniądze” pochodzi z klasy średniej bądź niższej. Z racji oczywistych, nie ma jeszcze wielopokoleniowego biznesu. Ci, którzy zmienili status ekonomiczny i weszli na szczyt społeczny, wprowadzili tam swoje maniere, zachowania, kulturę osobistą, wartości i gusty. Darujmy sobie przykłady.

Czy ta nowa klasa średnia domaga się rządu dusz i pretenduje do bycia elitą godności? Obawiam się, że nie. Jest to grupa o wysokim współczynniku poczucia wyjątkowości i odrębności społecznej, którą cechuje raczej dystans wobec zagadnień społeczno-politycznych. Notowania na giełdzie są dla nich ważniejsze od społecznych debat, w których nie biorą udziału. Jeśli już jednak zechcą wkroczyć do publicznego życia, to ich kartą przetargową wcale nie jest wyznawany etos (bo go po prostu nie ma), lecz o wiele bardziej własna biografia, która wskazuje, iż *american dream* możliwy jest w Polsce.

W ten oto sposób wkraczamy w sferę tzw. elity ustosunkowanych, czyli osób pozostających w dobrych stosunkach z osobami wybitnymi, a zwłaszcza z ludźmi z elity politycznej i kręgów władzy. Łącznikiem między tymi dwiema elitami: gospodarczą i polityczną są lobbyści. Lobbyista to osoba, która w imieniu własnym lub klienta wywiera wpływ na władzę państwowe, poprzez nawiązanie kontaktu z politykami lub instytucjami publicznymi. W polskim dyskursie społeczno-politycznym pojęcie lobbyisty nabrało cech pejoratywnych. Zdaniem Magdaleny Dobrzyńskiej i Macieja Sankowskiego „Lobbyści

oskarżani są o działania antypaństwowe, a politycy konsekwentnie przypisują im wszelkie zło obecne w życiu publicznym. Lobbyści stali się symbolem toczącej nasz kraj korupcji, niejasnych interesów i wielkich wpływów”. Czy słusznie? – pytają się wspomniani autorzy, upominając się o dobre imię lobbystów. „Lobbing – przypominają – polega przecież na przekonywaniu decydentów do swoich racji, podjęcia określonej decyzji, w oparciu o merytoryczną i dobrze skonstruowaną argumentację”. Owszem, ale granica pomiędzy lobbingiem, tzw. załatwianiem a korupcją – przynajmniej w polskim wydaniu – jest niestety płynna. Wszystko zależy od tego, czy podjęcie decyzji zależy rzeczywiście od argumentów merytorycznych, czy pozamerytorycznych, w tym – osobistych korzyści. Tak czy inaczej, grupa lobbystów pozostaje istotnym ogniwem pomiędzy elitą władzy a elitą gospodarczą.

### Kariera „wykształciucha”

Do rządu dusz pretendują oczywiście elity polityczne. Ale niestety także i tutaj obserwowaliśmy ostatnio proces intelektualnej pauperyzacji, czego symbolicznym aktem było wkroczenie na salony rządowe i sejmowe Samoobrony – partii, która przecież nie może się szczycić inteligenckim rodowodem. W tym samym momencie elita władzy w swoisty sposób podjęła także dyskurs ze środowiskiem ludzi wykształconych. Stało się to za pomocą pojęcia „wykształciucha”, którego użyto w opozycji do inteligencji: „To mocno ignorancka, egoistyczna, narcystyczna warstwa wykształconych, która nie ma wiele wspólnego z polską inteligencją. Ta znaczna część warstwy wykształconej posiada pewną profesjonalną kompetencję. Natomiast straciła ona kontakt z resztą Polski, w gruncie rzeczy na własne życzenie” – mówił Ludwik Dorn.

Wydaje się, iż pojęcie „wykształciucha” w zamyśle jego propagatorów miało za zadanie odróżnienie nowego pokolenia intelektualistów od starej inteligencji. Pierwotnie pojęcie to zostało stworzone przez Aleksandra Sołżenicyna i oznacza ludzi, których formalne wyższe wykształcenie nie ma żadnego wpływu na ich mentalność i postawę. W polskim dyskursie politycznym nabrało ono cech wysoce pejoratywnych i odnosiło się do określonej formacji społeczno-politycznej, która – w ocenie jej opozycjonistów – w żaden sposób ani nie może

dorównywać, ani nie może zastąpić starej, dobrej inteligencji. Zdaniem użytkowników i propagatorów tego pojęcia problem „wykształciuchów” powstał w wyniku zastąpienia dawnych, przedwojennych elit politycznych kadrą osób wykształconych, ale wywodzącą się z niższych warstw społecznych. Trudno jednak nie odnieść wrażenia, że w pojęciu tym pobrzmiewa niejaka pogarda dla wykształcenia jako kryterium przynależności do elity. Opozycja pomiędzy inteligencją a wykształciuchami ma wyraźne konotacje polityczne, o których nie chciałbym tutaj pisać. Zresztą, podkreślanie tej opozycji przez propagatorów tego pojęcia wydaje się nieuprawnionym zawłaszczaniem etosu inteligenckiego, do którego zapewne chciałby się odwołać niejeden „wykształciuch”.

Być może konieczność wprowadzenia tego pojęcia na określenie nowego zjawiska społecznego wskazuje na tworzenie się w Polsce nowej elity umysłowej, jaką są intelektualiści. Jak pisze Jacek Bartyzel, intelektualiści, to „stosunkowo wąska, lecz wpływowa grupa osób posiadających zazwyczaj wykształcenie akademickie i uprawiających tzw. zawody twórcze (literaci, dziennikarze, wykładowcy uniwersyteccy, niekiedy też duchowni i artyści), przeto należących lub pretendujących do elity umysłowej oraz wykazujących skłonność do autorytatywnego wypowiedzania się w sprawach dotyczących całego społeczeństwa, jego celów i przyszłości, częstokroć w formie zbiorowych wystąpień, manifestów i apeli moralizatorskich i politycznych”. Mówiąc krótko, intelektualiści chcą być sumieniem narodu albo przynajmniej do takiej roli pretendują. Zdaniem o. Józefa M. Bocheńskiego OP intelektualistów dotyczy zabobon polegający „na mniemaniu, że intelektualiście przysługuje jako takiemu autorytet w dziedzinie etyki, polityki i poglądu na świat”. Chodzi tutaj o zarzut, iż z faktu, że ktoś jest autorytetem w danej dziedzinie nauki, wnioskuje się o autorytecie w polityce czy w dziedzinie sądów moralnych bądź estetycznych. W zarzucie tym jest oczywiście pewna racja. Specjalista i autorytet w dziedzinie starożytnego Rzymu, nie musi być automatycznie autorytetem moralnym, a zdarza się, że za taki się uważa, czy też za taki jest uważany. Wobec intelektualistów (zresztą jak i wobec inteligentów czy też członków innych elit, które pretendują do rangi sumienia narodu) można także postawić zarzut o braku koherencji pomiędzy życiem a głoszonymi poglądami. Osoba, która

w społecznym odczuciu popełnia czyny etycznie naganne, pozostanie zapewne autorytetem intelektualnym, ale powinna zostać odrzucona jako autorytet moralny.

## Medialność jako kryterium

Wydaje się jednak, iż wymaganie to ze strony społeczeństwa jest coraz słabsze. Społeczeństwo zaczyna bowiem akceptować zachowania niegdyś naganne u osób, które pretendują do bycia elitą. Proces taki daje się zauważyć zwłaszcza w odniesieniu do elit politycznych. Synonimem „dobrego” polityka staje się polityk „sprawny”. Tak jak nikt nie pyta hydraulika, czy nie bije swojej żony, tak coraz częściej nikt nie pyta polityka o jego wybory moralne, które przesuwane są w sferę jednoznacznie osobistą, a w konsekwencji niemającą większego wpływu na ocenę jego politycznej sprawności i skuteczności. Wystarczy popatrzeć na karierę i popularność polityków szczebla samorządowego czy nawet rządowego, na których ciąży oskarżenia, wyroki, a zdarza się nawet, że spełniają swoje funkcje zza krat aresztu, nie tracąc przy tym jednak popularności i społecznego poparcia.

Z podobnym zjawiskiem mamy do czynienia w elitach wywodzących się z show businessu, w tym odniesieniu do tzw. celebrytów, czyli ludzi znanych z tego, że są znani. Życie prywatne członków tych elit jest przedmiotem społecznego zainteresowania, a często także towarem przez nich samym wystawianym na sprzedaż. Nie jest jednak przedmiotem moralnej oceny. Istnieje bowiem – nie wiadomo czym uzasadnione – przekonanie, że elita artystyczno-rozrywkowa (niegdysiejsza bohema) z natury rzeczy nie „grzeszy” – a może nawet nie powinna „grzeszyć” – przyzwoitością. Wyzwalanie się spod moralnych gorsetów w sposób oczywisty zdaje się przynależać do „etosu” tej grupy.

Badania przeprowadzone na zlecenie „Rzeczpospolitej” pokazują, że autorytetami dla współczesnej polskiej młodzieży są showmani, ludzie znani z telewizji: Owsiak, Wojewódzki i Majewski. Jak to skomentował prof. Wiesław Godzic, „mamy dominację kultury obrazkowej i obrazków zamiast wartości. Młodzi myślą: wierzę tej osobie, bo ładnie wygląda”. Medialnymi walorami popularności – jak wiadomo – przejmują się także politycy, którzy dbają o swój wizerunek i PR. Wiedzą gdzie, kiedy i jak pojawiać się

w mediach, by poprawić swoje notowania. Istotnym kryterium w ocenie polityka przestaje być jego kompetencja, fachowość, walory moralne, a nawet polityczna skuteczność, a staje się jego medialność – właściwy dobór koloru koszuli i opalenizna.

## Jakie społeczeństwo, taka elita

I tutaj należy powrócić do pytania o istnienie współczesnej elity godności. Wydaje się, że polska elitarność bardzo się rozczłonkowała, tak samo jak rozczłonkowało się polskie społeczeństwo. „Brak społeczeństwa wysokich ambicji, wywołuje brak elit wysokich ambicji” – napisał ktoś na internetowym forum. Czy rzeczywiście społeczeństwo polskie nie jest społeczeństwem wysokich ambicji? Kariera pojęcia „wykształciuch” i ładunek pogardy włożony w to słowo przez tych, którzy je propagują, nie wróżą najlepiej. Wskazuje to raczej na dosyć silny anty-intelektualny trend drzemący w polskim społeczeństwie. Polacy nie są narodem intelektualistów. By się o tym przekonać, wystarczy przeanalizować choćby wyniki czytelnictwa. I wcale temu trendowi nie przeciwstawi się rosnąca liczba studiujących. Niestety, wzrost ilościowy studiujących skutkuje spadkiem jakości wykształcenia. Zapewne dla jakiejś części społeczeństwa tworząca się elita intelektualistów jest czy też staje się moralnym, etycznym, politycznym punktem odniesienia, stając się przeto elitą godności. Jak duża jest to grupa, nie wiadomo. Na pewno nie większość. Większość nie wstuchuje się w głosy intelektualistów, ale w harce różnej maści showmanów. I jak pisał T. Różewicz „a biedna publika / wszystko łyka / robi owacje na stojąco / siedząco / i pod siebie” (*Zła muzyka*). Podobno Kuba Wojewódzki na wieść, że został moralnym autorytetem młodzieży powiedział: „To żałosne, skoro taka postać jak ja znalazła się na liście autorytetów. Chyba coś złego dzieje się z tym pojęciem i z tą wartością”. Jeśli to nie kolejna zgrywa, to święta racja.

W internecie znalazłem następującą wypowiedź pewnej nastolatki na temat elitarności: „Bo wiecie jak to jest z tą elitarnością? Ja już wiem. Elitarność nie polega na tym, że ty sam uważasz się za osobę lepszą i próbujesz mówić to wszystkim i wszystkich do tego przekonać udowadniając im, że są gorsi. Elitarność polega na tym, że to inni cię wywyższają i podziwiają, a ty sam traktujesz siebie na równi z innymi. Bo twoją elitarność tworzą ludzie,

nie ty sam. Co z tego, że ty uważasz siebie za elitę skoro ludzie po prostu śmieją się z twojej zarzuciałości?”.

Tak, to prawda. Ostatecznie prawdziwa elitarność nie polega na świadomości odrębności. Tak tworzy się raczej sekte i getto. Prawdziwa elitarność jest pochodną społecznej akceptacji. Ta społeczna akceptacja nie jest jednak jednorodna. Wydaje się, że każda warstwa społeczna będzie miała swoją elitę

godności. Jaka klasa, taka elita. Inna dla klasy średniej, inna dla *high society*, inna dla klas najuboższych materialnie i intelektualnie, a także moralnie. Zróżnicowanie wyznawanych wartości będzie determinowało dobór tych, których uzna się za elitę, życiowy punkt odniesienia, moralną i polityczną wyrocznię. Każdy przecież za elitę uzna tych podobnych do siebie – niby po Orwellowsku równiejszych, a jednak równych.



# Czy można ufać elitom

Zagubiony w oceanie informacji zwykły człowiek odruchowo szuka kogoś, kto wyjaśni mu jego wątpliwości i ugasi niepokój w tej czy innej zasadniczej kwestii. Szuka i rzadko znajduje. Przekonuje się za to, że ci z naukowych elit, którzy powinni znać obiektywne odpowiedzi na jego pytania albo przynajmniej próbować do nich dotrzeć, nie zawsze są tymi, na których może liczyć, a zwłaszcza im wierzyć. Co więcej – widzi, jak poddawani są oni grze interesów, jak są uwikłani w zależności, a często po prostu przekupni.

Doskonałym tego przykładem (na światową skalę) jest naukowe zamieszanie wokół kwestii ocieplenia klimatu na Ziemi. W świadomości społeczeństw wielu krajów, także Polski, zakodowane zostało przekonanie, że zmianom klimatycznym winien jest człowiek i jego przemysłowa działalność, w ramach której powstaje za dużo gazów cieplarnianych, a zwłaszcza dwutlenku węgla. Trzeba więc zrobić wszystko, żeby zmniejszyć jego emisję. Kraje Unii Europejskiej zostały zobowiązane do tego pod groźbą ogromnych kar. Dla biedniejszych państw (w tym i Polski, która swoją energię elektryczną produkuje głównie z węgla) oznacza to ogromne wydatki, wręcz nie do udźwignięcia. Doradca rządu prof. Krzysztof Żmijewski szacuje, że Polska będzie musiała przeznaczać 4,5 mld euro rocznie, czyli około 100 mld euro do roku 2030, na inwestycje ograniczające emisję dwutlenku węgla. Jeśli nie będzie jej na to stać (a nie będzie), zmuszona zostanie do kupowania po bardzo wysokiej cenie limitów CO<sub>2</sub> na giełdzie. Podobnego kłopotu nie

będzie miała np. Francja, gdzie dominują elektrownie atomowe.

Poza tym kraje takie jak Polska, zmuszone do gigantycznych inwestycji ograniczających emisję dwutlenku węgla, będą musiały radykalnie podnieść cenę energii elektrycznej, co spowoduje ogólny wzrost kosztów utrzymania i dalsze ubożenie społeczeństw.

A wszystko dlatego, że wiara we wpływ człowieka na globalne ocieplenie, wspierana głosami uczonych, stała się dziś wyznacznikiem politycznej poprawności. To już niemal religia, którą karmi nas media, a my łykamy ją w przekonaniu, że przecież naukowa elita wie, co mówi. Czy na pewno? I czy zawsze w tym mówieniu jest uczciwa?

## Niepodważalne prawdy i pieniądze

O tym, że globalne ocieplenie jest głównie winą przemysłowej działalności człowieka, mówią raporty Międzyrządowego Zespołu ds. Zmian Klimatu (IPCC). To dysponujące ogromnym budżetem ciało skupia wokół siebie wielu polityków, biurokratów i zaprzyjaźnione media. Ma swoje naukowe autorytety, głoszące prawdy niepodważalne. W publikacjach poświęconych działalności IPCC można przeczytać, że jego raporty mają duże znaczenie w budowaniu programów klimatycznych na świecie i niebagatelny wpływ na politykę finansowania badań nad zmianami klimatu. Wizja apokalipsy tworzy atmosferę, w wyniku której do ośrodków zajmujących się zmianami klimatu płynie coraz szerszy strumień pieniędzy.

Pojawia się jednak coraz więcej głosów klimatologów, astronomów, astrofizyków, geologów (o nie mniejszym autorytecie naukowym), którzy przekonują, że teoria ocieplenia klimatu z winy człowieka nie ma żadnych naukowych potwierdzeń w postaci badań. Przekonują, że przyczyn ocieplenia należy upatrywać w cyklicznych, naturalnych dla naszej planety wahaniach klimatu. Powołują się na dorobek naukowy, z którego jasno wynika, że człowiek nie jest w stanie w znaczącym stopniu wpływać na klimat. Tłumaczą, że wahania temperatury wynikają głównie ze zmieniającej się aktywności Słońca, przez co do Ziemi dociera raz mniej, raz więcej ciepła.

Głosy takie są jednak lekceważone czy wręcz wyśmiewane, np. w mass mediach. A przecież płyną z ust ludzi, których trudno nie zaliczyć do naukowych elit. Podobnie zresztą jak głosy im przeciwstawne. Szary człowiek zaczyna się zastanawiać, którym elitom wierzyć, a także czy w ogóle można dziś ufać elitom.

## Globalne ośpienie

Niedawno w Zielonej Górze w ramach Kepleriady zorganizowanej z okazji dwudziestolecia Zielonogórskiego Centrum Astronomii wykład *Globalne ocieplenie. Fakty i mity* wygłosił liczący się w świecie astrofizyk, dyrektor Centrum Astronomicznego im. Mikołaja Kopernika PAN w Warszawie, prof. Marek Sarna. Moja z nim rozmowa po wykładzie mogłaby mieć tytuł *Globalne ośpienie*. A wyglądała tak:

**– Powodzie, susze, huragany i trąby powietrzne... Czy ci, którzy twierdzą, że przyczyną tych zjawisk jest efekt cieplarniany spowodowany działalnością człowieka, mają rację?**

– Takie opinie wynikają z całkowitego niezrozumienia problemu. Wpływ człowieka na globalne ocieplenie stał się jednym z tematów zastępczych. Podgrzewają go środki masowego przekazu na całym świecie, wpędzając ludzi w irracjonalne stany emocjonalne i fobie.

**– Przecież uczeni mówią, że globalne ocieplenie jest faktem.**

– Różni się jednak zasadniczo w ocenie przyczyn tego zjawiska.

**– Nas, zwykłych ludzi, przekonuje się, że głównym winowajcą jest dwutlenek węgla wytwarzany przez przemysł...**

– Bzdura! Są inne, znacznie istotniejsze czynniki. Trzeba pamiętać, że głównym gazem cieplarnianym jest para wodna. Odpowiada ona za ponad 95 proc. efektu cieplarnianego. Dwutlenek węgla za najwyższej kilka procent, a ten powstający w wyniku przemysłowej działalności człowieka jeszcze mniej. Gazem cieplarnianym znacznie bardziej niż CO<sub>2</sub> wpływającym na ocieplenie klimatu jest choćby metan i jego hydraty. Zdolność metanu do zatrzymywania ciepła jest 20 razy większa niż CO<sub>2</sub>.

**– To dlaczego o tym się nie mówi, lecz organizuje międzynarodową krucjatę przeciwko CO<sub>2</sub>?**

– Bo jest silne światowe lobby przemysłowe, któremu zależy na tym, żeby wziąć miliardy z budżetów państw. Technologie ograniczania emisji dwutlenku węgla są niezwykle kosztowne. Można na tym naprawdę bardzo dużo zarobić. Kto silniejszy, ten opłaci grupę naukowców. A potem już się to kręci. Za badania nad zmianami klimatu podatnicy zapłacili już co najmniej 10 mld dol., z czego większość poszła na udowadnianie tezy o globalnym ociepleniu. Uczonych (a jest ich na świecie bardzo wielu), którzy pokazują ten korupcyjny mechanizm i protestują przeciwko zupełnie niezgodnemu z naukową wiedzą wmawianiu społeczeństwom, że to produkcja przemysłowa jest głównym sprawcą efektu cieplarnianego, marginalizuje się. Opinia publiczna karmiona jest pseudonaukową papką.

**– Mocne słowa...**

– Powiem jeszcze mocniej. To jest hochsztaplerstwo wielkiej wody. Te uczone gremia ignorujące dowody naukowe... Te sprzedające się naukowe autorytety... Ta pokojowa nagroda Nobla dla Ala Gore'a, człowieka związanego z wielkim biznesem amerykańskim... Kiedy Gore dostawał Nobla, należąca do niego firma General Investment Management zarobiła na pośrednictwie sprzedaży tzw. kredytów CO<sub>2</sub> ponad 50 mln dolarów. I dalej zarabia, i zarabiać będzie. Czy takie środowiska są zainteresowane tym, żeby wziąć serio pod uwagę także głosy tych uczonych, którzy protestują przeciw globalnemu ośpieniu społeczeństw?

**– Co więc jest przyczyną globalnego ocieplenia, jeśli nie CO<sub>2</sub>?**

– Aktywność magnetyczna Słońca. To ona ma główny wpływ na klimat na Ziemi. Trzeba pamiętać, że w historii naszej planety okresy ocieplenia i ochłodzenia powtarzają się cyklicznie. Około 900 r. n.e.

mieliśmy okres wielkiego ocieplenia. Na Grenlandii uprawiano wtedy rośliny. Czy ludzkość emitowała wówczas z fabryk za dużo CO<sub>2</sub>? A okresy ocieplenia występujące w czasach, kiedy gatunek ludzki jeszcze na Ziemi nie istniał? W XVIII w. przyszło wielkie ochłodzenie, nazywane nawet małą epoką lodowcową. To czas, kiedy można było podróżować saniami przez zamrożony Bałtyk do Szwecji, a rzeki były skute lodem. W ciągu 800 tys. lat Ziemia przechodziła osiem okresów zlodowaceń i tyle samo okresów ociepleń. Teraz wchodzimy właśnie w kolejny etap ocieplenia. Zarówno w przeszłości, jak i dzisiaj człowiek praktycznie nie ma na to wpływu. Ani nie jesteśmy sprawcami ociepleń i ochłodzeń klimatu na naszej planecie, ani nie jesteśmy w stanie im zapobiec.

**– Czyli wierząc w swój udział w tym zjawisku, zachowujemy się jak ta mysz z dowcipu, która oparła się o koło wagonu stojącego na boczniczy pociągu i pociąg ruszył. „Co ja narobiłam!” – zawołała przerażona.**

– Właśnie. Wpływ działalności człowieka na efekt cieplarniany mieści się w granicach 0,05 do 0,25 promila!

**– Skoro jest tak, jak pan mówi, to po co np. Polska, emitująca dużo CO<sub>2</sub> z pracujących głównie na węglu elektrowni, ma wydawać tak ogromne pieniądze na zmianę technologii produkcji prądu?**

– Zostaliśmy do tego zobligowani umowami międzynarodowymi, określającymi limity dwutlenku węgla. Inaczej będziemy musieli kupować bardzo drogie prawa do jego emisji. Problem jest jednak szerszy. Protokół z Kioto z 1997 r. zobowiązuje sygnatariuszy, którzy go podpisali do redukcji do 2012 r. emisji gazów cieplarnianych o 5,2 proc. Nie podpisały go jednak Chiny, Indie i USA, a więc ci, którzy wspólnie emitują do atmosfery 75 proc. CO<sub>2</sub>. Europa, która zobowiązała się do ograniczeń, jest winowajcą jedynie w 25 proc.

**– Ale ostatnio USA ogłosiły, że też będą ograniczać dwutlenek węgla.**

– W ich przypadku to dobra decyzja na kryzys, bo pomoże pobudzić gospodarkę. W przypadku znacznie biedniejszej Polski jest całkiem inaczej.

**– Nie czuje się pan trochę jak ktoś wołający na puszczy? Co pan i podobnie myślący naukowcy możecie zrobić?**

– Ja nic nie mogę. Nawet gdybym zebrał stu racjonalnie myślących profesorów z całego świata, to

i tak nic byśmy nie poradzili, bo za tym nie stałby żaden interes, żaden międzynarodowy kapitał, któremu by zależało. Ostatnio w ONZ pojawiła się petycja ok. 600 uczonych, którzy mówili w tym duchu co ja. Podkreślają, że do zmian klimatu i do zmniejszania efektu cieplarnianego należy podchodzić racjonalnie i ekonomicznie, inwestować tam, gdzie może to przynieść wymierne korzyści, a nie tylko zysk określonym grupom ludzi.

**– I co?**

– Na razie nic.

## Wpisane w historię Ziemi

Prof. Marek Sarna patrzy na sprawę przyczyn ocieplenia klimatu podobnie jak uczeni z dziesięciu europejskich ośrodków akademickich, którzy pod kierunkiem badaczy z Instytutu Nielsa Bohra Uniwersytetu w Kopenhadze, w ramach programu *Epica*, stworzyli pełny obraz zmian klimatycznych naszej planety na przestrzeni ostatnich 800 tysięcy lat. Posłużyli się znaną od dawna metodą chemicznej analizy pęcherzyków powietrza uwieczonych w lodach Antarktydy na różnych głębokościach. Badając zawartość dwutlenku węgla i metanu, sporządzili dokładne wykresy temperatur oraz skład atmosfery naszej planety. Badania te pokazują, że następujące po sobie okresy ocieplenia i ochłodzenia klimatu są trwale wpisane w historię Ziemi. Człowiek nie miał na nie wpływu ani w przeszłości (zwłaszcza wtedy, gdy jako gatunek jeszcze nie istniał), jak i obecnie.

Z kolei klimatolog amerykański dr Roy Spencer, pracujący przy projekcie satelitarnego monitorowania temperatury ziemskiej NASA przekonuje w jednym z wywiadów, że szerzenie teorii globalnego ocieplenia z winy człowieka służy wywołaniu strachu, w następstwie czego do ośrodków zajmujących się badaniami zmian klimatycznych popłynie szerszy strumień pieniędzy. Zauważa, że obalenie wizji apokaliptycznej katastrofy wywołanej działaniem człowieka skutkowałoby redukcją tysięcy miejsc pracy.

Dr Joanne Simpson, jego koleżanka z NASA, wcześniej gorąca zwolenniczka ograniczania emisji CO<sub>2</sub>, stwierdza prosto z mostu: „Odkąd nie jestem związana z żadną organizacją i nie dostaję od niej funduszy, mogę mówić całkiem szczerze”. I mówi, że rację mają ci, którzy nie zgadzają się z tezą o wpływie działalności człowieka na globalne ocieplenie.

## O wyższości apapu nad aspiryną

A teraz z innej elitarniej beczki... Medycznej. I znów zwykły człowiek chciałby się w określonych sytuacjach podeprzeć naukowymi medycznymi autorytetami. I znów czekają go wątpliwości co do obiektywizmu opinii wygłaszanych przez przedstawicieli medycznych elit.

Relacjonowałam kiedyś zjazd lubuskich lekarzy rodzinnych. Połączony był z wykładami zaproszonych przez organizatorów medycznych znakomitości. Jeden z mówców, szpakowaty profesor z warszawskiej kliniki Akademii Medycznej, zajął się roztrząsaniem wyższości leków zawierających paracetamol, takich jak np. apap, nad lekami zawierającymi kwas acetylosalicylowy, takich jak aspiryna. Chodziło o to, żeby lekarze rodzinni, do których zgłaszają się przeziębieni pacjenci, nie musieli zastanawiać się, co im doradzić, lecz wsparci profesorskim autorytetem, z czystym sumieniem polecali paracetamolowe specyfiki.

Profesor mówił bardzo przekonująco, prezentował slajdy z wykresami i tabelkami, więc w swojej naiwności postanowiłam poprosić go o wywiad dla gazety, w której pracowałam. Niech czytelnicy też się dowiedzą, że tylko paracetamol... Wywiadu nie napisałam, bo profesor uprzejmie, ale stanowczo odmówił. Kiedy próbowałam przekonywać, jak moi czytelnicy czekają na wypowiedzi medycznych autorytetów, spojrział na mnie jak na ostatnią naiwną i wymownie rozejrzał się wokół. Staliśmy w holu, pod ścianami którego swoje stoiska rozłożyły firmy farmaceutyczne, głównie te od paracetamolowych leków. To one m.in. sponsorowały konferencję. Profesor zasugerował też, żebym w artykule z konferencji nie powoływała się na niego. W końcu każdy dorabia jak może, ale nie zawsze chce się tym chwalić. Dotarło do mnie wreszcie, że gdyby konferencję i profesora sponsorowała aspirynowa firma, to wykład, wsparty wykresami i tabelkami, poświęcony byłby wyższości aspiryny nad apapem. Cóż...

## Naukowiec na usługach

Takie zachowania to w świecie nauki nic nowego. Jakieś pół roku temu wyszło na jaw, że amerykański naukowiec dr Scott S. Reuben, który prowadził

wielką kampanię na rzecz korzyści z używania dwóch konkretnych przeciwbólowych leków, produkowanych przez Pfizera, był opłacany przez ten właśnie koncern. Aż tak wielkiej sensacji jednak z tego powodu nie było, bo podobnych przykładów korumpowania naukowców przez koncerny farmaceutyczne jest wiele.

Polska nie jest pozytywnym wyjątkiem. Popularne stało się rekomendowanie leków przez tzw. autorytety medyczne. Profesorowie medycyny (elita w końcu) w ten sposób dorabiają – i to niemało – do uczelnianych pensji. A przecież nie powinno być tak, że niektórzy ordynatorzy czy szefowie klinik pensje w swoim miejscu pracy traktują jak dodatek, a ich główne dochody pochodzą od koncernów farmaceutycznych. Prof. Zbigniew Szawarski, etyk z Uniwersytetu Warszawskiego, miał odwagę powiedzieć (cytowały to media), że mamy coraz częściej do czynienia ze zjawiskiem prywatyzacji nauki przez wielkie koncerny, które „kupują” uniwersytety, instytuty i katedry. A ten, kto płaci, po jakimś czasie stawia wymagania.

Odpryskiem tego zjawiska jest pisanie przez naukowców na zamówienie o przysłówiowej wyższości maśła nad margaryną lub odwrotnie, w zależności od potrzeb opłacającego badania. Agencje *public relation* zapychają tego typu opiniami skrzynki e-mailowe dziennikarzy, w nadziei, że przynajmniej niektórzy z nich wykorzystają je na łamach. To samo dotyczy zawartych w takich i podobnych materiałach podpowiedzi medycznych autorytetów, czym leczone powinny być poszczególne choroby i co jeść, żeby zachować zdrowie. Dziwnym trafem te podpowiedzi współgrają z oczekiwaniami sponsora badań.

Przykładów na takie zachowania ludzi należących – jakby nie było – do naukowych elit, wciąż dostarcza życie. A mimo wszystko w Polsce profesorowie nadal cieszą się największym zaufaniem (na równi ze... strażakami). Tak przynajmniej wynika z przeprowadzonego przez CBOS w dniach od 6 do 12 listopada 2008 r. sondażu. W prasowej informacji napisano, że o wysokiej pozycji profesorów decyduje prawdopodobnie w znacznym stopniu ekspercki charakter tego zawodu oraz kojarzona z tym tytułem naukowym niezależność intelektualna. Tak, tak, niezależność...



# Chodzony za politykami

Teza: sądy o politykach i partiach byłyby inne, gdyby ich i naszym życiem w coraz szerszym zakresie nie władała telewizja. To dziś jest najważniejsze medium opiniotwórcze.

Ci, o których tu piszę, chcą, aby dzielić ich na prawicowych (czytaj: lepszych) i lewicowych. Czym różni się człowiek twierdzący, że ma poglądy lewicowe od prawicowych, dalibóg, nie wiem. To znaczy tak w ogóle wiem, lecz nie mam pojęcia, czym się różnią takie osoby mające polskie dowody tożsamości. W ogóle mało wiem o programach związków, które są wpisane do rejestru partii politycznych. Teoretycznie wszystkie mają zgodne z prawem statuty i programy uchwalone przez najwyższe gremia partyjne. W praktyce wygląda to inaczej.

Bez dwóch zdań dziś wśród najbardziej aktywnych i głośnych związków wyróżnia się Prawo i Sprawiedliwość. Na podstawie tego, co słyszę i widzę, nie mam wątpliwości, że jest to partia z wyraźnie określonym programem ideowym. Ba, nawet potrafię w kilku zdaniach wskazać jej najważniejsze cele, sprecyzowane jasno. Niezmienny od lat manifest ideowy ma Unia Polityki Realnej i najczęściej ustami swego twórcy go przypomina. Obrażą się na mnie ludowcy, bo przecież oni też mają program, tyle że na mój rozum jest on za szeroki, za pojemny, za giętki, za zbyt pasujący do każdej sytuacji. Taki program ma również Platforma Obywatelska, dziś uważająca się za najsilniejszą partię. W założeniu jest on liberalny, w realizacji socjalistyczny, chadecki, ludowy... Ma go Sojusz Lewicy Demokratycznej, ma

nawet coraz bardziej odchodząca w zapomnienie Samoobrona. Tylko co z tego?

## Zamiast wstępu

Kto to jest polityk? Aktor czy lekarz albo kierowca – wiadomo: ukończył szkołę lub kurs, ma praktykę w tym fachu. Oczywiście są też szkoły przekazujące młodym ludziom wiedzę z zakresu nauk politycznych, ale to wcale nie oznacza, że ich absolwenci automatycznie stają się politykami. Dostają oprawione w czerwoną skórę dyplomy ukończenia studiów, potwierdzające, że „po spełnieniu wymogów określonych obowiązującymi przepisami” uzyskali tytuł magistra politologii. Nie oznacza to, iż dyplomowany politolog nie może być politykiem, tak jak ksiądz katolicki – poetą (vide: Ignacy Krasicki, Karol Wojtyła, Jan Twardowski) czy inżynier – prozaikiem (np. Czesław Centkiewicz, Joanna Chmielewska, Małgorzata Kalicińska).

Sięgam do *Słownika języka polskiego* (Warszawa, PWN, 1979), a tam w tomie II na stronie 785 czytam, że polityk to „mąż stanu kierujący polityką państwa; dyplomata, działacz polityczny”. Zaglądam jeszcze do *Słownika współczesnego języka polskiego* (Warszawa, Wilga, 1996), gdzie na stronie 795 znajduję takie znaczenia słowa polityk: 1 „osoba aktywnie, zawodowo zajmująca się polityką”, 2 „osoba zręczna w postępowaniu, wykazująca spryt i przebiegłość, umiejąca kierować sprawami po swojej myśli; dyplomata”. Mimo skrępowania przyznam się, że to ostatnie wyjaśnienie najbardziej odpowiada

mojej wiedzy i wyobraźni o politykach w ogóle, a o większości lubuskich polityków szczególnie.

Muszę jeszcze dowiedzieć się, co to jest polityka. Znowu zaglądam do słownika Wilgi, gdzie znajduję takie określenia: 1 „sposób sprawowania władzy, kierowania sprawami wewnętrznymi i zewnętrznymi państwa, realizujący się w bieżącej działalności organów rządzących i wynikający z ich celów, zadań”, 2 „ogół działań podejmowanych przez partię, zgrupowanie, pojedynczą osobę w celu zdobycia i utrzymania władzy w państwie, sposób realizacji tych celów”, 3 „przemysłany przez kogoś sposób postępowania mający doprowadzić do osiągnięcia zamierzonego celu, taktyka, strategia”.

Czy zatem burmistrz jest politykiem? Na pewno, a jeśli burmistrz, to i wójt, i prezydent miasta, i starosta powiatowy, i marszałek województwa. Nie mam wątpliwości, że politykiem jest podsekretarz stanu, minister, premier. A dyrektor departamentu w ministerstwie to polityk czy urzędnik? A urzędnik w Kancelarii Prezydenta Rzeczypospolitej, przygotowujący dokumenty głowie państwa? A szeregowy członek partii rządzącej, opozycyjnej lub kanapowej? W ogóle członek stronnictwa uważającego, że jego ugrupowanie ma program i osoby przygotowane do sprawowania władzy? Nie podejmuję się udzielenia krótkiej, jasnej odpowiedzi na te pytania. W ogóle w tym tekście nie będzie niepodważalnych zdań, będą jedynie opinie osoby, która towarzyszy polityce i politykom prawie od dziecka.

Przyjmuję do wiadomości i o to proszę czytelników, że politykiem jest każdy, kto uważa się za polityka. Kto pracuje nie tylko dla osiągnięcia swoich celów, lecz i dla dobra ogółu. Chciałbym powiedzieć, że kto przede wszystkim ma na myśli dobro ogółu. Może więc być polityk gminny (nawet sołecki), powiatowy, wojewódzki, krajowy, europejski, światowy. Najlepiej byłoby, aby obowiązywała zasada: ten, kto już wszedł na krajowe salony, wcześniej był w salonikach. Oto kilka przykładów. Marszałek lubuski Marcin Jabłoński zaczynał karierę polityczną jako urzędnik w samorządzie Słubic, potem był radnym, wicewojewodą, starostą powiatowym. Jego zastępczyni Elżbieta Polak pierwsze lekcje pobierała jako burmistrz Małomic, aby zostać urzędniczką w zielonogórskim magistracie i działaczką organizacji społecznej. Lider regionalnego Prawa i Sprawiedliwości Marek Ast urzędował jako burmistrz Szlichtyn-gowej, radny sejmiku lubuskiego, wojewoda lubuski

i poseł. I druga zasada: im polityk starszy, tym stoi na wyższym szczeblu drabiny politycznej, ale kiedy osiągnie wiek emerytalny, bez pomocy lekarzy schodzi na ziemię i najwyżej służy młodszemu radą.

U nas za polityka uważa się poseł i senator, radny, nawet radny gminny (jeśli są wyjątki od tej reguły, przepraszam). Wójt/burmistrz/prezydent miasta to nie urzędnik, a również polityk (co czasem podkreśla swoim wyglądem, zachowaniem, oracją). Za polityka ma się często starosta powiatowy i marszałek województwa, obaj wybierani nie w wyborach bezpośrednich jak wójt/burmistrz/prezydent miasta, lecz przez radnych, gdy w rzeczywistości są to urzędnicy z legitymacją partyjną. Skoro tak, to jak polityka powinno się traktować proboszcza parafii, przewodniczącą koła gospodyń wiejskich, każdego kierownika firmy.

Spotkałem też taką opinię, że polityk dziś to nieźle płatne zajęcie. Zawodowy poseł lub senator (jeśli zasiadanie w parlamencie jest jego jedynym miejscem pracy) dostaje pensję przekraczającą 10,2 tys. zł. Dieta krajowego parlamentarzysty wynosi 2,6 tys. zł. Do tego trzeba doliczyć bezpłatne zakwaterowanie w stolicy, darmowe przejazdy, ponad 10 tys. zł na wydatki związane z utrzymaniem biura. Nie wspominam o przywilejach niematerialnych, jak np. o immunitecie. Na razie nie ma zawodowych radnych, chociaż niektórzy z diety uczynili swoje źródło dochodu. W większości gmin radny dostaje dietę bliską 800 zł, im gmina większa, tym i dieta jest wyższa, sięga nawet 1,8 tys. zł wolnych od podatku. Jest więc o co się bić.

Jeszcze o jednym trzeba powiedzieć. Nikt nie zostaje parlamentarzystą czy radnym bez kampanii wyborczej, a ta kosztuje. Znani mi lubuscy kandydaci do parlamentu nawet zaciągali kredyty w banku. Partie (w czasie wyborów są nazywane komitetami) domagają się wpłaty określonej sumy na rzecz wyborów, czyli na pokrycie kosztów druku ulotek i plakatów, konferencji prasowych, przejazdów na spotkania przedwyborcze itp. Nie dziwiw się zatem kandydatom, że robią wszystko, aby zdobyć mandat i, gdy zasiądą w organie władzy ustawodawczej lub uchwałodawczej, odzyskać to, co zainwestowali w kampanię wyborczą. To tak jak wędkarz, który płaci składki do kasy do związku wędkarskiego. Przecież płaci nie dlatego, że jest bogaty, tylko żeby mieć prawo łowienia ryb tam, gdzie ci, którzy nie płacą, tego nie mogą robić.

Dobrze jest, o czym przekonali się na przykład działacze Sojuszu Lewicy Demokratycznej, na swoich listach kandydatów na radnych umieścić osoby raczej obojętne wobec polityki, lecz znakomite w innych dziedzinach. Takie nazwiska są magnesami. Właśnie z takiego wyboru wśród radnych SLD w sejmiku lubuskim był światowej rangi sportowiec, wybitny żużlowiec Andrzej Huszcza. W ciągu ośmiu lat, kiedy zasiadał w sejmiku, chyba ani razu nie odezwał się podczas sesji.

Dziwię się natomiast postępowaniu tych partii, które po zdobyciu władzy w regionie zmieniają kierowników instytucji państwowych. Najczęściej nie na lepszych, a na swoich członków. Na przykład kiedy Platforma Obywatelska wygrała wybory, miejsce doświadczonego inżyniera i urzędnika w lubuskiej Agencji Nieruchomości Rolnych odważył się zająć nauczyciel historii bez znanych osiągnięć w szkolnictwie, ale z legitymacją Platformy. Podobnie było w agencji restrukturyzacji rolnictwa, gdy wybory wygrało Prawo i Sprawiedliwość, wtedy jej regionalnym szefem został doktor nauk technicznych, wcześniej wykładowca zielonogórskiej politechniki. Dyrektorem marszałkowskiego departamentu edukacji, kultury i sportu jest inżynier rolnik, który przyszedł tu z agencji restrukturyzacji rolnictwa, mając legitymację będącego w regionalnej koalicji Sojuszu Lewicy Demokratycznej (wcześniej należał do Zjednoczonego Stronnictwa Ludowego i PSL). W tym samym urzędzie dyrektorem departamentu ochrony zdrowia został nauczyciel, były wiceprezydent Zielonej Góry. Departamentem polityki społecznej kieruje politolog z legitymacją Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Niedawno szefem instytucji upowszechniania kultury został nie ten z doświadczeniem, który wygrał konkurs, lecz ten, którego wsparła partia, a który bez powodzenia starał się o mandat posła oraz fotel burmistrza.

## Do koloru, do wyboru

Chętnych do sprawowania władzy nie brakuje. Tym bardziej że właśnie wielu ową władzę rozumie jako osiągnięcie korzyści (miejsce pracy, pensja, prestiż, zajęcie dla bliskich). W 2005 r. w okręgu lubuskim (jego zasięg wyznaczają granice województwa) o 12 mandatów poselskich walczyło 270 chętnych, czyli na każde miejsce przypadały 23 osoby. Wśród nich było 47 mieszkańców Gorzowa, 42 – Zielonej

Góry, 18 – Nowej Soli, 12 – Żar, 8 – Żagania, 6 – Międzyrzeczka. Mandatów senatorskich było do podziału 3, a kandydatów do senatu – 20 (tylko 6 kobiet). Co ciekawe, w grupie tej nie było ani jednej osoby z przygotowaniem prawniczym.

Dwa lata później Polacy znowu wybierali sejm i senat. Tym razem o 12 miejsc w izbie niższej ubiegało się 161 kandydatów i o 3 mandaty w izbie wyższej – 21. Nie muszę dodawać, że wszystkie osoby reprezentowały partie polityczne lub utożsamiały się z programami partii, na listach wyborczych których się znalazły. Przypatrzmy się zawodom reprezentowanym przez kandydatów do sejmu w 2007 r. Wśród 161 marzących o miejscu na Wiejskiej było 28 nauczycieli, po 24 rolników i leśników, 16 przedsiębiorców, 9 z dyplomem prawniczym, 7 lekarzy, 4 emerytów i rencistów.

O niektórych politykach wyborcy niewiele wiedzą, co mogło być zrozumiałe podczas wyborów do sejmu zwanego kontraktowym. Cztery lata temu na liście kandydatów Platformy Obywatelskiej do sejmu pojawili się na ogół nieznanzi Bożenna Bukiewicz i Bogdan Bojko, dwa lata temu Marek Cebula i Witold Pahl. Można dyskutować, czy to dobrze, że o mandat z naszego regionu walczyli Marek Borowski (okręg Piła – Gorzów), Ewa Freyberg (okręg Gorzów), Stefan Niesiołowski (okręg Zielona Góra) czy urodzony w Gorzowie Marek Jurek (okręg Zielona Góra – Leszno) lub urodzony w Zielonej Górze Robert Smoleń (okręg Zielona Góra). Posłem reprezentującym wielkopolskie Prawo i Sprawiedliwość od czterech lat jest mieszkający w Zielonej Górze Witold Czarnecki.

W 2006 r. odbyły się wybory do samorządów gmin, miast, powiatów i województwa. W regionie lubuskim partie i komitety zgłosiły 9 647 kandydatów, gdy mandatów radnych wszystkich poziomów samorządności było 1 563. O miejsce w radzie powiatu krośnieńskiego walczyło 14,8 kandydata; żagańskiego – 14,5; nowosolskiego – 13,1. Statystycznie na jedno miejsce w zielonogórskiej radzie miasta przypadało 12,5 chętnego, w gorzowskiej – 12. Najłatwiej było zdobyć mandat radnego w Lubniewicach, gdzie o 15 miejsc w samorządzie ubiegało się 20 kandydatów. W gminie Górzycza jeden mandat przypadał na 1,5 kandydata, a w mieście i gminie Bytom Odrzański – na 1,8.

I jeszcze o wyborach wóldarzy miast i gmin. Po raz drugi w dziejach polskiej samorządności w 2006 r.

były one bezpośrednie, tzn. że każdy wyborca miał prawo oddać głos na swego kandydata. W Zielonej Górze było 6 chętnych do fotela prezydenta miasta, w Gorzowie i Nowej Soli – po 4. Najwięcej kandydatów zgłosiły komitety w: Szprotawie – 8, Kłodawie, Kostrzynie, Łagowie i Żarach – po 7. Najmniej, bo po 1, w Bytomiu Odrzańskim, Górzycy, Lubniewicach, Niegosławicach, Przewozie, Pszczewie, Santoku, Zaborze i gminie wiejskiej Żagań.

Co ciekawe, w polityce lubuskiej dominują mężczyźni. Z sondażu przeprowadzonego przez socjologów z Uniwersytetu Zielonogórskiego wynika, że połowa z badanych 745 osób uważa, iż „kobiety raczej nie nadają się do uprawiania polityki” („Gazeta Wyborcza” 2009, nr 175).

### Nasi na najwyższej drabinie

Bez wątplenia w dziejach regionu lubuskiego na najwyższy szczebel władzy w Rzeczypospolitej wspiął się Józef Zych. Zanim powiem więcej o tym polityku, pragnę powrócić do tych Lubuszan z okresu ludowej Polski, którzy również dotarli w okolice szczytu polityki kraju. Henryk Stawski jako przedstawiciel Stronnictwa Demokratycznego był członkiem Rady Państwa, czyli zbiorowego prezydenta (1983–1985). Już jako osoba z Torunia ministrem kultury i sztuki został Zygmunt Najdowski (1978–1980), wcześniej działacz Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w wojewódzkiej Zielonej Górze. Wiceministrem zdrowia i opieki społecznej w latach 80. był Stanisław Gura, mianowany na ten urząd z funkcji dyrektora zielonogórskiego wydziału zdrowia. Wydziałem nauki komitetu centralnego PZPR kierował prof. dr hab. Bronisław Ratuś (1976–1982), późniejszy rektor Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Bydgoszczy. Nie wspominać o generałach, którzy dowodzili dywizjami w Gubinie, Krośnie Odrzańskim i Żaganiu, bowiem z jednej strony to tajemnica wojskowa, z drugiej w ludowej Polsce przyjęto, że kierowanie oddziałami stacjonującymi na środkowym Nadodrzu to studia w uniwersytecie obrony narodowej.

Niewątpliwie w podręcznikach historii Polski pozostaną dwaj lubuscy politycy – wspomniany zielonogórzanin Józef Zych i gorzowianin Kazimierz Marcinkiewicz (pewnie i Marek Jurek, urodzony w Gorzowie, który po ukończeniu liceum ogólnokształcącego w tym mieście wyjechał na studia do

Poznania i tam pozostał). Zych osiągnął wszystko w krajowej polityce, łącznie z tym, że bardzo krótko był głową państwa. Posłem z ramienia partii ludowców został w 1989 r. i mandat ten wyborcy wznawiają mu do dziś. Trzykrotnie był wicemarszałkiem sejmu i marszałkiem (1995–1997), czyli drugą osobą w państwie. W 1995 r. politycy PSL bezskutecznie namawiali go, aby kandydował na urząd prezydenta Rzeczypospolitej. 23 grudnia 1995 r., gdy skończyła się kadencja prezydenta Lecha Wałęsy, a prezydent-elekt Aleksander Kwaśniewski jeszcze nie został zaprzysiężony w Zgromadzeniu Narodowym, Zych przez kilka godzin pełnił obowiązki głowy państwa.

Wicemarszałkiem senatu z ramienia lewicy była zielonogórzanka Jolanta Danielak (2001–2005).

11 listopada 2005 r. premierem, czyli trzecią osobą w państwie z ramienia Prawa i Sprawiedliwości został Kazimierz Marcinkiewicz. Przestał sprawować ten urząd 14 lipca 2006 r. Został wtedy komisarzem Warszawy i niebawem kandydatem na prezydenta stolicy, ale zdobył za mało głosów w wyborach samorządowych 2006 r. Warto dodać, że polityk rodem z Gorzowa był wiceministrem edukacji (1992–1993) i szefem gabinetu politycznego Jerzego Buzka (1999–2000). To ostatnie stanowisko opuścił dlatego, że – jak tłumaczył – nie miał możliwości realizowania własnych pomysłów politycznych.

Od 2007 r. ministrem pracy i polityki społecznej jest mieszkająca w Zielonej Górze Jolanta Fedak, była wicemarszałek województwa i wicewojewoda, należąca do Polskiego Stronnictwa Ludowego. Funkcje wiceministrów w rządzie PO i PSL pełnią: gorzowianin Piotr Styczeń (Ministerstwo Infrastruktury, wcześniej był wiceministrem w resorcie budownictwa) i zielonogórzanin Marek Twardowski (Ministerstwo Zdrowia).

Wiceministrem pracy i polityki społecznej w rządzie PiS, LPR i Samoobrony była gorzowianka Elżbieta Rafalska (2006–2007), a wiceministrem administracji i spraw wewnętrznych Marek Surmacz (2006–2007) z Gorzowa, który teraz jest doradcą prezydenta RP. Z ramienia SLD zielonogórzanin Andrzej Brachmański był wiceministrem administracji i spraw wewnętrznych (2004–2005). Podobnie jak Surmacz został odwołany ze stanowiska przed upływem kadencji. Wiceministrami byli też zielonogórzanie: gospodarki – Jarosław Barańczak (2000–2001) i skarbu państwa – Marian Miłek (2001).

Trzeba powiedzieć, że przed Aleksandrem Kwaśniewskim Komisją Konstytucyjną Zgromadzenia Narodowego kierował zielonogórzanin Walerian Piotrowski. Komisja pod jego przewodnictwem wprawdzie nie doprowadziła do uchwalenia obowiązującej dziś konstytucji, ale wniosła ogromny wkład w przygotowanie ustawy zasadniczej z kwietnia 1997 r.

Nadal źródłem kadr na najwyższym szczeblu dowodzenia wojskami lądowymi pozostaje lubuska dywizja i wchodzące w jej skład brygady.

Wypada przypomnieć, że na drugą kadencję przewodniczącego Konferencji Episkopatu Polski został wybrany arcybiskup Józef Michalik, obecnie metropolita przemyski, wcześniej ordynariusz gorzowski (1986–1993) i zielonogórsko-gorzowski (2003).

Jak widać w ciągu ostatnich 20 lat Rzeczypospolitej znacznie więcej Lubuszan było na szczytach władzy niż w 44-letnim okresie ludowej Polski. Pewnie, dużo więcej polityków ministrów ma korzenie gdańskie, krakowskie czy dolnośląskie. Proszę jednak pamiętać, że region lubuski pod względem ludności to zaledwie czterdziesta część kraju.

## **Partie jak rękawiczki**

Kim są politycy lubuscy? Mam na myśli przede wszystkim miejsce zajmowane w społeczeństwie. W pierwszych latach po zmianie systemu część to byli ci, którzy nie zdążyli do polityki przed 1989 r., kiedy w PZPR obowiązywała zasada: do partii można przyjąć osobę z wyższym wykształceniem pod warunkiem, że się równocześnie przyjmie trzy osoby z wykształceniem niższym. Część stanowili tacy, których z PZPR i satelickich stronnictw wyrzucono za przestępstwa i malwersacje. (Na przykład, podczas zebrania zielonogórskiego Bezpartyjnego Bloku Wspierania Reform w 1993 r. o miejsce na liście kandydatów do sejmu zabiegał ekonomista, jak mówił, za komunizmu zwolniony z funkcji wicedyrektora przedsiębiorstwa budowlanego, ponieważ nie należał do PZPR. Nie przyznał się zebranym, że najpierw został wyrzucony z PZPR po tym, jak sąd skazał go na odsiadkę za kradzież.) Była też część z przeszłością trudną do umiejscowienia, którzy mieli pretensję do wszystkich, przy czym sami nie mogli się wykazać osiągnięciami (tzw. wieczni malkontenci). Byli też członkowie partii istniejących w ludowej

Polsce, którzy przystąpili do wyraźnie zmienionych ugrupowań na socjaldemokratyczne i ludowe. Największą grupę stanowiły jednak osoby związane z Kościołem katolickim i Solidarnością lub przez nie wciągnięte do działalności publicznej.

Ożywienie polityczne po 1989 r. było tak wielkie, że w połowie lat 90. w rejestrze partii znalazło się ponad 300 organizacji. W wyborach parlamentarnych 1991 r. było w stanie uczestniczyć tylko 17 ugrupowań, reszta to partie zwane kanapowymi. Niezadowoleni członkowie przechodzili z jednej partii do drugiej, mimo iż te nowe często zastrzegały, że nie przyjmują osób z partyjną przeszłością w ludowej Polsce. Porządek organizacyjny panował w ugrupowaniach ludowych i socjaldemokratycznych.

Oto trochę przykładów zmian przynależności partyjnej. Wybrałem osoby, które uważam za przedstawicieli elity politycznej regionu. Kazimierz Marcinkiewicz w 1989 r. został członkiem Zjednoczenia Chrześcijańsko-Narodowego, które opuścił w 2001, gdy tworzył Przymierze Prawicy, pochłonięte przez Prawo i Sprawiedliwość. Ostatnio jest kojarzony z Platformą Obywatelską, mimo że formalnie nie należy do tej partii.

Jako prezydent Gorzowa Henryk Maciej Woźniak miał legitymację Kongresu Liberalno-Demokratycznego, jako radny sejmiku lubuskiego należał do Unii Wolności, a senatorem został z listy Platformy Obywatelskiej.

Zielonogórzanin Czesław Fiedorowicz był politykiem Unii Demokratycznej, potem Unii Wolności, w 2005 r. zapisał się do Platformy Obywatelskiej i wtedy po raz trzeci zdobył mandat poselski, by potem opuścić klub parlamentarny tej partii. W 2007 r. o miejsce w senacie ubiegał się z ramienia własnego komitetu, lecz bez skutku.

Gorzowianin Jerzy Wierchowicz zaczynał w Unii Demokratycznej, potem był w Unii Wolności, gdzie doszedł do funkcji przewodniczącego klubu parlamentarnego (1998–2001). Zapisał się do Partii Demokratycznej, a w 2007 r. bezskutecznie ubiegał się o miejsce w parlamencie z ramienia komitetu Lewica i Demokraci.

Jacek Dariusz albo Dariusz Jacek Bachalski (nigdy nie udało mi się ustalić kolejności imion) podający się za polityka z Gorzowa wtargnął do Platformy Obywatelskiej podczas zebrania regionalnego w Łagowie i jako jej członek najpierw był postem,

potem senatorem. Gdy utracił władze w zarządzie regionalnym partii, zamilkł, aby niedawno odezwać się w Stronnictwie Demokratycznym w Poznaniu.

Sulechowanin Stanisław Gudzowski najpierw należał do Porozumienia Centrum, potem do Ruchu dla Rzeczypospolitej. Mandat poselski zdobył z listy Ligi Polskich Rodzin, z której wystąpił w 2007 r. Ponownie kandydował do sejmiku z listy Prawa i Sprawiedliwości jako przedstawiciel Ruchu Ludowo-Narodowego.

Szprotawianin Henryk Ostrowski miał legitymację Polskiego Stronnictwa Ludowego, ale do sejmiku dostał się z ramienia Samoobrony, którą porzucił, gdy ta w kolejnych wyborach nie umieściła go na swojej liście. Najpierw założył Samoobronę Ruch Społeczny, a potem zapisał się do PSL „Piast”, by w 2006 r. ubiegać się o mandat radnego sejmiku lubuskiego z listy Prawa i Sprawiedliwości.

Jako członek Sojuszu Lewicy Demokratycznej Waldemar Starosta ze Sławy mógł tylko marzyć o mandacie poselskim. Zapisawszy się do Samoobrony, znalazł się na pierwszym miejscu listy kandydatów tej partii do izby niższej parlamentu i oczywiście został posłem.

W ludowej Polsce Krzysztof Zaręba został wojewodą gorzowskim z ramienia Stronnictwa Demokratycznego. Potem był przewodniczącym lubuskiej Unii Pracy, a w 2006 r. został wiceministrem środowiska z rekomendacji Samoobrony.

Gorzowianin Marek Surmacz też należał do SD (1987–1990), potem do ZChN, a wiceministrem spraw wewnętrznych został w rządzie PiS, LPR i Samoobrony.

Zielonogórzanin Kazimierz Pańtak wszedł do sejmiku z legitymacją Unii Pracy, pod koniec kadencji przeszedł do klubu parlamentarnego Sojuszu Lewicy Demokratycznej.

Alfred Owoc (zielonogórzanin mieszkający w Warszawie) był posłem SLD do 2003 r. Wtedy to usunięto go z klubu parlamentarnego po aferze z głosowaniem na cztery ręce, zapisał się więc do klubu Unii Pracy.

Czy zmiana przynależności partyjnej wynikała ze zmiany poglądów politycznych? Takie pytanie zadawałem większości lubuskich parlamentarzystów, którzy zmieniali barwy partyjne. Zawsze odpowiadali przecząco lub, co jest charakterystyczne dla osób podejrzliwych, w moim pytaniu doszukiwali się drugiego dna. Najbardziej inteligentni dowcipkowali, że tylko krowa nie zmienia poglądów.

## Co po nich zostanie?

Jak już napisałem, z całą pewnością w podręcznikach historii Polski pozostaną dwaj lubuscy politycy – Zych i Marcinkiewicz. Obaj choćby ze względu na kalendarium wydarzeń, w którym odnotowano początki i końce sprawowania przez nich funkcji państwowych. Może też jako bohaterowie książek. O Zychu Wojciech Szwejder napisał *Trudną lekcję demokracji* (Kraków, Jagiellonia, trzy wydania, ostatnie w 2007 r.) i *Na przekór losowi* (Kraków, Jagiellonia, 2008). Z Marcinkiewiczem Michał Karniowski i Piotr Zaremba przeprowadzili wywiad-rzekę *Kulisy władzy* (Warszawa, Prószyński i S-ka, 2008). Świadomie nie przywołuję książek polityków-naukowców, np. Mariana Eckerta, Tadeusza Bilińskiego, Mariana Miłka.

Zostaną też „złote myśli”. W 2004 r. Zych powiedział do swego kolegi w sejmie, co za pośrednictwem mikrofonów stacji radiowych i telewizyjnych dotarło do Polaków: „No stary, ale co mi tu, k... przynosisz?”. Rok później z mównicy sejmowej były marszałek mówił: „Wysoki Sejmie, nie po raz pierwszy staje mi... Przychodzi mi stawać... przed Izbą... Wysoki Sejmie staje mi w pamięci pan poseł Iwiński”. Za drugą wypowiedź słuchaczce radiowej Trójki przyznali lubuskiemu posłowi statuetkę Srebrnych Ust.

Zych ma bardzo dobrą opinię u wyborców. W każdych wyborach parlamentarnych sam zbierał więcej głosów niż pozostali kandydaci PSL razem wzięci. Zresztą i inni politycy wypowiadają się o nim z uznaniem. Tomasz Nałęcz: „Jego wieloletnia działalność publiczna jest znakomitym przykładem rzadko obecnie spotykanej wierności takim zasadom jak uczciwość i prawość”. Józef Oleksy: „W postawie Józefa Zycha najbardziej cenię pryncypialność i bezstronność”. Olga Krzyżanowska: „[...] pan Józef Zych godnie pełnił zaszczytną funkcję marszałka Sejmu”.

Marcinkiewicz jest autorem wielu powiedzonek. Najślawniejsze padło z jego ust w 2005: „Jestem młodym człowiekiem, przynajmniej za takiego się uważam, a młodzi ludzie jak coś wygrają, robią mniej więcej coś takiego: yes, yes, yes”. Rok później obwieścił, iż „Najpierw musi być węgiel, żeby potem było światło”. Niedawno swój rozbrat z PiS wyjaśnił tak: „Odszedłem z polityki, bo to choroba śmiertelna”.

Myśli i postępowanie premiera z Gorzowa, jak się mówiło o Marcinkiewicz, kiedy był prezesem Rady

Ministrów, rozdrażniły część Polaków, gdy w Londynie poznał dużo młodszą od siebie kobietę i rozwiódł się z gorzowską żoną. Wtedy przypominano mu zdanie, jakie wypowiedział w 2005 r.: „Naturalna jest rodzina i państwo musi stać na straży rodziny”.

Janusz Zemke (SLD) w 2009 r. tak powiedział o już byłym premierze: „Marcinkiewicz to Doda polityki. Co Marcinkiewicz zrobił w polityce? On jest znany z tego, że jest znany”.

W historyjkach o politykach pozostanie gorzowianin Marek Surmacz, który jako wiceminister spraw wewnętrznych i administracji posłał policjantów po kanapki dla swojej partyjnej koleżanki, wiceminister polityki społecznej Elżbiety Rafalskiej. W jego życiorysie jest kilka nie do końca wyjaśnionych spraw, jak chociażby te: kradzież prądu albo kara „za naruszenie nietykalności cielesnej wicekomendanta z Gorzowa”, który przyłapał go na tym, jak podczas kampanii Hanny Gronkiewicz-Waltz wysyłał fakсы z policyjnego sprzętu.

W regionalnych kronikach powinni pozostać Czesław Fiedorowicz i Jerzy Wierchowicz (wtedy obaj członkowie Unii Wolności) oraz Edward Daszkiewicz i Maciej Jankowski (obaj z Akcji Wyborczej Solidarność), którzy wbrew decyzjom swoich partii głosowali w sejmie za podziałem kraju na więcej niż 12 województw, domagając się utworzenia regionu lubuskiego z urzędem marszałka w Zielonej Górze i wojewody w Gorzowie. Wyraźnie wspierali ich politycy Sojuszu Lewicy Demokratycznej: Andrzej Brachmański, Jan Kochanowski, Zbyszko Piwoński. Wojewoda zielonogórski Marian Miłek, oficjalnie lojalny wobec szefa rządu, był sercem i argumentami z politykami. Nawet ordynariusz zielonogórsko-gorzowski biskup Adam Dyczkowski, który zaprosił polityków do kawiarni seminarium, gdzie powstała ugoda paradyska

## Poszukiwani

Tadeusz Biliński (77 lat), Marian Eckert (77), Stefania Hejmanowska (72), Zdzisław Jarmużek (75), Edward Lipiec (73), Walerian Piotrowski (82), Zbyszko Piwoński (80) mają prawo do zasłużonej emerytury. Co mogli, ile umieli, tyle zrobili. Zresztą w polityce w większości znaleźli się nieprzypadkowo. Część lubuskiej elity politycznej sprawdza się w administracji regionu (np. Jarosław Barańczak, były wojewoda zielonogórski, dyplomata, podsekretarz

stanu, dziś jest dyrektorem generalnym Lubuskiego Urzędu Wojewódzkiego w Gorzowie). Kazimierz Pańtak prowadzi własną kancelarię prawniczą i jest radnym sejmiku lubuskiego. Jerzy Wierchowicz ponownie bywa w sądach w tożsamość adwokata. Elżbieta Płonka z urzędu wicemarszałka województwa wróciła do zawodu lekarki, pozostając radną sejmiku lubuskiego. Zastępcą burmistrza Żar został Franciszek Wołowicz, który przed objęciem mandatu posełskiego był burmistrzem tego miasta. Jan Andrykiewicz wykłada na Uniwersytecie Zielonogórskim i prowadzi gospodarstwo rolne. Jan Świrępo zasiada w fotelu wicewojewody lubuskiego.

Gdzie się podziiali parlamentarzyści sejmu kontraktowego Andrzej Gabryszewski i Tadeusz Sierżant (obaj z Komitetu Obywatelskiego)? Co robi Iwona Zakrzewska (Konfederacja Polski Niepodległej)? Dlaczego milczy Roman Rutkowski (Akcja Wyborcza Solidarność)? Gdzie przepadł Waldemar Starosta (Samoobrona)? Co się dzieje z Krzysztofem Bosakiem (Liga Polskich Rodzin)? Dlaczego zamilkli Jadwiga Błoch, Andrzej Brachmański, Jakub Derech-Krzycki (wszyscy z Sojuszu Lewicy Demokratycznej)? Na kogo się obraził Edward Daszkiewicz (Akcja Wyborcza Solidarność)? Gdzie są byli wojewodowie gorzowscy Zbigniew Puszyński i Jerzy Ostroch? Przecież to były osoby, które miały dużo do powiedzenia przede wszystkim w sprawach kadrowych środkowego Nadodrza. Czyżby zajmowali się polityką przypadkowo albo wyłącznie dlatego, że ktoś je wyznaczył? Dlaczego doświadczeń zdobytych w parlamencie nie spożytkowali, kiedy przestali być posłami i senatorami?

Pełnienie obowiązków parlamentarzysty i radnego uważam za służbę. Skoro tak, to nie dopuszczam wykorzystywania tych funkcji dla osiągnięcia celów osobistych. Niestety, temu nie udaje się zapobiec, a nepotyzm wcale nie jest zjawiskiem, czego przykłady podałem wcześniej.

Nasi politycy często przypisują sobie rolę nadczłowieka, takiego superprofesora, który zna się na wszystkim. Słuchają doradców albo i nie i najczęściej włączają się do rozmowy na końcu.

## Zamiast podsumowania

Chwała Bogu i parlamentowi, że osoby karane już nie będą mogły rządzić niekarany. Gdyby tak jeszcze istniał obowiązek przedstawiania zaświadczeń od psychiatry, byłbym jak Jan Długosz, który

w *Kronikach* napisał: „Teraz szczęśliwym mienię siebie i swoich współczesnych, że oczy nasze oglądają połączenie tych krajów ojczystych w jedną całość, lecz byłbym szczęśliwszy, gdybym doczekał za łaską Bożą odzyskania i zjednoczenia z Polską Śląska, Ziemi Lubuskiej i Słupskiej”. Rzecznik praw obywatelskich Janusz Kochanowski powiedział tygodnikowi „Polityka” (2009, nr 30, s. 7), że „Być może w prawie wyborczym albo w konstytucji powinniśmy wprowadzić wymóg stosownego zaświadczenia od kandydatów do pełnienia władzy”. Wcześniej ten sam urzędnik miał odwagę powiedzieć temu samemu pismu: „Potrafię wskazać przykłady

osób w naszym parlamencie, których zachowanie i wypowiedzi nasuwają poważne wątpliwości co do ich zdrowia psychicznego i rozwoju umysłowego”. Ja też, panie doktorze. I z całą pewnością miliony Polaków, którzy słyszą wypowiedzi albo w telewizji oglądają ministrów, parlamentarzystów, radnych, urzędników i działaczy partyjnych.

PS W księgarniach jest bardzo dużo dzieł i znacznie mniej arcydzieł literackich. W polityce jest elita i są satelity. Podobnie w nauce, sporcie, gospodarce itd. Powinni o tym pamiętać ci, którzy uważają, że swoim zachowaniem dzisiejsi politycy przewyższają kabareciarzy.





# Kapral King – czyli siła przewodnia

Podczas minionej wojny w japońskim obozie Changi na Singapurze uwięziono tysiące alianckich jeńców wojennych. Znaleźli się tam zwykli żołnierze, ale także oficerowie, inteligenci i arystokraci. Życie w obozie było dla nich pasmem udręk. Umierali z niedożywienia i z powodu chorób, byli poniżani i upadłani. Dumni niegdyś anglosascy oficerowie, powłócząc nogami, snuli się bez celu pomiędzy barakami. Ich mundury stały się brudnymi łachmanami, a pojęcia jak godność osobista i honor odeszły w zapomnienie. Zwyciężyła atawistyczna chęć przetrwania. Zdobycie garści ryżu było marzeniem. Chorzy konali w męczarniach na oczach towarzyszy. Wraz z kolejnymi jeńcami umierały ludzkie odruchy, Changi niosło śmierć nie tylko ludziom – Changi było śmiercią humanizmu.

Jednym z jeńców był niejaki kapral King rodem z Brooklynu. Był inny niż jego koledzy. Otóż King od początku bez skrupułów porzucił wszelkie zasady. Wkupił się w łaski strażników, zapomniał o patriotyzmie i lojalności wobec współwięźniów. W krótkim czasie dzięki niejasnym interesom oraz podejrzanym układom z japońskim dowództwem stał się najważniejszą osobą obozu. Królem. To u Kinga za papierosy lub ocalałe precjoza można było po prostu kupić ryż, lekarstwa czy nawet mięso. Miał prywatną hodowlę szczerów, które po uboju sprzedawał jako jadalne mięso. Kapral King był nie tylko najlepiej odżywionym i najbogatszym człowiekiem w Changi. Oficerowie,

inteligenci, arystokraci przychodzili do brooklyńskiego cwaniaka Kinga z prośbami o pomoc i poradę, czasem o mediacje u japońskich dozorców. Tak oto King, prostak i cynik stał się autorytetem i przewodnią siłą w obozie.

Historię tę opisał James Clavell w słynnej książce pod znamienne dwuznacznym tytułem *Król szczerów*. Ta tragiczna opowieść jest przestrożą, że na przewodnią siłę dowolnej społeczności mogą wykreować się ludzie o – delikatnie rzecz ujmując – podejrzaną proveniencji. A przecież tak czy inaczej elity powstają. Pozostaje więc pytanie o genezę i jakość „przewodniej siły”, z którą mamy do czynienia współcześnie – tu i teraz.

Określenie „przewodnia siła narodu” pamiętamy z szarych czasów naznaczonych piętnem bylejakości i bezsensu. Młodszemu czytelnikowi przypomnę, że tak w slangu bolszewickiej nowomowy nazywano Polską Zjednoczoną Partię Robotniczą. Nie będę się siłił na definiowanie tej organizacji, gdyż po pierwsze, wbrew pozorom zdefiniować ją nie tak łatwo, a po drugie ...chyba nie warto. Ważne jest jednak użyte określenie: „przewodnia siła narodu”. Oto ktoś uznał, że naród polski potrzebuje „przewodniej siły” i dookreślił, że jest nią ta właśnie organizacja. Czyżby to było marksistowskie *novum* na rozgwieżdżonym firmamencie historii?

A gdzież tam. Nie trzeba dogłębnej znajomości historii, żeby się zorientować, że w naszych dziejach

nie było nawet chwili bez dyżurnych elit przewodzących. Jedne z nich były lepsze inne średnie, a jeszcze inne fatalne.

W Pierwszej Rzeczypospolitej bez wątplenia siłą tą była szlachta sarmacka wypowiadająca się i stanowiąca prawa w imieniu całego narodu. W czasach unii saskiej (dzisiaj syć się urokiem Saksonii, zapachem jej sosnowych lasów i zielenią jej łąk) Sarmaci ex *avaritiae et stultitiae*, a mówiąc kolokwialnie – z chciwości i głupoty oddali pałeczkę przewodzenia obcym. I tak już pozostało. Były jeszcze romantyczne zrywy i towiańszczyzna. Była jeszcze wielkość Drugiej Rzeczypospolitej. Wszystko to jednak zostało ostatecznie symbolicznie, rzeczywiście i tragicznie zakończone w Warszawie *anno domini* 1944.

Pierwszym etapem niszczenia elit był hitleryzm, ale dopiero stalinizm ostatecznie przemienił oblicze naszego społeczeństwa. Towarzysz Stalin wiedział, że potrzeba nowych, sprawnych inżynierów dusz. Dlatego zresetował naród w sobie właściwy sposób. Zlikwidowano ocalałą po wojnie klasę postsarmacką, a na jej miejsce wprowadzono nowych ludzi, obowiązkowo ze społecznych (nieradko i etycznych) nizin. Była to prawdziwa rewolucja. Zlikwidowano – czytaj wymordowano – jedną klasę, żeby na jej miejsce wprowadzić tzw. zdrowe jądro narodu. Ten zbrodniczy zabieg stworzył okazję do budowy społeczeństwa wyalienowanego od wartości i tożsamości. Tak powstała „przewodnia siła narodu”. Ocalałe z podwójnej rzezi jednostki nie były już w stanie znacząco wpłynąć na ogólny stan rzeczy. Pozbawieni zakotwiczenia w osobistej historii tak zwani „nowi ludzie”, stanowili „nowy ład”. Zaś ci, którzy dostrzegali niespójność i zło nowego ładu, musieli najpierw od podstaw stworzyć w sobie tożsamość polskiego inteligenta. To jednak nie jest zadanie dla jednego tylko pokolenia. Co dzisiaj pozostało po elitach tamtych smutnych czasów? Wbrew pozorom wcale niemało.

Często pada kwestia o elity narodu polskiego. Pytanie o współczesną przewodnią siłę narodu. Odpowiedź na to pytanie ma niebagatelne znaczenie

dla zdefiniowania naszej szeroko pojętej polskiej kondycji. Zatem kto stanowi współczesną siłę przewodnią narodu? Jakie są proporcje między tymi, którzy ocaleli, tymi, którzy tworzyli „nowe jutro” a tymi, którzy współcześnie budują naszą nową tożsamość? Niestety takich szacunków nie sposób dokonać. Te miary mieszkają wszak w ludzkich umysłach i duszach. Można jednak oceniać owoce. Te są widoczne tak we współczesnej polskiej mentalności, jak w dziele naszej kultury, tak w gustach Polaków, jak w zachowaniach przewodzących nam szeroko pojmowanych elit. Może warto się przyjrzeć upodobaniom współcześnie „przewodniej siły”, warto posłuchać jej języka i zobaczyć, jakie dobra stawiają na pierwszych miejscach. Zwróćmy uwagę na absolutyzację popkultury połączoną z oczekiwaniem na gotowe recepty życiowe. Jeśli dorzucić do tego lenistwo intelektualne (nie bójmy się tego słowa), to wnioski mogą być różne.

Nie bez powodu na wstępie przywołałem postać kaprała Kinga. Niezależnie od tego jak go ocenimy, był elitą obozu Changi. Ba, stał się osią życia i nadzieją dla większości osadzonych tam jeńców. Chociaż w głębi duszy współwięźniowie gardzili nim, to nikt nie śmiał mu powiedzieć tego w oczy, przeciwnie oficjalnie uznawano w nim arbitra i dobroczyńcę. Dopiero dzień wyzwolenia Changi obnażył prawdę o micie wielkości króla szczurów. Odzyskana wolność natychmiast przywróciła pierwotne znaczenia słowom i postawom. Koniec powieści ukazuje zdziwienie opuszczonego i odrzuconego kaprała Kinga – „króla szczurów”. Nie był w stanie pojąć, że wolność przywróciła ludzkim szczerom poczucie godności, że wolność przywróciła człowieczeństwo.

Pozostaje pytanie o naszą siłę przewodnią, o współczesne polskie elity. Ile w nich ducha kaprała Kinga? Ile ducha wolnych choć biednych ludzi, którzy z mozołem odbudowują własną tożsamość? W końcu ile prawdziwej wolności wewnętrznej? Należy dodać, że kwestie te mają jedynie indywidualne odniesienia, a postać kaprała Kinga jest tylko przestroga.

# O elitach, czyli jak jest

Zawsze przed sobą masz wybór  
– zachować się przyzwoicie albo okryć się hańbą

O elitach w kontekście historycznym można by rozprawiać długo. Już koncepcje idealnego państwa Platona na istnieniu oświeconych elit wspierają się jak na fundamencie. W ogóle, gdyby spojrzeć choćby na nowożytnie dzieje ludzkości, to sprawowanie władzy było możliwe i uwarunkowane ukształtowaniem się elit władzy. Bez względu na egzekwujących swoje przywileje i prawa. Im wyższy stopień społecznego rozwoju, tym więcej w większym zakresie te struktury władzy miały zróżnicowany charakter. To wszystko prawda. I w jakimś nie budzącym wątpliwości stopniu nadal tak jest. Co prawda system demokracji wypracował zdawałoby się bardzo szeroki system udziału każdego człowieka w sprawowaniu władzy, ale faktycznie tylko wąskie grupy, nawet nie całe partie, ale ich elity, liderzy, tak to się przecież nazywa, ją realnie wykonują. Cóż, że jeden czy drugi poseł reprezentuje w parlamencie nie koniecznie rodzimy region, gdy przez całą kadencję potrafi nawet głosu nie zabrać. Od tego jaka jest władza, zależy zaś jakie jest życie codzienne, przepisy, prawa, podatki, propaganda, dobrobyt lub jego brak, a zwłaszcza systemy wartości. Rzecz jednak w tym, że na przebieg wielu zjawisk nie tylko pojedynczy człowiek, obywatel posiadający wyborczy głos, całe grupy społeczne wpływu nie mają lub mają niezwykle ograniczony, nie zawsze skuteczny. Nawet, gdy obecnie do sporu z elitami władzy włączają się media, będące rzecznicami opinii publicznej. Zwłaszcza telewizja. Owszem personalne zmiany często nawet szybko bywają przeprowadzane, głównie dla zaspokojenia roszczeń wyłącznie medialnych. Nie zawsze zresztą ta zmiana

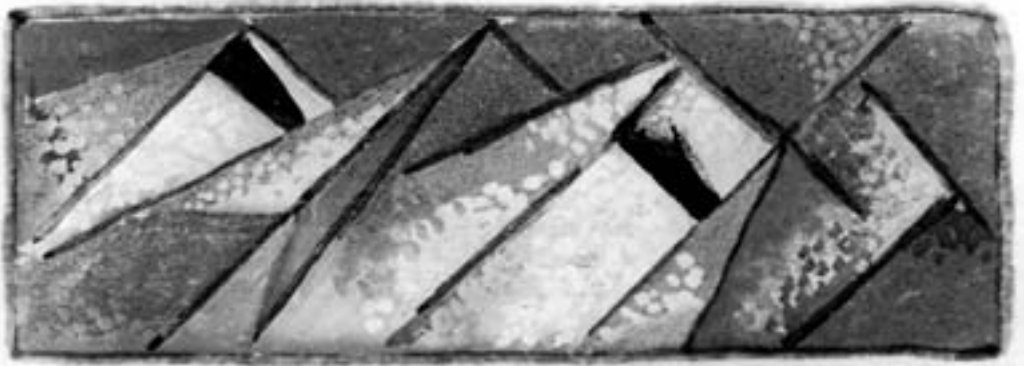
musi oznaczać nastanie czegoś lepszego. Często chodzi o zwykłą, banalną kosmetykę. Każda władza i to na wszystkich szczeblach oraz stanowiskach, pamiętajmy, stanowi materię oporną nawet wobec słuszych postulatów. Za dobrze by było, gdyby wszystko co racjonalne i co przychodzi z zewnątrz, co jest zdrowym głosem krytyki, aby z całym dobrodziejstwem inwentarza było brane pod uwagę. Jeśli więc mówić o obecnych elitach władzy jako o elitach w dosłownym tego słowa znaczeniu, to wypada tak rzecz widzieć tylko w ograniczonym zakresie. Każda władza prędzej czy później ulega destrukcji, degeneruje się, po prostu zużywa się, nie mówiąc już o zwyczajnym popełnianiu błędów. I konieczna jest jej zmiana. W Polsce jak na razie władza zużywa się w szybkim tempie. Bo tak naprawdę, poza wszystkim albo obok wszystkiego, zmienia się w grupę dbającą o swój partykularny interes, wielorako się konkretyzujący. A to szokującymi aferami, prywatą, a to partyjniackim, czyli zawłaszczającym podejściem do jak największej ilości dziedzin życia. Żadna władza jako taka nie może być więc brana do końca na serio. Gdyż nie wyznacza nigdy uniwersalnego modelu duchowego, który mógłby stanowić odniesienie o ponadczasowym charakterze. Dlatego muszą, ba, powinny istnieć w społeczeństwie takie elity moralne, duchowe i intelektualne, zachowujące wizję, prestiż i autorytet, zdolne do poświęcenia i poddania się próbie, których głos w sytuacjach kryzysowych, byłby słyszalny i wystłuchiwany. Rodzące się powszechne pytania i wątpliwości znajdowałyby wyjaśnienie

i odpowiedź. One to, te elity, jeśli mają dysponować mocą wiarygodności muszą odwoływać się do wzorów uniwersalnych. Niekoniecznie w praktyce dysponując narzędziami kształtującymi życie ogółu. I im społeczeństwo jest dojrzsalsze, na wyższym stopniu rozwoju, tym więcej może być miejsca na istnienie takich grup nacechowanych walorami prawdziwie światłego myślenia. Prawie na wzór greckich myślicieli, mędrców, filozofów toczących otwarcie i bezinteresownie wszelkie dysputy publiczne na ateńskiej Agorze. Oczywiście może i powinno takie miejsce w systemie społecznym być, ale nie musi. Przykład współczesnej Rosji (ginącej dziennikarze), czy krajów despotycznych, totalitarnych (Korea Północna, Iran, Chiny) jest wielce pouczający w tym względzie. Tam za krytykę lub nawet odmienne zdanie płaci się często cenę najwyższą. Tak dziwnie się jednak koło dziejów toczy, że w newralgicznych momentach pojawiają się ponadprzeciętne jednostki, które odgrywają jedyną w swoim rodzaju rolę, wpływają zasadniczo na los milionów ludzi. Tak było z Gandhim, Mandelą, Piłsudskim, Matką Teresą z Kalkuty i wieloma innymi, współcześnie upominającymi się o prawa człowieka. Ci ludzie oczywiście nie brali i nie biorą się znikąd, nie hołdowali samotnemu czynowi na wzór Kordiana z dramatu Słowackiego. Zabierali głos, wzbudzając natchnienie dla wielu bezimiennych bohaterów powszedniej codzienności również w mikrosocjalnej skali. W każdym razie bez obecności elit lub genialnych, wybitnych jednostek, spełniających wysokie wymogi pod wieloma względami, życie społecznie ulegałoby deformacji. One zaś wprowadzają i odnawiają zagubiony ład bądź przywracają zniweczone obszary człowieczeństwa. Lub wytarczają nowe horyzonty idei, trendów intelektualnych, artystycznych, technicznych. Zdają sobie sprawę, że w tym momencie dotykam raczej zagadnienia postulatu funkcjonowania idealnego modelu aniżeli realnej rzeczywistości. Która uzyskała współcześnie w Polsce już zupełnie inną strukturę. Jeśli przywołać, powiedziałbym, ostatnie dziesiątki lat, to owszem, zadziwiająco pozytywnie zadania zostały wypełnione. Uniknęliśmy pełnego zniewolenia. Nie totalitarna władza, „przewodnia siła narodu”, awangarda klasy robotniczej, ale presja elit społecznych, np. KOR-u, konkretnych ludzi mniejszej lub większej wagi, a także Kościoła (vide: książdz Popiełuszko, zwłaszcza jego śmierć), miała doprowadzić do zmiany systemu politycznego w Polsce, któremu

poparcia udzieliło całe społeczeństwo. Rok 1989 stanowi ukoronowanie całego długiego procesu realnego oporu, niezależności ducha, świadectwa niezgody na system Polsce obcy. Naród się konsolidował we wspólnym celu. Nie siła fizyczna okazała się przemożna i decydująca, nie klasyczna krwawa rewolucja dokonała dzieła przemiany, którą zawsze można zdławić i dławiono brutalnie wszelkie jej przejawy, ale podstawowe wartości, ich zachowanie w najprostszyc odczuciach i odruchach, potwierdziły, że mogą być decydującym orężem w budowaniu nowego porządku. Zwyciężyły różnorako artykułowane wartości. W wielu momentach i na wielu polach. Prawdziwe bowiem wartości zawsze mają moc elitarniej niezależności i sprawczości. Poniekąd są dla wybranych. Raz w sposób przypadkowy zupełnie były to Dejmkowski *Dziady*, które zaowocowały Marcem 68, i w niedługim czasie odejściem ekipy (elity) Gomułki od władzy. Przyszedł następnie nieco bardziej liberalny Gierek z wizją nowoczesnej Polski. Później przede wszystkim miał znaczenie pierwszej wagi wybór Papieża-Polaka na Stolicę Piotrową. To On odnawiał przez lata „oblicze tej ziemi”, odnawiał wnętrza poszczególnych ludzi. I w rezultacie mógł w Polsce w 1980 roku wydarzyć się Sierpień. W tamtych dniach w nastroju święta wolności (warto było żyć, aby tego doświadczyć), w tysiącach zakładów przemysłowych w Polsce, szczególnie w stoczniach, podjęta przez robotnicze masy zwyciężyła poezja Wielkich Romantyków – Słowackiego, Mickiewicza, Norwida, ale i Miłosza. Zadziwiające było jak niektóre wiersze autora *Traktatu moralnego* weszły wtedy w powszechny obieg. Znali je prości ludzie. Na nich budowali swoją odwagę i poczucie godności. To był jednak dopiero zasiew pod właściwą uprawę wolności. Gdyby po wprowadzeniu stanu wojennego, po przymusowej emigracji wielu działaczy Solidarności, całkowicie znikło wytrwałe, elitarnie, niezależne, konspiracyjne myślenie (wiele ówczesna władza w tym kierunku robiła), to dzieje w tej części Europy potoczyłyby się zupełnie inaczej. Solidarność, i zwłaszcza jej oczyszczający etos, nie umarła. Z elitarnością jest tak, że niekoniecznie należy kojarzyć ją z wysoko w hierarchii społecznej usytuowanymi i funkcjonującymi grupami. Często rolę awangardowego dokonania, poruszenia lawiny przemian, przypadkowo spełnia ktoś niewiele znaczący. Podczas gdy tzw. elity mogą być skorumpowane, zaprzędane, zainteresowane utrzymaniem swego stanu posiada-

nia za wszelką cenę itp. Z nich nigdy nie wyjdzie iskra, która daje nowe życie. Wiodą żywot bierny, układowy, zachowawczy. To, że w końcu dzieje przyznały rację robotnikowi Lechowi Wałęsie, ale i Kazikowi Skorupskiemu, który w Zielonej Górze jako pierwszy zakładał Solidarność, będąc w Teatrze Lubuskim na posadzie reżysera, jest jak najbardziej wymowne. Przemiany na skalę światową dokonały się bez przystawienia jednego wystrzału. Wszystkim się wydawało, że teraz czeka nas tylko era szczęścia. Nowe elity miały pracować wyłącznie ku powszechnemu dobru w oparciu o sprawiedliwość, prawdę, dobro i mądrość. To szybko okazało się złudzeniem i przyczyniło się do przybierającego na sile rozczarowania wielu nadziei i oczekiwań. Nie bardzo nasze społeczeństwo zdawało sobie sprawę, że taki ład trzeba dopiero zbudować. Przede wszystkim musiało uwolnić swoje wnętrze od dawnych nawyków. Nie zamierzam tu analizować tego wszystkiego, co się potem działo; owych „wojen na górze”, „grubej kreski”, lustracji i setek innych konfliktowych spraw. W każdym razie jesteśmy w zupełnie innym momencie. Część egzaminu elity w Polsce zdały należycie. Weszliśmy do Europy, co nie było wcale takie oczywiste i zagwarantowane już na samym poziomie ówczesnych starań. Jednak obecnie znowu aktualne i gorące pozostaje pytanie o stan duchowy polskiego społeczeństwa. O to, czym w tej chwili zajmują się elity władzy i elity polskiej inteligencji. Jaki jest cel? Czy zwłaszcza te ostatnie należycie wypełniają swoje zadanie bycia solą ziemi. Myślę, że to jaka będzie przyszłość Polski znowu się rozstrzyga. Pytanie należy zadać jeszcze dosadniej: czy współczesne elity nie zużyły się, nie zdegenerowały, czy nie zatraciły swojej tożsamości w procesie niemal

wszelkoczesnej merkantylizacji. To, do czego np. powołany jest lekarz zeszło na daleki plan. Celem stały się „godziwe”, czyli wielotysięczną pensję, gdy kraj przeżywa kryzys, a deficyt budżetu rośnie katastroficznie. Gdy przed szpitalem, bez udzielenia pomocy, na schodach umiera człowiek. Można też zapytać czy władza sądownicza, związkowa, dziennikarstwo należycie służy człowiekowi, ochronie jego praw, prawdy, godności. Czy wreszcie władza duchowna prawdziwie zainteresowana jest sferą ducha, a we właściwej jedynie proporcji mamona. Przeciętny Polak może zauważyć: cóż z tego, że mamy wolność, gdy los jednostki coraz marniejszy. Nigdzie, gdziekolwiek by się nie zwrócił nie może liczyć na bezinteresowność, szlachetne zatroskanie, zrozumienie, odnosząc wrażenie, że całe urządzenie świata jest przeciw niemu. Bezdušność, manipulacje, egoizm, znieczulica, obojętność i wreszcie chciwość elit przeradza się w chorobę codzienności, w to wszystko z czym mamy w coraz większym stopniu do czynienia obok, na ulicy. Elity we współczesnej Polsce wchodzi na jedną z najgorszych dróg (nie tylko w Polsce), która prowadzi do odwracania się od innych, od wartości, do zachowywania pozorów, byleby tylko patrykularne interesy miały się jak najlepiej. Kiedyś aktem bohaterstwa było rozsypanie ulotek, strajk, czasami odmowa donosicielstwa. Narażanie się. Dzisiaj elementarna uczciwość przestaje być modna. Nowe elity gospodarcze wyrosły na hasło: „pierwszy milion trzeba ukraść”. Nowych, proponujących inną wizję życia nie widać. W 1980 roku wchodziliśmy na jedną z najpiękniejszych dróg, czy po to, by z premedytacją wkrótce zmieniać ją w jedną z najgorszych, która nie zachowuje szlachetności ani miary przyzwoitości?



*Przyjaciele, czeka na nas łódź i kołysze się w świetle,  
gdzie wygina się niebo  
I dotyka morza, szybują stworzenia rozkochane szaleńczo  
W Bożym obliczu gorącym od nadziei...*

Mario Luzi

Dedykuje:  
Ernest Maes, Bernard Houwen,  
Paul Pichal, Jan Van Duffel

**Kwartet waltorniowy  
„In the Church”**

Spacer oddechów  
klapy instrumentów  
sięgają oktaw  
najwyżej  
    najniżej  
w przezroczystej kuli  
dźwięku

Pod kopułami fermat  
wydymane złotem  
policzki nut  
przechodzą w fale  
wypływają wzburzone  
na pełne morze  
wiary

Jak w opowieści  
o Rut  
stoją otworem  
drzwi  
na zawsze  
kołysze się ziarno  
Agape  
anioł zwiastuje  
Mater Dei

Overpelt, Klasztor Mater Dei, grudzień 2008

**Słyszeć obrazy  
(muzyka zimą)**

W ogrodzie  
lśni zima  
Pęki kwiatów  
śpią  
w inkubatorze  
szronu  
Przez altanę  
drga lejek słońca  
rozbitym na tysiące  
kryształem lodu  
W basowych kluczach  
pergoli  
magia tria

Ta muzyka zimą  
jest źródłem modlitwy  
harmonią  
łapczywie chowaną  
w sercu  
momentem  
który Bóg wie  
wiem –  
kiedyś odkryjesz  
jak Mozarta  
Chopina  
Bacha  
w krótkich spojrzeniach  
i długiej pamięci  
słuchu



### Wariacje na temat twarzy

Rozmawiałam łzami  
pieczęć spojrzenia  
i tuż potem  
moment synkopy -  
wylewająca się zieleń  
poza kontury  
kościelnej wieży

Zamglona biel powietrza  
zrywam bzy dla Ciebie  
jak po kolejnej klasówce  
a Ty schodzisz boso z nieba  
i przy okazji spaceru  
zasiadasz w altanie  
tuż obok tysiąca „żyć”

Twój drobny wybuch buntu  
o ścieżkę która porośla trawą  
o zanadto wszystkiego  
o za mało Ojczy nasz  
któryś jest

Przedziwne miejsce spotkania  
wiara i zwątpienie  
płacz do bólu  
pamięć i tożsamość  
na progu pierwszego słowa  
Mamo





**„Passionate historie d´eau”  
Albo Wniebowstąpienie**

Ranek i garstka podróżnych  
wśród których ja  
zamiast w kościele.  
Postój jest akwarelą snu  
i na rozmowę jeszcze za wcześnie  
tylko wzrok  
ta najpotężniejsza z sił  
żeby dojechać do celu.

„Passionate historie d´eau”  
Litera biegną przez Sint-Jorispoort  
i nagle pojawia się on  
anioł ze zmarszczką skupienia  
zmarszczkami od uśmiechu  
od unikania blasku słońca  
od zwykłej starości.

Proszę tylko spojrzeć –  
wskazuje na jakiś pejzaż  
mały i szary jak popiół  
Możemy sobie wyobrazić  
że płynie karminem  
chwieje się w mroku  
albo jaśnieje za oknem  
zielenią.  
Możemy to sobie wyobrazić powiada  
i ogarnąć wszystko to co zostanie  
z perspektywy patrzenia.

Ale kim jest totem  
patrzący z sufitu?  
Biel i tam gdzieś  
na niebie  
ptaki klaskają

Z wystawy akwareli Xavier Swolfs w Antwerpii

# Muzyka jest moją pierwszą i ostatnią miłością

Rozmowę z Zakiem Tellem, liderem szwedzkiego zespołu Clawfinger, który drugi raz z rzędu koncertował na Dużej Scenie Przystanku Woodstock i ponownie dał jeden z najlepszych koncertów, przeprowadził Karol Graczyk.

**– Grałeś już na Woodstock w zeszłym roku. Czy coś podoba ci się szczególnie w tym wydaniu muzycznym?**

– Po pierwsze jest to fantastyczny festiwal, choćby z względu na jego ogrom. To czyste szaleństwo. Drugą zachwycającą rzeczą jest fakt, że organizowany jest przede wszystkim dla wolontariuszy, którzy zbierali pieniądze na lekarstwa i koszty leczenia dla chorych dzieci. Nie ma nic lepszego na świecie niż miłość i szacunek – to tyle.

**– Możemy przeczytać, że uprawiacie takie gatunki muzyczne jak: metal, nu metal czy industrial rap. Najwidoczniej trudno jakoś zaklasyfikować waszą rozległą aktywność artystyczną. Jak nazwiecie muzykę, którą tworzycie?**

– Cóż, nigdy nie dbaliśmy o kwalifikowanie jej do jakiegoś gatunku. Po prostu gramy muzykę mocnego uderzenia, uczciwą muzykę z serca, pomieszane rytmy i fragmenty wszystkiego, co uznamy za interesujące. To, jak nazywają to ludzie, nie wychodzi właściwie od nas. Zwyczajnie dziennikarze muszą nadać jakąś nomenklaturę, żeby dać obraz tego, czym się zajmujemy, aby jakoś uzmysłwić nasze brzmienie czytelnikom.

**– Czy kiedy tworzycie muzykę, staracie się kogoś naśladować?**

– Nie, idziemy jedynie za głosem serca, ale oczywiście podczas pisania piosenek inspirują nas różni muzycy z przeszłości i teraźniejszości. Każdy członek zespołu ma swoje ulubione dźwięki, grupy muzyczne i pomysły na to, jak piosenka powinna brzmieć. To tylko kwestia zsynchronizowania wszystkich tych pomysłów w jedno, by utwór mógł być tak dobry, jak to tylko możliwe.

**– Jakiego rodzaju muzyki słuchasz w domu?**

– Różnej. Muzyka jest moją pierwszą i ostatnią miłością. Obecnie jedną z moich ulubionych grup jest Tv, ale mam ich wiele. Zbyt wiele, by wszystkie wymienić. Choćby wszystko w typie Boba Marleya, Johna Zorna, Franka Zappy, Dead Kennedys, przez Barkmarket, Dana Awerbacha, Vetiver, Super Furry Animals, aż do Public Enemy. Lista jest jeszcze długa.

**– Jaki jest twój stosunek do muzyki? Czy możliwe jest, byś odłożył swoją wiedzę muzyczną i słuchał czegoś tylko po to, by się zrelaksować?**

– Tak, uważam siebie bardziej za człowieka kochającego muzykę niż za muzyka, więc absolutnie nie stanowi dla mnie problemu, by zwyczajnie wycofać się i delektować albumem. Muszę przecież funkcjonować jak normalny człowiek. Nie jestem w zasadzie pewny, czy mam aż tak wielką wiedzę muzyczną. Bardziej kieruję się tym, co podpowiada

mi serce, które mówi, co jest dobre, a co nie, kiedy tworzę. Cieszę się, że koledzy z zespołu to akceptują.

**– Jakie są twoje plany na najbliższą przyszłość. Masz jakieś muzyczne marzenia?**

– W najbliższej przyszłości zacznę 10 sierpnia znowu pracę w szkole, kilka tygodni później – kurs na instruktora rozrywki i wypoczynku dla dzieci. Oprócz tego mam nadzieję, że znajdziemy trochę czasu, by kontynuować muzyczną podróż, ale jak na razie musimy zwyczajnie zapłacić nasze rachunki, a muzyka już tego za nas nie robi. Oczywiście marzeniem jest zostanie bogatym i sławnym, ale to raczej nieprędko się spełni. Trudno jest teraz takim zespołom jak nasz utrzymywać się z samego grania, ale czas pokaże. Jedynym planem, jaki mamy, jest nagranie na naszą dwudziestą rocznicę Deaf Dumb Blind i zaproszenie przy tym do współpracy naszych muzycznych przyjaciół, co sprawi, że będzie to bardzo specjalna i ekskluzywna wersja tego klasycznego już albumu.

**– Powiedz, jak wygląda twój zwykły dzień. Każdego poranka wychodzisz z domu, kupujesz chleb, bułki i gazetę, zajmujesz się dziećmi,**

**a wieczorem idziesz do kina z bliską osobą? Masz czas na takie rzeczy?**

– Cóż, codzienność jest dość nudna. Budzę syna, robię mu śniadanie, zabieram go i przy okazji siebie do szkoły na 8.15, pracuję do 16.30, wracam do domu, robię obiad, kładę synka spać około 19.00-20.00, a potem spędzam trochę czasu przed komputerem, oglądając filmy, odpowiadając na e-maile, pisząc bloga. Kładę się spać około północy.. Ekscytujące [uśmiech].

**– Który zespół metalowy uznałbyś obecnie za najlepszy?**

– Nie mam pojęcia. Nie słucham współczesnego metalu. Nie mam kontaktu z młodą sceną. Lubię stare zespoły takie jak: Helmet, Barkmarket, Faith No More, Alice In Chains, Skindred, SOAD, Soundgarden, Pantera czy Meshuggah. Pytasz nie tę osobę, co trzeba.

**– Czy jest jakiś polski zespół, który byś znał i doceniał?**

– Niestety, przykro mi to mówić, ale żaden z polskich zespołów jakoś bardzo mi się nie podoba. Znam oczywiście Vadera i Acid Drinkers, ale to tyle. Biję się w pierś [uśmiech].



### Mojżesz

Kamienne tablice wniósł na szczyt wszechświata  
żeby Jahwe  
o każdej porze  
miał je pod ręką

Przez zapadnie morza czerwonego  
poszedł do komory gazowej  
po czysty dym teologii

Na głos trąb z Jerycha  
powróci w ogniu  
winnego krzewu dziejów  
by złoty cielec Izraela  
zapadł się w ziemię



## Głaz

Po przebiciu elektryczną włócznią  
lewego boku mistrza z Nazaretu  
krew z krzyża Ewangelii  
jak spod gilotyny  
po bruku spłynęła do plwocin Sekwany  
pod wysokim napięciem rudych rud herezji  
na obu brzegach

Tylko w przytułku świętego Kazimierza  
zachowano wiarę w głaz zmartwychwstania



### O kochankach z Werony

Przy otwartej kurtynie bez cienia intymności  
nie poczną potomstwa  
gdyż obraziliby majestat prawa  
a z każdym sezonem turystycznym  
coraz w nich mniej wrzątku krwi

Z iskrą róży z rajskiego ogrodu  
przy wszelkich okazjach  
uciekają przed naszym wzrokiem  
żeby bezpotomnie  
nie zejść z tego świata



### **Droga**

Z wieścią o własnych narodzinach  
chodziłem od słowa do słowa  
ale zamknięto im usta  
żeby nie mogły zaświadczać

Gdy wszedłem w słowo  
o którym wszyscy zapomnieli  
zaraz mnie wypchnięto  
na złamanie języka

Odtąd nie mogę dojść  
do głosu  
jak do samego siebie



# W drodze ze stypy

– Młody był. Czterdziestolatek. Szkoda. Mógł jeszcze żyć, a żyć. Właściwie mu niczego nie brakowało. Dom prawie dokończony. Pędził z tymi budowlanymi robotami, jakby chciał jeszcze jedną chatę postawić – stwierdził „obcy” mieszkaniec wsi.

– W rodzinie mu się dobrze układało. Troje fajnych dzieci; grzecznych. Nauka nie sprawiała im kłopotu. Co go mogło doprowadzić do takiej rozpacz?

– No, z bankiem ostatnio miał problemy. Jak niemal każdy z nas. „Oszczędnie” narzekał, iż ledwie sobie daje radę. Mówił, że dom jakby nie jego. Skarżył się czasem, że w tym roku ciężarów wyjątkowo dużo. Ale był optymistą. Przynajmniej na takiego pozował.

Mężczyzna „obojętny” względem zmarłego spokojnie dodał, że maskowanie się w tego typu sytuacjach jest zachowaniem dość powszednim.

– Po raz pierwszy nie mógł na bieżąco, ostatecznie i nienagannie ustawić się w kredytowych zaległościach. Dziwił się nieustępliwej zachłanności banku.

Dość bliski powiernik tajemnic przyjaciela, jeszcze ze szkolnej „podstawowej” ławki, nie zapytał go o sumę finansowych „braków”.

– Przez ostatnie miesiące wyraźnie schudł, znacznie wyłysiał, posmutniał. Coś go niewątpliwie gnębiło.

Przyjaciel poprzestał na obserwacji, na czekaniu, co dalej ze zdrowiem wesołego, „humorzystego” zazwyczaj Nikodema.

– Był honorowy. Chciał samodzielnie wyjść z tarapatów. Widocznie jednak przygniotła go beznadzieja. Doświadczyl zapewne rodzinnej katastrofy. Miał przecież świadomość, że zostawia w fatalnym położeniu rodzinę, dzieci. Prawie całą niedzielę spacerował w pobliżu domu; ze spuszczoną głową. W kółko. Tam i z powrotem, jakby według linii specjalnie wyrysowanej na podwórku.

Opowiadacz tego feralnego dnia nie podszedł do sąsiada, nie zapytał..., nie zadeklarował konkretnej rady, pomocy; może nawet materialnej.

– I w poniedziałek rano sprytnie posłużył się sznurem. Solidnym, grubawym. Bez szans... Zawisł w ogrodzie, na drzewie, w widocznym miejscu. Ratowanie go już „nie było potrzebne”.

Lekarz dotarł w kilkanaście minut, ale...

– Przyjaźniliśmy się. W ostatnich miesiącach wiele razy odnosiłem wrażenie, że coś go martwi. Lecz nie chciałem pytać. Jeśli to problem delikatnej natury... – myślałem – sam powie w swoim czasie.

Bliski druh pewnie zdawał sobie sprawę, że zadanie pytania stawiałoby go ewentualnie niedaleko zadeklarowania jakiegoś konkretnego wsparcia.

– Gdyby rzekł słowo. Że potrzebuje pilnie pieniędzy, pożyczylbym mu. Bez określania terminu zwrotu długu. Ja akurat w tej chwili jestem w lepszej sytuacji.



Szwagier wołał jednak pytaniem nie ryzykować prośby..

– I ja z nim blisko żyłem. Mógłbym mu zaproponować jakąś pomoc. On sam by raczej o wsparcie nie poprosił.

Drugi sąsiad niczego nadzwyczajnego nie zauważył.

– Może w ten sposób chciał nam zakomunikować, iż w jego ocenie przyjaciółmi byliśmy nietęgimi. Gdybyśmy okazywali się tacy domyślni w tragicznych chwilach jego życia, a nie po śmierci dopiero..

– Ale widocznie tak miało być.

– Skoro do końca nikogo nie prosił o pomoc, czuł się zapewne – mimo pozorów – bardzo samotny.

– Ile w tym tragicznym zdarzeniu jest naszej winy? Ludzi zagonionych własnymi sprawami.

– Czy powinniśmy brać na siebie jakąś część odpowiedzialności? Każdy ma też swoje problemy na głowie.



\*\*\*

Niedawno zmarli przecierają szlak do ciebie.  
Potrzebny mi dom pełen szkła i prawdziwej miłości,  
ale nie mam na niego pomysłu. Trzeba zatrzymać się

tutaj, w połowie drogi kontemplować znaki  
na ciele lub płynąć z czułym prądem rzeki  
w nieznaną, trzecią stronę. Nie objać się o kry.

*Leżę w samym słońcu, mam dwanaście lat.*  
Komora maszyny losującej jest pusta.  
Zwolnienie blokady. I dzielisz się ze mną

przez zero.



\*\*\* (przyjaciółko)

przyjaciółko myszy po mnie skaczą gdy cię nie ma  
prześlij mi proszę pistacjowy stanik i wszystkich świętych  
mężczyzn twojego miasta w jednej kopercie

pamiętasz jak jechałyśmy do mojej ciotki ewy  
przemokły nam włosy i bluzki powiedziałaś wtedy  
że rośnie ci brzuch i że nie wiesz dlaczego

a ja na to spoko mała zaraz dam ci herbatę  
powiesz wszystkim że za dużo jej wypijaś  
widzę czasem dziewczynki w białych sukienkach

długich kucykach na filmowej plaży  
to my przyjaciółko trzymamy w dłoniach skakanki  
piasek parzy nas w stopy i wszędzie



\*\*\*

w trzypiętrowej kamienicy w samym sercu miasta  
nikt nie czyta dzieciom bajek. zesłałam na dół.  
dwie dziewczynki. poczytasz nam swoje smsy?

myślałam, że skoro chłopcy z internetu wyszli z mody  
to mój telefon też. (długie nogi, długie ręce i żaden  
nie wiedział gdzie dotknąć) ja przynajmniej przestałam

już mówić, że mam piętnaście lat, a były to smukłe i wygodne  
okresy rumianych znajomości. babcia robi słabą herbatę  
w szklankach, żebyś poznał, emigrancie, losy poprzedniego  
systemu. ja wciąż jestem za młoda, mi się upiekło.

chodźcie dzieciaki, zagramy w tibię.



**bez tytułu**

rozmawialiśmy językiem mżawki  
o każdej dupie która cię nie chciała wiem  
fajnie było mieć rano wygniecioną koszulę  
ale nie dysponujesz nawet żelazkiem

włożyłam do piekarnika odświętną pierś  
przyprawy i nóż na swoim miejscu  
jeśli dalej nie będziesz domykał  
lodówki zepsuje się sałatka mojej mamy

po drodze do domu kupiłam jabłka i zdrapkę  
potem długo nie mogłam zasnąć



# Jak osiedliłem się w Australii

*Człowiek nie jest drzewem i zapuszczenie korzeni to jego nieszczęście, pozbawia odwagi, zmniejsza pewność siebie. Przywiązując się do jednego miejsca człowiek godzi się na wszelkie warunki, nawet niekorzystne. Osiedlenie się to prawdziwy początek starości, bo człowiek jest młody dopóty, dopóki nie boi się rozpocząć od nowa. Odchodząc zachowuje wolność.*

Meša Selimović, *Derwisz i śmierć*

Myśl o wyjeździe dojrzewała we mnie dość długo. Właściwie od czasu, kiedy byłem już jako tako samodzielnie myślącym nastolatkiem, towarzyszyła mi jako wizja przyszłości – może nie tej najbliższej, ale dalszej to już na pewno. Jeszcze tylko trzeba było najpierw zdać maturę w dość paskudnym rodzinnym mieście, potem wybrać studia na miejscu, bo rodzice starzy i schorowani, a ja jednak, potem jeszcze tylko załapać się na jakąś przyzwoitą pracę, bo żona i dzieci. No i mieszkanie koniecznie trzeba było jakieś samodzielne wyczekać w wieloletniej kolejce, a tu niemal co rok obiecywali, że w następnym to już prawie na pewno.

Lata mijały, a perspektywa opuszczenia na dobre mojej małej, niekochanej ojczyzny tkwiła we mnie nadal jak zadra. Z czasem przerodziła się w obsesyjną konstatację, iż narzucane wciąż nowymi okolicznościami zewnętrznymi tkwienie w miejscu urodzenia jest perfidnym źródłem rozmaitych moich osobistych i zawodowych porażek. Jak tylko było coś nie tak, wiadomo dlaczego – bo jakbym stąd wyjechał, to by się to na pewno, ale to absolutnie na pewno nie

wydarzyło. Nie żeby mi tak naprawdę nie szło; i karierę jakąś tam zawodową zrobiłem, i dzieci pięknie podrosły, mieszkanie ładne, samochód – słowem: z lumpenproletariatu do magistratu – a to cholerstwo tkwiło we mnie nadal. Wyjechać stąd, wyjechać, wyjechać!

Kiedy rozmawialiśmy o tym z przyjaciółmi, większość reprezentowała opinię, że nam się (z żoną, wtedy już od kilku lat drugą) we łbach z dobrobytu poprzewracało, żeby to wszystko zostawić i na niepewny los w obcą krainę się rzucać. Wszak nie tylko sprzymierzeniec, ale i wróg swój lepszy od nieznanego, wróg na własnej Pawlakowej piersi od Krużewnik wyhodowany, przewidywalny. Żyjący tu od pokoleń mieszkańcy do dziś pielęgnują mocno podszyty ksenofobią podział ludzi na miejscowych, zakorzenionych, kulturowo i religijnie jednorodnych, rodzinnie mocno wokół ufortyfikowanych, inaczej mówiąc – pełnowartościowych, oraz na mocno podejrzanych przybyszów, niegodnych elementarnego zaufania przez sam fakt odmienności ich losów, myślenia czy zachowania godzącego, acz nieskutecznie, w najgłębiej żywione przekonanie o wyższości wszystkiego, co autochtoniczne. Dla tutejszych aborygenów, często także tych wyedukowanych, z ambicjami przewodzenia, odór wielopokoleniowej stęchlizny i degrengolady przewyższa bowiem wszystkie wonie Arabii.

A poza tym co to w ogóle za pomysł – Australia? Czemu akurat Australia? Tłumaczyliśmy, że to bynajmniej nie o miejsce chodzi, a o ludzi. Owszem, daleko, tyle że jakie to ma znaczenie w globalnej

wiosce XXI wieku, w której jakiś melonikarz znad Tamizy zleca chłopakom spod Bombaju obliczenie możliwości obniżenia kosztów produktu wykonywanego właśnie w barakach pod Szanghajem dla amerykańskiego konsorcjum? No to czemu akurat o ludzi idzie? Bo to ważna dla nas kraina, ta Australia. Bo tam – poza bardzo nielicznymi autochtonami, których dorobek kulturowy mocno się wskutek niezależnych od nich procesów historycznych zdegradował – nie ma „miejscowych”. Wszyscy są skądś; albo oni sami, albo ich rodzice czy dziadkowie przybyli na niemal dziewicze terytoria ze stron najrozmaitszych.

Nie jest tu bez znaczenia, że istotną, choć wcale nie najliczniejszą grupę pionierów stanowili byli zesłańcy. Łaską królów brytyjskich osadzeni karnie na nieznanej ziemi, zamiast gnąć w imperialnych lochach musieli tu solidnie wziąć się do roboty, by przetrwać. Budować, nie kraść; pomagać sobie, nie zabijać – prawie cały Dekalog (prawie, bo wszak nie przestali być ludźmi) dotrzymywany dzięki instynktowi samozachowawczemu. A kogóż to królewska wielkobrańska łaska skazywała na tak skuteczną resocjalizację? Ano osobników Koronie najbardziej niemiłych i duże kłopoty sprawujących: złoczyńców więcej niż pospolicznych, wichrzycieli, buntowników przeciw jaśnie oświeconemu porządkowi społecznemu, umniejszycieli podatków na dużą skalę, krótko mówiąc: ludzi o silnej osobowości, często wysokiej inteligencji, sprytnych i przedsiębiorczych, odważnych i asertywnych, krnąbrnych i duchowo niepodległych, a przeto rzecz jasna także z różnymi paragrafami i dogmatami na bakier. Powiedzmy uczciwie: anioły to nie były, ale pokażcie mi ziemską krainę zbudowaną od podstaw przez anioły.

Przy tym zesłańcy, lokatorzy kolonii karnych Ich Królewskich Mości, to przecież tylko jedna z ingrediencji wrzuconych do tygla, w którym po odpowiednim zmieszaniu proporcji wyzarzyła się tamtejsza społeczność. Przez wiele lat przybywali tam wszyscy ci, którym w rodzimych stronach nie dawano szans na samorealizację: przymusowo wyrzucani ze swych domostw wskutek decyzji obłąkanych tyranów i ich spolegliwych sojuszników, mieniących się demokratami; prześladowane mniejszości etniczne; ludzie usuwani ze swych środowisk za sianie zgorzenia jak Jagna z Lipiec. Ale także ci, których do opuszczenia stron ojczystych nakłoniła materialna nędza, utrata wszystkiego wskutek działań wojennych, wreszcie

dreńczące duszę i ciało powikłania rodzinne, słowem – chęć poprawy swego losu. Nie wiemy dokładnie, jak wielu spośród dzisiejszych mieszkańców Australii przybyło tam dobrowolnie, na skutek własnej, mniej lub bardziej przemyślanej decyzji, ale z pewnością jest to dziś liczba znacząca. Zważmy przy tym, iż – inaczej, a przecież w jakiś przewrotny sposób podobnie jak zesłańcy – znaleźli się tam głównie ci, którzy wcześniej dysponowali określonymi cechami osobowości: przybywali ludzie zdeterminowani, odważni, gotowi podjąć nieznane wyzwania, nawykli do trudów życia i paskudnych odmian losu, ufni w swą siłę i zaradność.

Żywiąc głębokie przekonanie, iż sprostamy dawnym pionierom, rozpoczęliśmy przygotowania do wyjazdu. Wiedzę o krainie naszego przesiedlenia zdobywaliśmy przez internet, drogą e-mailową rozsyłając listy intencyjne i tzw. cefalki do wszystkich miejsc, gdzie istniała szansa na zdobycie w miarę stabilnego zatrudnienia dla mojej żony. Znacznie mniej martwiły mnie moje przyszłe dochody, gdyż dzięki firmie Microsoft i jej edytorom tekstowym mogłem czerpać je w dużej części tak jak poprzednio, zaś dzięki wielu i często zmienianym zawodom mogłem zawsze liczyć na różne prace dorywcze. Kiedy w trzecim roku naszych poszukiwań nadszedł mail z niezwykle konkretną propozycją objęcia przez moją żonę pracy w ośrodku usiłującym prostować dotychczas niefortunne wybory życiowe tamtejszych młodych ludzi (nie przestępców) – byliśmy gotowi.

Tak oto pewnego dnia, u progu tamtejszego (chyba jednak teraz powinienem już pisać: tutejszego) lata znaleźliśmy się w niewielkiej osadzie, położonej tuż obok, czyli jakieś 20 km od sporego miasta. Władze zarządzające ośrodkiem dały nam całe trzy tygodnie na aklimatyzację, znalezienie godziwego lokum i rozejrzenie się w okolicy. Mieszając póki co w małym przydrożnym, bardzo tanim motelu, w którym oprócz nas gnieździła się niezwykle barwna ekipa budowlańców, ściąganych tu z daleka na kontrakt przy budowie w mieście wielkiego centrum handlowego – mogliśmy do woli przyglądać się owej wyśnionej nowej rzeczywistości.

Bardzo szybko mieliśmy okazję dostrzec to, co najkrócej oddaje powiedzenie „inny świat”. Zarówno w motelu, jak i podczas wędrówek po „naszej” osadzie czy mieście, w pubie czy na ławce pod jedną z niezliczonych tu fontann, wszędzie spotykaliśmy uśmiechniętych ludzi, którzy nie ukrywając cieka-

wości co do celów naszego przyjazdu, niezmiennie oferowali nam pomoc w dowolnej sprawie, pisząc na karteluskach swoje telefony i adresy, jakby co. Nauczeni doświadczeniami poprzedniego życia pięknie dziękowaliśmy za te karteczki, ale traktowaliśmy je jako mocno niezobowiązujące gesty kurtuazji, jak uśmiech Amerykanina – tak długo, jak ich pomoc nie była nam naprawdę potrzebna. A wtedy okazało się, iż możemy liczyć na prawie wszystkich: problemy z kontem bankowym, prawne aspekty wynajmu mieszkania i tysiące drobnych spraw znajdowały natychmiastowe rozwiązanie. Zapraszani na towarzyskie i rodzinne ogrodowe *barbecue* (uwaga: OBCY!) poznawaliśmy ich losy; nasz przyjazd nasawał wspomnienia własnych tu osiedleń, pamiętanych osobiście lub tylko znanych z opowieści przodków.

Najwięcej obaw budziło znalezienie mieszkania położonego możliwie jak najbliżej żoninego miejsca pracy, gdyż władze lokalne poza miastami nie zawierają sobie tu zbytnio głowy komunikacją publiczną. Lektura ogłoszeń w miejscowych gazetach okazała się nieskuteczna, więc niewiele się po tym spodziewając, postanowiliśmy odwiedzić siedzibę miejscowej administracji publicznej w osadzie. W recepcji za kontuarem siedziała niezwykle zadbana kobieta w wieku okołoemerytalnym, która wysłuchawszy naszej prośby o pomoc wpadła w niemale zakłopotanie. Nie wiem, czy nasz problem przedstawiliśmy nie dość jasno, czy zawiódł może aparat wspomagający słuch starszej pani, w każdym razie usłyszeliśmy podszyte żalem słowa: „Ależ ja nie mam dla państwa skąd wziąć mieszkania!”. Kiedy okazało się jednak, że nie żądamy natychmiastowego przydzielenia nam odpowiedniego apartamentu, pani się szybko rozpogodziła i z iście młodzieńczą werwą przystąpiła do działania. Przez interkom w trybie awaryjnym wezwała do recepcji wszystkich pracowników, przedstawiła im nasz problem i zażądała „burzy mózgow”. Po kwadransie opuściliśmy budynek z pięcioma adresami osób wynajmujących mieszkania w okolicy, stertą napisanych na komputerze ogłoszeń do rozwieszenia w miejscach publicznie uczęszczanych oraz apelem o pomoc,

wywieszonym na korytarzu urzędu. Piękny (jak na nasze dotychczasowe oczekiwania) i tani apartament z gabinetem do pracy i dwiema sypialniami objęliśmy w tymczasowe posiadanie rankiem następnego dnia, biurokrację (uwaga: OBCY!) zostawiając sobie na później.

Kiedy żona podjęła pracę, jeszcze przez miesiąc włożyłem się po pełnych zieleni, fontann i ławek arteriach oraz niezwykle zadbanych, kolorowych uliczkach miasta, z miejscowej książki telefonicznej wypisując miejsca, w których mógłbym/chciałbym pracować. W końcu zdecydowałem się zagrać *va banque*: zaniósłem stosowne papiery do dwu bardzo prestiżowych miejscowych instytucji, w których przecie nikt dotąd o mnie nie słyszał.

Pierwszy telefon z zaproszeniem na rozmowę o zatrudnieniu zadzwonił po tygodniu, drugi kilkanaście dni później. W tym drugim miejscu potem wyjaśniono mi „karygodne” ślamazarstwo zmianą naczelnego dyrektora firmy, która spowodowała chwilowe zamrożenie spraw kadrowych. Od tego czasu pracuję (uwaga: OBCY!) w obu miejscach, rzecz jasna nie na tak dobrze mi dotąd znanym „etacie”, lecz na odnawialnych, korzystnych dodatkowo kontraktach, przy czym obie instytucje starają się płynnie koordynować mój czas pracy, żebym czasami nie popadł w konflikt interesów.

Niedawno minął właśnie drugi rok po naszym osiedleniu się w Australii. Mamy pracę, mieszkanie, kilkoro wypróbowanych w biedzie przyjaciół i liczne grono bliższych znajomych, którzy traktują nas jak członków rodziny. Czasami pytają nas, czy nie tęsknimy do dawnego życia, a nawet, czy nie żałujemy swojej decyzji. Śmiejemy się, że żałujemy tylko, iż nie podjęliśmy jej wcześniej. *Barbecue* w nieco podniosłej atmosferze wydaliśmy już na naszej ziemi, kupionej na przetargu za prawie dziesiątą część ceny działek znanych nam z poprzedniego życia, na rozpoczętej już budowie małego własnego domu, którego metraż niezmiennie rozbawia naszych przyjaciół, chociaż dobrze wiedzą, iż należy szanować dziwnactwa bliźnich.

Słowniczek – tylko dla zbyt pobieżnie czytających: Australia – okolice Zielonej Góry



## Spacer po Saksonii

Kolejny dzień odszedł do wieczności  
A krzyże z przydrożnych wsi porzuciły swe miejsca

Czy można bez krzyży – widać można ktoś powie, że nie?  
Pachnie saski las swojski jak zapach Brandenburgii  
Kapelani drzew i ognisk dawno temu spłonęli w uniesieniu  
Ostatnie popioły jeszcze pokrywają drzewa i domy

Miło mówić o błahych sprawach droga płynie powoli  
Jak rozmowa gdy na słowach nie ciąży sankcja  
Niech się mylą mapy haust wolności zapach lasu  
Saksonio moja sestro przytulam twoje krajobrazy

Najprzyjemniejszy spacer – bez mapy przez pola Saksonii  
Gdzie chabry bławatki i maki kwitnące – gdzie te krzyże?  
Bezczelna dziewczka – historia gwałci spokój słońca  
A słońce zaszło wraz z łunami i krzykiem – nadchodzą

Oto nie zamierzałem czcić saskich koron z porcelany  
Bezbożnych lasów Łużyc i ich dzikich bożków  
Głupców którzy nie przewidzieli, że krzyże będą bolały  
Tak samo jak Azja naznaczona czerwienią słońca

Żary, lipiec 2009



### Limbus Araneae

Spowiedzi święta niepokalanej duszy pragnienie  
klęczy na stopniach konfesjonału dziewczę niewinne  
i babina co szuka win urojonych w zakamarkach życiorysu  
klęczało jeszcze kilka osób tego ranka lecz  
inna sprawa przykuła uwagę spowiednika skądinąd  
był to człowiek prawy teolog biegły i wytrawny moralista  
kapłan właśnie rozgniata butem pająka w konfesjonale  
niech zwierzę nie próbuje ukąsić niech przepadnie  
i przepadło jak słowa grzechów które nie istniały  
odeszli jeden po drugim na końcu odszedł pająk  
do limbus araneae miejsca pajęczej wieczności  
przez niego spowiednik nie zdążył powiedzieć tamtym  
jakie dostaną miejsce w czym niebie i w jakim towarzystwie

\*\*\*\*

Żary, sierpień 2009



# Gołębiarz

Wszyscy polubiliśmy pana Antoniego. Cała społeczność działkowa ogrodów im. Róży Luksemburg gotowa była oddać dla niego litry krwi, nerkę, a nawet serce. Gdyby ktoś z nas został spytany przez ośrodek badania opinii publicznej o kandydata na prezydenta wskazałibyśmy naszego sąsiada. Trudno powiedzieć, dlaczego? Był zwyczajnym, prostym człowiekiem. Nie odznaczał się charyzmą, nie imponował intelektem ani erudycją. Jedyne przymioty ducha pielęgnował z należytą starannością. Skąd w schorowanym mężczyźnie tyle dobra? Spytałem go o to. Stropił się, pokornie spuścił głowę i wyjąkał z bólem w głosie.

– Jak trzeba pomóc, to pomagam.

Podziwiałem jego skromność. Czynił dobro bezinteresownie. Mimo fizycznych ułomności, z którymi zmagał się z godnością.

– Antoni odpocznij. Plecy ci wysiadą – mówiła z troską pani Zosia.

– Nic mi nie będzie – mruczał pod nosem i machał ręką obrażony.

Uskarżał się nie tylko na bóle w krzyżu. Od lat chorował przewlekłe na rozedmę płuc. Nabył ją w trakcie podróży po Europie. Przez trzydzieści lat pracował jako kierowca ciężarówki. O jego ekscytujących przygodach można by napisać książkę podróżniczą. W latach 90. o mały włos nie stracił życia w byłej Jugosławii. Partyzant serbski omyłkowo wziął go za Chorwata. Kula świsnęła mu nad uchem. Uciekł dzięki Opatrzności, w którą nie wierzył i szczęśliwemu zbiegowi okoliczności. Akurat przejeżdżał patrol serbskiej policji. Innym razem pod wpływem silnych środków przeciwbólowych stracił panowanie nad pojazdem. Połamał zebra. Oskarżono go o kontrabandę wyrobów tytoniowych. Zawistny kolega podrzucił towar do łódki turystycznej. Został niewinny dzięki wstawiennictwu wojewody, bo miał odznakę zasłużonego dla województwa.

– Ja tylko jeździłem po świecie – tłumaczył zaskoczonym i szczęśliwym kolegom..

Był głuchy na pochwały. Podobnie jak na prośby życzliwych, aby na siebie uważał. Palił jak smok i nie oszczędzał się.

W śródleńcu czyścił glebę z mleczy, perzu i lebiody, wrogów porządku i estetyki w ogrodzie. Filantrop nie porządkował swojej części alejki... a moją. Kiedy zobaczyłem go pochylonego nad motyką wstrząsnęły mym jestestwem wyrzuty sumienia. Młody zdrowy jak rydz mężczyzna zażywa sauny. A wymizrowany, emerytowany kierowca w pocie czoła usuwa chwasty. Starął się, aby sąsiedzi nie zauważyli, z jakim paroksyzmem bólu chwytą się za kark. Pobiegłem do skrzyni z narzędziami. Wygrzebałem przerdzewiałą motykę i duże grabie z metalowym uchwytem. Pan Antoni wyglądał na strapionego. Poczulem przyptyw sympatii wobec starszego mężczyzny, który niczym bohaterowie Hemingwaya zmagają się z własną słabością. Jego zwycięstwo nad żywiołem zanieczyszczającym glebę było nie tylko moralne. Dwudziestometrowy odcinek alejki przypominał wyjąłowioną pustynię. Pozostało mi wyrównać teren grabiami.

– To wielkie szczęście mieć uczynnego sąsiada – komplementowałem nieśmiałym głosem, gdyż mam opory przed serwilizmem.

– No. Za komunę robiliśmy czyny społeczne. Każdy zakład pracy, szkoła działały dla dobra wspólnego – odpowiedział oschle.

– To był nakaz prawda? – spytałem podejrzliwie.

– I co z tego? – obruszył się pan Antoni. Ludzie pracę mieli, a teraz – zrezygnowany machnął ręką. A teraz kler się bogaci. Czarni wzięli wszystko. Słyszałeś, ile ziemi dostali za darmo?

– Troszkę pan przesadza – oznajmiłem zdumiony mową nienawiści.

– Nie długo będziecie musieli modlić się na siłę – dobrotliwy sąsiad wściekł się.

Przestraszyłem się gniewu pana Antoniego. Z trudem odnajdywałem w nim człowieka, który w upały podlewa działki zniechęcał staruszkom, dokarmia ptaki czy za własne pieniądze reperuje siatkę okalającą naszą wspólnotę ogrodową. Przytąpałem się na obrazoburczej myśli. Szanowany działkowiec wydał mi się: pozorantem, furiantem i niebezpiecznym ekstremistą. W jego oczach dostrzegłem załóżki dżumy, przed którą ostrzegał doktor Bernhard Rieux. Zacząłem się obawiać, że zło obudzi się w najmniej oczekiwanym momencie, burząc spokój, jaki od lat panował pośród braci działkowej. Godzinę później skrytykowałem się za tę herezję, obserwując, z jakim poświęceniem pan Antoni maluje ogrodową bramę. Niepokój pozostał. Nie potrafiłem wyzbyć się podejrzliwości wobec mojego duchowego przewodnika. Próbowałem podzielić się wątpliwościami z gruboskórnym i brodatym sprzedawcą śrubek i nakrętek. Właściciel działki naprzeciw bramy zmierzył mnie nienawistnym spojrzeniem i odesłał do księdza. Uznał, że moje etyczne kalectwo wymaga wsparcia specjalisty. Miał rację, bo w niedzielne, leniwe przedpołudnie zobaczyłem tradycyjny, sielski i anielski obrazek. Pani Lila wraz z mężem Heniem, kierowcą MZK podejmowali na kawie i pysznym śliwkowym cieście pana Antoniego. Szczęśliwy dobrodziej kiwał się na plastikowym krzeselku w rytm gołębiego śpiewu. Z dumą wskazywał palcem na gołębnik ulokowany w południowej części majestatycznej altany. Pani Lila nie mogła wyjść z podziwu nad pracowitością budowniczego, który działkową rezydencję postawił od fundamentów.

– Antoś, naprawdę nigdy wcześniej nie miałeś do czynienia z budową? – pytała z niedowierzaniem w głosie pani Lila.

– Raz jeden pomagałem szwagrowi osadzić piwnicę – odpowiedział pan Antoni, cedząc słowa.

Przysłuchiwałem się rozmowie w cieniu malw, którym obrywałem żółte listki. Następnie przystąpiłem do oprysku róż przeciw bruzdownicy pędowce i śluzownicy różanej, aby nie przegapić niuansów z biografii kierowcy ciężarówki.

– Narzekają na kierowców tirów. Inaczej by gadali, jakby postali w korku dwa dni. Na dworze upał, a jechać trzeba – obruszył się pan Antoni.

– Masz rację. Choć tiry trochę niszczą nawierzchnię dróg – oznajmił pan Heniu.

Krzyk pana Antoniego wytrącił z równowagi spryskiwacz, gdyż kilka kropel substancji chemicznej zainfekowało mi lewą dziurkę nosa. Kichnąłem na kielich lwiej paszczy dostojnie kołyszący się na letnim wietrze. Opoka naszej działkowej społeczności została zaatakowana w bezceremonialny sposób. Złamana została solidarność zawodowa kierowców, narażona na szwank męska przyjaźń. Doszedłem do wniosku, że sąsiad rygorystycznie podchodzi do zasady imperatywu kategorycznego. Reguły i prawa, które usiłuje wcielić w życie w obrębie naszej hermetycznej społeczności, pozostają w sferze utopii. Trudno nadażyć za absolutem. Podobnie jak za chwastami. Słoneczniki znów zostały zagłuszone. Chwytnąjąc za motyle, po raz kolejny pomyślałem o doktorze Rieux.

Nieporozumienie z kolegą po fachu odmieniło pana Antoniego. Zrezygnował z niedzielnych poczęstunków u pani Lili, imprez integracyjnych, smażonych ryb pana Janusza. Godzinami przesiadywał na trójkątnym taborecie wpatrując się w gołębie. Wydzielił dla nich profesjonalny wybieg, zabezpieczony ze wszystkich stron podwójnie wzmocnioną siatką, na wypadek wizyty drapieżnika. Było ich kilka parok. Białe, brązowe i trzeci najpiękniejszy gatunek mieszany łączący w sobie obie te barwy. Pan Antoni pogwizdywał na skrzydlatych podopiecznych. Uśmiechał się, kiedy odpowiadały mu gruchaniem. Zmęczony intensywną obserwacją ptactwa odwracał taboret w stronę zielonogórskiej obwodnicy. Przyjemność sprawiały liczne pozdrowienia od kolegów. Uruchamiali klaksony, strasząc ptaki. Nicponie rozbrykały się, zniżając lot. Jeden z nich wykazał się niesubordy-

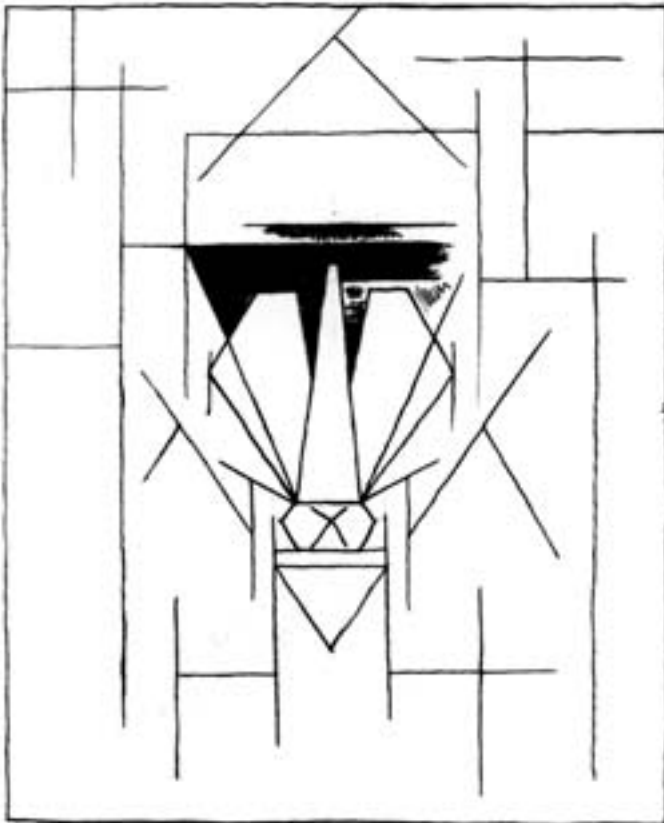
nacją powyżej przeciętnej. Rozsiadł się jak panisko na dębim i drzemał. Pan Antoni wytarł nos niepokornego ptaka za ogon i zagroził, że zrobi z nim porządek. Szkoda, że tego samego nie może powiedzieć o rodzinie. Z żoną nie rozmawiał od trzech miesięcy. Bo niby o czym? O datku na rozwój katolickiego głosu w twoim domu? Sprzedała duszę czarnym. *Verba veritatis*. Młodszy syn zamieszkał z przyjaciółmi w komunie. W wyborach poparł reakcyjną prawicę, a teraz krzewi hipisowskie ideały. Pan Antoni był przekonany, że to nie podszepty społecznie wrażliwego sumienia go do tego skłoniły. To robota mamusi. Starszy syn przejął po ojcu firmę transportową. W soboty pan Antoni naprawia mu samochody. Bartek odwiedza ojca w nowym domu na działce. Rudowłosa i pulchniutka jak pączuszek wnuczka przynosi dziadkowi naleśniki z serem i kanapki z pasztetem i rzodkiewką. Wczoraj płakała. Dziadek skrzyczał ją, bo podeptała popikowane astry i cynie.

Pani Lila późną jesienią poskarżyła się na uciążliwe sąsiedztwo.

– Pomalowałam altanę, a na elewacji odnalazłam gołębie jajka. Wydarł się na mnie. Stwierdził, że nasze maliny zasłaniają mu kapusć pekińską. Uważaj na niego.

Uważaliśmy wszyscy. Przestaliśmy lubić pana Antoniego. Chodził naburmuszony, pisał skargi do zarządu o rzekome zaśmiecanie lasów państwowych, zagrażanie działek meblami czy nieregulaminowe odstępy między kwiatami a linią prostopadłą do osi alejki. Lekceważyliśmy jego fanaberie. Trudno się było powstrzymać od śmiechu, kiedy przygarbiony jak Quasimodo pchał wózek na kółkach. Zwoził na nim materiał budowlany do budowy piwnicy. Stękał niemiłosiernie, a potem w czterdziestostopniowy upał postawił ją w miesiąc. Niewiele brakowało, aby nie podziwiał rajskich ogrodów, obecność, których kwestionował tak uparcie.

Zgodziłem się doglądać gołębi pana Antoniego. Miałem urlop i alibi w postaci miłości do zwierząt. Pierwszego dnia dyżuru zaintrygowała mnie sterta piór i jak gdyby wyschnięty skrzep krwi. W mig pojąłem, że doktor Bernard Rieux miał rację.



# Von fesseln der Beziehung zu Fallen der Freiheit

## Emanzipatorischer Sack

Die bekannte Feministin Alice Schwarzer appellierte mal an die deutschen „medialen Frauen“, auf die „Untergebenheitsrituale, wie das Tragen von weiblicher Kleidung und leise Stimme zu verzichten.“

Muß etwa jeder brüllen, wie manche Moderatoren oder der „Führer“? Gibt es etwa auch eine akustische Emanzipation? Die westdeutsche Feministinnen hören mit ihrem unerbittlichen Kampf nicht auf und antagonisieren dabei sogar Männer, die ihnen wohlwollend gegenüber stehen. Politische und berufliche Rechte für Frauen blieben bis in die 80-er Jahre in Deutschland weit hinter denen in der Volksrepublik Polen zurück. Sogar die Kanzlerin Merkel kam erst 15 Jahre später an die Macht, als die polnische Premierministerin Suchocka. Und das hauptsächlich von Kohls Gnade, der sie „mein Mädchen“ nannte!

Aber statt des Kampfes um bürgerliche Rechte, gab es öffentliche Schlachten um den Abwasch und Ähnliches. Und solche Kämpfe gewinnt man doch nur individuell – am besten durch eine konsequente Erklärung unter vier Augen, daß wir uns für das Waschen schmutziger Wäsche nicht verantwortlich fühlen.

Die besserwisserischen Feministinnen möchten uns auch in männliche Anzüge stecken. Oder in Jacken, wie aus einem Mao-Lager. Oder vielleicht in

# Od okowów związku do pułapek wolności

## Wór emancypacyjny

Znana feministka, pani Schwarzer zaapelowała niegdyś do niemieckich „kobiet medialnych“, by zrezygnowały z „poddańczych rytuałów, takich jak noszenie kobiecych szat i cichy głos“. Czy każdy musi ryczeć, jak niektórzy moderatorzy czy też „Führer“? Czy to ma być emancypacja akustyczna? Zachodnio-niemieckie feministki nie ustają w swej bezwzględnej walce, antagonizując nawet przychylnych ich emancypacji mężczyzn. Prawa polityczne i zawodowe dla kobiet, pozostawały do lat 80. w Niemczech daleko za PRL-em – kanclerzyna Merkel doszła do władzy dopiero prawie 15 lat po premier Suchockiej, a i to głównie z łaski kanclerza Kohla, który zwał ją „moja dziewczynka“! Ale zamiast walki o swe prawa obywatelskie, niemieckie kobiety toczyły publiczne boje o mycie naczyń i pranie. A takie podchody przecież wygrywa się tylko indywidualnie! Najlepiej oświadczając, że nie czujemy się odpowiedzialne za pranie brudnej bielizny. Przemądrzałe pseudo-feministki chciałyby także uwięzić nas w męskich garniturach lub w modnych fufajkach w stylu Mao. Czy też w burkach i kwefach? Bowiem towarzystwo feministek zażądało także solidarności „...z kobietami, dyskryminowanymi z powodu swej płci“ na przykład w Afganistanie. Czy afgańska kobieta, której często do dziś nie wolno chodzić do szkoły ani do lekarza

Kopftücher? Die feministische Gesellschaft forderte nämlich auch Solidarität mit „...Frauen, die wegen ihres Geschlechts diskriminiert werden“, wie zum Beispiel in Afghanistan. Hat eine afghanische Frau, die immer noch Ärzte und Schulen kaum besuchen darf, keine größere Sorgen, als zu frivole Kleider? Sie wäre eher froh, wenn sie endlich den Sack herunternehmen könnte, der ihr zum Sehen nur eine bestickte Spalte in der Augengegend läßt, damit sie sich nicht den Kopf zerschellt. Im einheitlichen Sack treffen sich die diskriminatorischen Vorschriften von manchen Feministinnen und islamischer Fanatikern. Doch haben es diese Pseudo-Feministinnen geschafft, Weiber für einige Jahrzehnte in die Anzüge mir Krawatten hineinzupressen.

### Single-Paradies

Während in Polen die meisten 50- bis 70-jährigen ihre Abende im trauten Häuschen verbringen, rennen sie in Berlin in der Stadt herum. Denn Berlin ist eine Stadt der „Singles“ – der Anteil der sogenannten „Einpersonenhaushalte“ erreicht hier über 48%. Mehr davon, ganze 50% gibt es nur in der Hafenstadt Hamburg. Wir begegnen den Singles auf den Tankstellen oder „beim Türken“, wo sie nach Würstchen, Hähnchen, Kebab, Zigaretten und Bier greifen. Also das, was sie meistens essen, wenn sie nachts oder Sonntags Leere in ihren Kühlschränken entdecken. Dies wurde durch die Alliertengesetze erleichtert, die die Schließung von Kneipen nur für eine Stunde am Tag vorschrieben. In Ost Berlin war das Leben in einer Beziehung genauso selbstverständlich, wie in Polen. Erst nach der Wiedervereinigung wurden einige Gegende des Ostens zu modischen, „coolen“ Orten. West Berlin dagegen wirbt schon lange für sich als „Republik der Singles“. Die Neigung zum Single-Dasein war hauptsächlich ein Ergebnis der Studentenrevolte von 1968.

Dieser „antikapitalistische Aufstand“ bekämpfte auch „bürgerliche Institutionen“, darunter die Ehe.

Die Zeitschrift „Stern“ behauptete in der Verkündung der Artikelserie „68 – wie eine Generation die Welt veränderte“: „Dem großen Teil der Generation 68 ging es gar nicht um(...) die Revolution oder Klassenkampf, sondern vor allem um den Sex, Drogen und Rock and Roll“.

Die populäre Zeitschrift „TIP“ wiederum, beginnt die Erinnerungen an „die alternative Bewegung 68“

zamartwia się, czy aby nie nosi zbyt frywolnych strojów? Raczej byłaby szczęśliwa, mogąc wreszcie zdjąć szczylny wór, pozostawiający tylko haftowaną szczelinę wokół oczu, by nie rozwalila sobie tła. W jednolitym worze spotykają się dyskryminacyjne recepty ubraniowe niektórych feministek i islamskich fanatyków. Jednak niemieckim pseudo-emancypantom udało się wcisnąć kobiety na dziesięciolecia w garnitury ukoronowane „zwisem męskim“, jak zwano w PRL-owskich pralniach krawaty.

### Wesołe jest życie staruszka?

Podczas gdy w Polsce większość ludzi w wieku od 50-ciu do 70-ciu spędza wieczory „w domciu, w rodzinie“, w Berlinie biegają oni po mieście. Jest on miastem singlów – udział tak zwanych „jednoosobowych gospodarstw“ sięga tu ponad 48-u procent. Więcej – 50 procent, ma tylko portowe miasto Hamburg. Spotykamy ich na stacjach benzynowych lub „u Turka“, gdzie sięgają po parówki, kuraka, kebab, piwo i papierosy – a więc to, czym głównie żywią się „single“, gdy odkrywają pustki w lodówce nocą lub w niedzielę. W Berlinie Wschodnim życie w stadle było równie oczywiste jak w Polsce. Dopiero po zjednoczeniu niektóre jego dzielnice stały się „odjechane“ i zabawowe. Natomiast Berlin Zachodni reklamuje się od lat byciem „republiką singlów“. Ułatwia to stare prawo aliantów, wymagające zamykania knajp tylko przez jedną godzinę na dobę. „Singlomania“ Berlina jest głównie tworem pokolenia rewolty studenckiej roku 1968. Ten bunt przeciw kapitalizmowi zwalczał też „mieszkańskie instytucje“, w tym małżeństwo. Tygodnik „Stern“ stwierdził, zapowiadając serię 68 – jak jedno pokolenie zmieniło świat: „Dużej części pokolenia 68 nie chodziło [...] wcale o rewolucję ani o walkę klasową, lecz przede wszystkim o seks, narkotyki i rock and roll“. Z kolei popularne pismo „TIP“ zaczyna wspomnienia o „ruchu alternatywnym 68“ od nostalgicznego opisu zapachu haszyszu na korytarzach Politechniki. Wśród „rewolucjonistów“, także obyczajowych, większość stanowili mężczyźni. Berlin Zachodni, miasto zdemilitaryzowane po wojnie, zwiłb bowiem rzesze lewicowych pacyfistów szansą uniknięcia życia w koszarach. Stworzyło to w mieście przewagę liczbową mężczyzn, szczególnie w wieku „poborowym“. W tych kręgach, pełnych komun, nieliczni kandydaci do żeniaczki usprawiedliwiali się często, że

mit nostalgischen Beschreibungen des Geruchs von Haschisch in den Korridoren des Polytechnikums.

Unter den „Revolutionären“ stellten Männer die Mehrheit. West Berlin, eine Stadt, die nach dem Krieg entmilitarisiert wurde, lockte nämlich die links gerichteten Pazifisten mit der Chance, dem Leben in der Kaserne zu entkommen. So entstand in der Stadt Männerüberhang, insbesondere im wehrpflichtigen Alter. In diesen Kreisen entschuldigten sich oft die wenigen Heiratskandidaten, daß sie nur niedrigere Steuer zahlen möchten. Der Oppression in der Familie stellte man das Leben in der Gruppe und die Politik gegenüber.

### Erbe der Kommunen

Jedoch, während die „Genossen“ diskutierten, notierten die „Genossinnen“ ihre Wahrheiten, servierten den Kaffee und dienten mit unverbindlichem Sex auf Abruf. Ein bekannter Kommunarde protzt bis heute im Fernsehen mit seinem Harem, der aus vier Frauen besteht, mit denen er Kinder hat. Er trägt nicht zu ihrem Unterhalt bei. Auf ihre Klagen antwortet er, daß sie doch emanzipiert seien und ihr Schicksal selbst gewählt hätten. Als Frauen bemerkten, daß sie vom Regen in die Taufe kamen, begannen sie sich von den männlichen Genossen zu distanzieren. Somit endete „das Befreien vom Bürgerlichen“ mit einem Teufelskreis. Es führte nämlich viele zum...Zölibat. Eine Berliner Polin sagte mir, daß sie es satt hat „ein puritanischer Single zu sein“. Schlimmer noch, es fehlt hier sogar der in Polen übliche, kameradschaftliche Umgang zwischen beiden Geschlechtern. Kontakte zwischen Frauen und Männern sind eindimensional. So hat ein Kerl eine „Freundin“ und die Frau „einen Freund“, oder nicht. Und Schluss!

Während meiner Anfänge hier, schockierte ich oft Männer mit meiner Antwort auf ihre Frage, ob ich einen Freund habe. Ich sagte, ich hätte viele. Kollegen einer Frau, Kumpels, Freunde „wie Brüder“, sind hier kaum üblich. Hinzu kommt, daß die emanzipatorische Bewegung in Deutschland, als eine plötzliche und verspätete Reaktion auf die traditionelle deutsche Ideologie von den „drei K“ (Kinder, Küche, Kirche), die sogar im Vergleich mit dem Idol „Mutter Polin“ fast frivol aussieht, besonders radikal verläuft.

Die Eskalation der Antagonismen zwischen den Geschlechtern im Rahmen der Bewegung 1968, statt des Kampfes um die rechtliche und berufliche

chcą płacić niższe podatki. „Uciskowi“ stała i rodziny przeciwstawiano życie w grupie i politykę.

### Dziedzictwo komun

Jednak, podczas gdy „towarzysze“ dyskutowali, „towarzyszki“ notowały ich mądrości, podawały kawę i służyły niezobowiązującym seksem na zawołanie. A pewien słynny komunard chlubi się do dziś w telewizji haremem składającym się z czterech kobiet, z którymi ma dzieci. Nie łoży na ich utrzymanie, a na ich skargi odpowiada, iż przecież jako emancypantki same wybrały swój los. Gdy kobiety spostrzegły, iż wpadły z deszczu pod rytnę, zaczęły odcinać się od męskiej społeczności. Tak więc „uwalnianie się od burżuizmu“ zamknęło się błędnym kołem – doprowadziło bowiem wielu do ...celibatu. Pewna berlińska Polka oświadczyła mi, że ma „dość bycia purytańskim singlem“. Brak tu nawet koleżeńskich układów między płciami, powszechnych u Polaków. Ich kontakty są na ogół jednodymensionalne. Albo facet ma „przyjaciółkę“, a kobieta „przyjaciela“, albo nie. I koniec. W początkach mego pobytu tutaj często szokowałam męzczyzn, odpowiadając na pytanie, czy mam przyjaciela, iż mam ich wielu. Instytucja kolegów, kumpli, przyjaciół „jak brat“ kobiety jest tu nieznaną. Do tego ruch feministyczny w Niemczech, jako nagła i spóźniona reakcja na tradycyjną niemiecką ideologię „trzech K“ (*Kinder, Küche, Kirche* – dzieci, kuchnia, kościół), w porównaniu z którą zjawisko „matka Polka“ wygląda niemal frywolnie, jest szczególnie radykalny. W efekcie eskalacja antagonizmów między kilkoma już płciami, zamiast walki o równość wobec prawa i w zawodzie, spowodowała kłeskę ruchu emancypacji. Mężczyźni wygrali przez abstynencję i ucieczkę w geostwo, wręcz gloryfikowane w pewnych kręgach, a wiele kobiet zostało lesbijkami. Moja koleżanka Gudrun żali mi się na swoją kochankę Traude: „Jak wypije trochę wina, to wzbrania się przed seksem“. Mnie to wcale to dziwi – *in vino veritas*. Wiem przecież, że Traude została lesbijką „przez głowę“. Nic dziwnego, że tę „emancypację“ obecnie wielu uznaje raczej za farsę niż uwolnienie od opresji. A „nowatorzy obyczajowi“ mają już koło sześćdziesiątki i coraz mniej szans na „niekłępujące“ swawole. Single panikują... Pewien stary kawaler powiedział mi, że „chcieliby oni przestać być singlami i to natychmiast“, po czym spojrzął na mnie z nadzieją. Ale ciężko żyć



Gleichheit, trug zur Niederlage der Emanzipation-  
sbewegung bei. Männer gewannen durch Abstinenz  
und Flucht in den Homosexualismus, der in manchen  
Kreisen glorifiziert wird. Im Endeffekt wurden viele  
Frauen lesbisch.

Eine Bekannte von mir, Gudrun, klagte so über  
ihre Geliebte, Traude: „Wenn sie etwas Wein trinkt,  
verweigert sie den Sex“.

Das wundert mich gar nicht! – in vino veritas! Ich  
weiß doch, daß sie Lesbierin geworden ist „über den  
Kopf“.

Kein Wunder, daß viele heutzutage diese  
„Emanzipation“ eher für eine Farce als eine Befreiung  
von der Oppression halten. Und die ersten „Sitten-  
befreier“ sind schon über 60 und haben immer  
weniger Chancen auf „unverbindliche Spiele“. Singles  
geraten in Panik... Ein alter Knacker verriet mir, daß  
sie alle aufhören möchten, Singles zu sein, am lieb-  
sten sofort, und schaute mich erwartungsvoll an.

Ein anderer klagte resigniert: „Frauen sind  
neuerdings so unzugänglich“ und gab nach kurzer  
Bedenkpause zu: „Naja, hier das Glätzchen, hier  
Bäuchlein, hier Falten am Po...“ Also, dachte ich. Sol-  
che Mängel muß man mit etwas kompensieren, ins-  
besondere, wenn man jüngere Partnerinnen sucht!

### Triumph des Marktes

Kein Wunder, daß der Annoncenmarkt aufgeblüht  
ist, sogar in Kulturinformatoren wie „TIP“ und „Zitty“.

Ähnlich die Prostitution, die die 68-er  
Generation“ großzügig nutzt. Die Annoncen zeigen  
die ganze Skala von Emotionen – vom duseligen  
Kitsch („Ein Bärchen sucht Partnerin zum  
Liebkosen“) bis zu hartem Porno.

Ein weiterer Ausdruck der Vermarktung von  
Liebe sind beliebte öffentliche Parties unter dem Titel  
„Fisch sucht Fahrrad“, der die frühere, „revolutionäre“  
Losung „Frau ohne Mann ist wie Fisch ohne Fahrrad“  
ersetzt hat. Ähnliche Märkte hat es schon lange  
gegeben, aber die Entstehung von Marktstämmen  
mit kommerzieller Vermarktung ist besonders  
schockierend bei Menschengruppen, die leiden-  
schaftlich den Kapitalismus bekämpften. Es ent-  
standen auch „Flirtschulen“ und „Orgasmusschulen“.  
Universitäten verkuppeln Studenten mittels Internet.  
Die „Sittenrevolutionäre“ schlagen sich an die Brust  
wegen der Behandlung von Frauen als Sexobjekt.  
Daher hat der grüne Minister Joschka Fischer, eine

nieprzychydzajonemu – szczególnie z kimś. Inny  
skarży się z rezygnacją: „Kobiety są ostatnio jakoś  
niechętne“ i dodaje po chwili zastanowienia: „No tak,  
tu łysina, tu brzuch, tu fałdy na pupie...“. Słusznie –  
pomyślałam, takie braki trzeba czymś kompenso-  
wać, szczególnie, gdy szuka się młodszych partnerek.

### Rynek jednak górą

Nic więc dziwnego, że rozkwitł rynek ogłoszeń  
nawet w informatorach kulturalnych „TIP“ i „Zitty“,  
podobnie jak prostytutka, z której hojnie korzysta  
„pokolenie'68“. Anonse reprezentują całą skalę  
emocji – od kiczowato cikliwych („niedźwiadek szuka  
partnerki do pieszczoł“) do całkiem pornogra-  
ficznych. Dalszym wyrazem urynkowienia miłości są  
wzięte publiczne party pod nazwą „Ryba szuka  
roweru“, przeinaczającą wcześniejsze, „rewolucyjne“  
hasło „pokolenia'68“: „Kobieta bez mężczyzny jest  
jak ryba bez roweru“. Podobne rynki już zawsze  
istniały, ale tworzenie „plemion rynkowych“ z ko-  
mercyjnym rajfurzeniem jest szczególnie szokujące  
wśród ludzi, którzy namiętnie zwalczali kapitalizm.  
Powstały też „szkoły flirtu“ i „szkoły orgazmu“, a uni-  
wersytety rajfurzą studentów przez internet.  
„Rewolucjoniści obyczajowi“ kają się więc, że trak-  
towanie kobiet jako dorywczej rozrywki było błędem  
w ich ideologii... Tak więc zielony minister Joschka  
Fischer, jeden z przywódców ruchu 1968 ma już piątą  
żonę... W tym czasie szeregi „stanu wolnego“ zostały  
zasilone przez licznych „singli z odzysku“, czyli roz-  
wodników. A przemiany ustrojowe w byłym NRD  
przyniosły także tam, wraz z nadejściem bezrobocia,  
obawy przed zakładaniem rodzin. W modę wszedł  
„Softie“ – miększy i bardziej ludzki facio. Ale nowy  
„mięczak“ jest też kontrowersyjny. Wiele kobiet nie  
lubi tego typu, który zresztą potrafi wykorzystywać  
kobiety według zasady: „jak jesteś taka silna, to  
prowadź walkę życiową i płac rachunki“.

### Folklor post-emancypacyjny

Ostatnio zapragnęli ślubów homoseksualiści  
i niektóre pary „gejów“ pognały wraz ze swym  
pieskami do urzędów stanu cywilnego, by założyć  
obrączki po kilkunastu latach współżycia na kocią  
łapę. A wśród dziewczyn ostatnio pojawiły się nowe  
„trzy K“ – *Knete, Kerle, Klamotten* (Forsa, Faceci,  
Fatałaszi). Zdjęły one też spodnie i noszą się

der führenden Gestalten von 1968 schon die fünfte Gattin...

In der Zwischenzeit wurde die ledige Gesellschaft durch zahlreiche wiedergewonnenen Singles verstärkt. Auch die „Wende“ in der DDR brachte, zusammen mit dem Erscheinen von Arbeitslosigkeit, Ängste vor Familiengründungen. Zugleich kam der „Softie“ in Mode – der weichere und menschlichere Mann. Er ist aber auch kontrovers. Viele Damen mögen diesen Typ nicht, weil so mancher auch die Frauen benutzt, nach dem Prinzip: „Wenn du so stark bist, führe den Lebenskampf und zahle die Rechnungen“

### **Post-emanzipatorische Folklore**

Neuerdings sind die Homosexuellen scharf auf's Heiraten und so manches Gay-Paar rannte zum Standesamt.

Und unter Mädchen ersetzen die neuen „drei K“ – Knete, Kerle, Klamotten, die alten. Sie ließen auch ihre Hosen runter und sind jetzt verführerisch, wobei sie von Kopf bis Fuß mit Nacktheit glänzen...Manche machen sogar Männern direkte Avancen. In der Zwischenzeit wird Berlin immer leerer und die Befürchtungen um die Rente und Fürsorge für die kinderlose Generation der Revolutionäre breiten sich aus.

Auf die staatlichen Bemühungen, das zu ändern, reagieren mit der Fortpflanzung vor allem die Deutsch-Türken. Das schnelle Wachstum der islamischen Gesellschaft paßt nicht jedem, aber viele junge Deutsche, Türken und Polen finden einen neuen Arbeitsmarkt in Alten- und Pflegehäusern. In Polen zeichnen sich ähnliche Trends zur Kommerzialisierung von zwischengeschlechtlichen Beziehungen ab.

Viele Männer in Deutschland halten ihre polnische Geschlechtsgenossen verächtlich für „Machos“, weil sie höflich den Frauen gegenüber sind, ihre Hände küssen und sie nach Hause begleiten, statt sie in einer der Emanzen würdigen Manier nachts in dunklen Ecken allein zu lassen. Ich muß jedoch zugeben, wenn ich höre, wie die polnischen Politiker notorisch über „Notwendigkeit männlicher Entscheidungen“ reden, verstehe ich die deutsche Kritik. Ich tröste mich aber damit, daß die Polen meistens nur verbale Machos sind. Sie schmeißen ihre Macho-Sprüche und gehen dann brav einkaufen oder in die Küche und zu den Kindern.

**Übersetzung von der Autorin**

uwodzicielsko, lśniąc golizną od dekoltów poprzez pępki do stóp. Masz babo placek... I nawet robią panom bezpośrednie propozycje. Tymczasem Berlin pustoszeje i szerzą się obawy o renty i opiekę nad bezpłodnym pokoleniem rewolucjonistów. Na wysiłki rządu, by to zmienić, reagują głównie niemieccy Turcy. Ale nie wszyscy są zachwyceni ekspansją islamskich grup. Za to wielu młodych Niemców, Turków oraz Polek odkrywa nowy rynek pracy w domach starców i opiece. W Polsce zarysowują się podobne trendy w stronę komercjalizacji seksu jak na Zachodzie. Ale jak dotąd w Niemczech, na ogół dżentelmeńscy wobec kobiet Polacy, uchodzą za macho, których należy „umoczyć“. Nie tylko całują kobiety w rękę, ale nawet odwożą je wieczorami do domu, zamiast porzucać w sposób godny emancypantek w ciemnych zakamarkach koło stacji metra. Chociaż gdy słyszę jak polscy politycy notorycznie oświadczają, że „trzeba podjąć męską decyzję“, to trochę te zarzuty rozumiem. Pocięsam się jednak, że Polacy są przeważnie tylko werbalnymi macho. Rzucają swe maczowskie hasła, po czym idą grzecznie na zakupy lub do garów i dziątek.

\* \* \*

z ziarna co najwyżej w mąkę  
z grona w jasne wino

piasek przeważnie w szkło

z brązu w posąg  
lub medalion  
z dźwięku w muzykę  
słowa

jeśli z porzrzuconych liter  
to zawsze w ułożone wyrazy  
mniejsza o treść

stworzyć coś z niczego  
to nie lada wyzwanie  
w niekończącym się festiwalu form



\* \* \*

powracają  
siadają na parapecie  
mają tyle do powiedzenia

mówią o smaku cukrowej waty  
zabawie w polu kukurydzy  
i kąpieli w rzece

jedne mają barwy lata  
inne jesieni

choć są kruche  
na ich skrzydłach można pokonać tysiące mil

bywa że zamieniają się miejscami  
jedne chowają się za drugimi  
na minutę miesiąc rok

to one budują dzisiejsze gniazda  
ale wystarczy pukanie do drzwi  
a odlatują w popłochu

takie już są wspomnienia



**nad szkicami Norwida**

ktos w wieńcu laurowym  
w dialogu zmarłych  
bokiem  
przodem  
na kolanach

tu moje miejsce  
przy tych kilku kropkach atramentu  
rozciągniętych na wszystkie strony świata

już nie muszę się spieszyć  
zaciskać zębów  
sięgać po kolejne sztuczki

to co wypełnia  
pozwala rozumieć i koi  
spływa z tych kilku kompozycji

rycin bez których świat  
mógłby się obejść



**po drugiej stronie**

jesteście już tam  
już wiecie jak wielu się myliło  
jak wielu miało rację

tajemnice zniknęły  
a wasze nieludzko czerwone serca  
biją tak samo i tylko w takt prawdy

macie czas na rozmowy  
ale czy są potrzebne  
jest miejsce na refleksję  
ale czy jest coś do zgłębienia

czasem jeszcze ktoś podniesie rękę  
by coś powiedzieć  
przemówić ostatni raz  
ale zaraz ją opuszcza

już wiecie że światu niczego nie brakuje  
a potrzeba zmian  
to tylko wymysł człowieka



# Mistrz Ołtarza

Kościół nie wyglądał okazale, wtapiał się w pejzaż wioski dolnośląskiej obok drogi, chałup i przepływającej rzeczki. Nie za duży, z cegły, zbudowany w stylu późnogotyckim, z masywną wieżą, która być może była na początku kapliczką, a teraz stoi przytulona do właściwej świątyni. W środku panuje półmrok, wąskie witraże nie przepuszczają za wiele światła. Podchodzę do ołtarza. Dopiero z bliska widzę drewniany tryptyk retabulum, a w nim rzeźbiony wizerunek Matki z Dzieciątkiem oraz świętych. Dzieło pochodzi z późnego średniowiecza, co poznaję po ornamentach i rozmieszczeniu postaci. Kiedy spojrzałem dokładniej, zastanowił mnie wyraz twarzy rzeźbionych osób. Właściwie brak wyrazu, żadnych uczuć, grymasów, zmarszczeń. Oblicza bez jakichkolwiek emocji, maski, ale w żadnym przypadku nie bezmyślne. Artysta, który to tworzył musiał być naprawdę nietuzinkowy. Chętnie bym go poznał, ale cóż, dzieli nas okres około pięciuset lat. Z drugiej strony nie jest to tak wiele, już nieraz jako towarzysz Klio – muzy historii, przenosiłem się w epoki jeszcze bardziej odległe. Spróbowałem więc i teraz. Użyłem różdżki oraz ponadczasowej wyobraźni... – odstoń oblicze tajemniczy rzeźbiarzu...

\*

Niebo nad Gościeszowicami stawało się szare i ciemniało z każdą chwilą, jego barwa powoli przechodziła w kolor granatowy. O takiej porze anioły wraz z dziećmi odmawiają przed zaśnieciem wieczorny paciorek. Nadchodziła noc. W chatkach żółtawą poświatą błyskały od zapalanych świec okienka, które zamiast drogich szyb obciążano wołowym pęcherzem. Na samym skraju wioski, tuż przy trakcie do Bytomia Odrzańskiego stał dom bogatszy od innych, co łatwo było poznać po ceglanej podmurówce oraz obitych ćwiekami wierzejach. Wewnątrz, w głównej izbie przechadzał się to w tę, to w drugą stronę dojrzały w leciech człek, co rusz skubiąc się w długą brodę. Gospodarz Mirko miał o czym myśleć, dziś właśnie wprowadzili się do niego goście. I to jacy tajemniczy! Weszli do domu obydwaj owinięci w opończe, tak, że ledwie było widać ich twarze, a wprowadził ich kto? – sam proboszcz Gościeszowic. Gdyby nie on, Mirko za nic nie przyjąłby nieznanym na kwatery. Nie poznał ich z imienia, ani tego wyższego, którego ksiądz tytułował „mistrzem”, ani niższego, wyglądającego delikatniej i młodzieńczo. Cóż, proboszczowi parafii gościeszowickiej nie odmawia się, Mirko obydwo przyjął, wydzielił pokój z osobnym wejściem i teraz zastanawiał się, kim też mogą być tajemniczy przybysze. Ksiądz wspominał, iż rzeźbią ołtarze i takowy sprawią w Gościeszowicach, więc pobędą tutaj dłużej i bardzo ciekawe, jak to wszystko się potoczy. – A jeżeli wyrzeźbią piękny ołtarz w tutejszym kościele, przez co staną się sławni, to i na mnie splendor przyjdzie – dedukował Mirko. Oby to był szczęśliwy dzień, wizyta takich gości. Zaraz, skąd oni przybyli? Co to mówił proboszcz? Aha, z jakiejś Lewoczy. Cóż takiego się stało, że zawitali aż tu, na północne krańce czeskiego królestwa. Ciekawe... Mirko po raz kolejny zawrócił w swoim spacerze i znowu podrapał w brodę.

\*

Codziennie, zaraz po śniadaniu, mistrz z pomocnikiem udawał się na plebanię, by rzeźbić nowy ołtarz dla gościeszowickiego kościoła. Codziennie też gospodarz Mirko obserwował tak wyjścia, jak i wieczorne powroty swoich gości, albo przez okno, czy też jeszcze chętniej wychodząc im naprzeciw. Wyganiała go ciekawość, chciał być jak najbliższej przybyszów, poznać ich, dowiedzieć się o nich wszystkiego. Wszak udzielał im kwatery. Tutaj jednak Mirko srodze się zawiódł, goście byli niezwykle małowinni i tajemniczy. Gospodarza aż złość brała. Jedyne, co od nich wydobył, to imiona, mistrz zwał się Janaszem, a pomocnik jakoś obco – Han. Z półstówek Mirko jeszcze wywnioskował, że wędrowcy długo mieszkali w Lewoczy na Spiszu, potem w czeskim Wrocławiu, by na koniec zawędrować tutaj. Gnała ich z miejsca na miejsce potrzeba samodzielnej pracy, ponieważ w cechu nie mogli się wykazać przy takich artystach jak Wit Stwosz czy Paweł z Lewoczy (Mirko o nich nigdy nie słyszał). A Janasz ze dwa razy mruknął, że w jednej pracowni rzeźbiarskiej nie może być dwóch mistrzów, co absolutnie usprawiedliwiało wędrowkę i chęć realizowania własnego stylu. Han natomiast nie mówił nic oprócz rzucanych półgębkiem „tak” lub „nie” i to głosem jakby specjalnie pogrubionym. W ogóle wyglądał nietypowo, jego smukła postać i delikatne rysy dziwnie kolidowały z rękami, niby drobnymi, ale jakże mocnymi. Widać było, że te ręce siłą i sprawnością dorównywały dłoniom mistrza, bo Han nie po imieniu, lecz właśnie w ten sposób zwracał się do towarzysza. Niewiele więcej Mirko mógł zaobserwować, po powrocie z plebanii zmęczeni rzeźbiarz z uczniem zamykali się w swojej izdebce i nijak na dało się wciągnąć ich w rozmowę. Mirko może i dałby im spokój z nagabywaniem, gdyby nie czysty któregoś wieczoru przypadek. Otóż mistrz wchodząc do izdebki zawołał przyciszonym głosem na wolno idącego za nim pomocnika: – pospiesz się, Hanno! Stojącego w cieniu półotwartych drzwi Mirka aż zatkało. Hanno? Przecież to imię kobiece. Na Boga, czyżby przypadkiem odkrył tajemnicę skrywaną przez małowoinnych przybyszów? Czy to prawda? Jeżeli Han był kobietą-Hanną, to nie ma prawa być rzemieślnikiem – ani rzeźbiarzem, ani żadnym innym. Prawo surowo tego niewiastom zakazuje pod groźbą kar, czy to chłosty, ogolenia głowy, aż do publicznego poniżenia w dybach i wygnania. Czyżby więc taką tajemnicę skrywali przed światem mistrz i ten, a może ta druga? – Muszę to sprawdzić, muszę się upewnić – myślał Mirko – przecież to prawie niemożliwe. A jeżeli? – tu włos stanął gospodarzowi na głowie. Przecież to przestępstwo, a sprawcy właśnie u niego mieszkają. Ani chybi i jego oskarżą o współudział w tym oszustwie. Powiedzą, że przecież wiedział, no bo jak gospodarz może nie wiedzieć? – Co robić? Jak temu zapobiec? – myśli coraz mocniej kołatały w głowie Mirka, waliły w czaszkę tak, jakby za chwilę miały ją rozbić na części i wyskoczyć, niosąc całemu światu prawdę o przestępstwie gospodarza. Dalibóg, to gorsze od zbrojstwa, takie oszustwo, bo wstyd i sromota większe. – Co ja mam robić? – łamał się Mirko – przecież trzeba coś zrobić, inaczej zginę. Tamci znowu gdzieś sobie pójdą, a ja zostanę na potępienie sąsiadów. Tak nie może być, trzeba powiadomić proboszcza. – Właśnie! – zakrzyczało całe jego jestestwo – szybko do proboszcza! On nie pozwoli mnie sponiewierać, sam przecież tych przybłędów do mnie przyprowadził. Tak, natychmiast pójde – Mirko na chwilę ochłonął – zaraz, a jeżeli się przestyszałem? Może to wiatr zniekształcił słowa Janasza albo co innego, a ja głupi się myślę? Nie, nie mogę iść do księdza tak bez niczego, muszę się upewnić. I pchnięty odruchem gospodarz posunął się ku okienku izdebki zajmowanej przez gości. Z wewnątrz przebijało niktłe światelko świecy, błona okienna też ograniczała widok, Mirko jednak dostrzegł dwie postacie rozbierające się do snu. Ta niższa, zanim weszła do swego łóża, na chwilę odstąpiła ciało wkładając nocną koszulę. Mirko zamarł z otwartymi ustami, zobaczył kobiece piersi. Na pewno kobiece, te przecież każdy odróżni. A więc to prawda, Han to nie mężczyzna lecz Hanna – niewiasta. Kiedy Mirko całkowicie to sobie uświadomił, aż wziął głęboki oddech, by myśli uspokoić. No tak, teraz ma dowód, wie na pewno. Jutro z samego rana złoży wizytę proboszczowi.

\*

Chodź, zobaczysz jak idzie praca z naszym ołtarzem – uśmiechnięty ksiądz powiódł Mirka do pomieszczenia plebanii przerobionego na pracownię. – Teraz nasz mistrz ma przerwę i możemy obejrzeć jego dzieło. W czasie pracy nawet mnie nie wpuszcza – proboszcz zrobił tajemniczą minę – cóż, każdy ma swoje



sekrety rzemiosła. Popatrz tu – wskazał Mirkowi środkową część powstającego tryptyku. – Oto Maria z Dzieciątkiem, a po bokach Archanioł i Józef. Spójrz, wszyscy mają korony, które mistrz pociągnie pozłotą. Piękne, prawda? Tego ołtarza będą nam zazdrościć. Jak tylko będzie skończony, powiadomię naszego księcia Jana w Żaganiu, może zaszczyca nasze Gościeszowice swoją obecnością. – Proszę księdza – przerwał Mirko – to jest bardzo piękne, ale... – tu opowiedział proboszczowi o wszystkim, co usłyszał i zobaczył. W trakcie tych wynurzeń twarz księdza coraz bardziej pochmurniała, jednak Mirko nie zauważył oburzenia, raczej jakąś coraz bardziej widoczną zawziętość na obliczu. Kiedy już skończył, proboszcz spytał ni stąd, ni z owąd: – Widzisz te twarze Marii i poboczne? Czy czegoś ci nie przypominają? Zdziwiony Mirko przeniósł wzrok na ołtarz. Prawda, w tych twarzach jest coś znajomego. Niby są bez emocji, ani rozmodlone, ani uśmiechnięte, jakby maski bez wyrazu, a jednak coś... Tak, przecież Maria ma lico Hanny, a obie postacie po bokach Janusza. Że też od razu nie zwrócił na to uwagi. Ale co to ma wspólnego z... – Coś ci powiem – proboszcz przerwał jego rozmyślenia – wiem o wszystkim. Posłuchaj mnie teraz uważnie i zapamiętaj. Pan Bóg daje różnym ludziom talenty, niezależnie czy to mężczyźnie, czy kobiecie. W tym przypadku nasz Janusz jest tylko pomocnikiem i maluje rzeźby, prawdziwym twórcą jest Hanna. To ona potrafi tak pięknie rzeźbić i to dzięki niej powstanie ten ołtarz na Bożą chwałę. Czyż mam wzbraniać stworzenia wielkiego dla parafii dzieła tylko dlatego, że mistrz jest kobietą? Czyż to nie jest jej wkład w służbę Panu? A że robi to najlepiej wykorzystując swój dar i zdolności? O, nie, nie ma w tym nic złego. Wiedziałem o tym od początku, bo sami mi wszystko powiedzieli. I wiedz, że zgodziłem się z radością na rzeźbienie naszego ołtarza, bo cel jest szlachetny, a czyn Bogu na pewno miły. Powiesz, że to wbrew prawu? Cóż, kiedyś to prawo się zmienia, ludzie są równi niezależnie od płci. Wiem więc o wszystkim i milczę, to samo jako kapłan nakazuję tobie. Masz trzymać sprawę w tajemnicy i nie wolno ci nikomu o tym mówić. Zapamiętaj Mirko, nikomu.

\*

To był wielki dzień dla Gościeszowic, zwłaszcza dla proboszcza oraz kościoła, który odwiedzi książę Jan II Żagański. Wokół świątyni zebrali się wszyscy mieszkańcy; chłopcy, niewiasty i dzieci stali stłoczeni głową przy głowie, chcąc z bliska obejrzeć swojego władcę. Przecież taka gratka może się zdarzyć tylko raz w życiu. Kiedy pod kościół zajechał oddział gwardii, a potem pojazd z Jego Wysokością, odkryły się wszystkie głowy. Książę wysiadł z powozu, następnie po wyłożonym długim kobiercu przeszedł wśród szpaleru dworzan do drzwi kościoła, gdzie uniżenie czekał już proboszcz tutejszej parafii. Przywitał księcia chlebem i solą, po czym wprowadził jego i świtę do środka. Przy ołtarzu, widocznym jaskrawo wśród płomieni świec stał mistrz z pomocnikiem Hanem, którzy pokłonili się władcy i objaśnili szczegóły powstawania tryptyku. Dzieło wspaniałością przewyższało opis. Podstawę ołtarza stanowiła mensa – potężna skrzynia z płyty z piaskowca na wierzchu. Na niej osadzono predellę – drewniany monument z pięknie malowanymi rzeźbami świętych. Oglądającym od razu rzucił się w oczy brak głębi, tzw. tła. Wszystkie postacie są ustawione na jednym planie, sylwetki nakładają się jedna na drugą, a fałdy draperii (wyrzeźbionej tkaniny) łamane są ostro, tworząc malownicze dekoracyjne układy. Nad predellą znajduje się najwyższa część ołtarza – nastawa, zwana retabulum. Nastawa stanowi tryptyk, ma kształt położonej na boku płaskiej skrzyni, z wiekiem rozwartym na dwa skrzydła i przypomina wyglądem okno z otwartymi okiennicami na zewnątrz. Całe retabulum wypełnione jest malowanymi rzeźbami. W części środkowej książę ze świtą ujrzeli trzy postacie z Marią i Dzieciątkiem pośrodku. Na skrzydłach, w dwóch poziomach przedstawione są postacie świętych. Co ciekawe, o ile w środkowej części retabulum Maria i święci mają zachowane proporcje, to boczne wizerunki postaci są zbyt przysadziste, jakby nieco skarłałe. Książę Jan zauważył jeszcze jeden szczegół, wszystkie twarze mają wyraz pozbawiony jakichkolwiek uczuć i co dziwniejsze, (przyjrzał się rzeźbiarzom) mężczyźni mają rysy mistrza, a kobiety typu pomocnika. Oblicza świętych różnią się tylko zarostem i fryzurą, a u kobiet nakryciem głowy. Całość wywierała oszałamiające wrażenie, takiego pięknego ołtarza nie było w całej północnej części czeskiego królestwa – od Wrocławia aż po Zieloną Górę. Zebrani oglądali tryptyk z zapartym tchem, czasem któryś dworzanin szepem wyraził bardzo pochlebną uwagę. Po dłuższej chwili książę zwrócił się do twórcy: – Przepiękne jest twoje dzieło. Uroczyście oświadczam, że zasługujesz na miano Mistrza Ołtarza. Pragnę, abyś

podobny wyrzeźbił w żagańskim przyzamkowym kościele. A ponieważ jak miemam, potrzebna jest ci prawdziwa pracownia, natychmiast w ramach zaliczki każę ją tutaj dla ciebie wybudować wraz z porządnym domem. Gościeszowice zaś niech zasłyną twoim imieniem na chwałę całego żagańskiego księstwa.

\*

Coraz bardziej sławne stawały się Gościeszowice, co rusz ważne osoby duchowne i nie tylko odwiedzały nowy dom Mistrza Ołtarza. Wszyscy zamawiali rzeźby do powstających w regionie jak grzyby po deszczu kościołów, tak w bliższej, jak i dalszej okolicy. Najpierw przybywali ci z bliska – Konina Żagańskiego, Mycielina, Dzikowic, Bukowiny Bobrzańskiej, a w miarę rosnącej sławy Mistrza z coraz odleglejszych miast i krain – Sulechowa, Wichowa, Wielkopolski. Zamówienia sypały się jak z rękawa: *Ostatnia Wieczerza* w retabulum mycielińskim, *Hołd Magów* na predeli, a w retabulum *Zaśnięcie Marii* dla Chich, *Wielka Święta Rodzina* dla Żagania. Mistrz Ołtarza przyjmował zlecenia, ustalał terminy i pracował, pracował... W jego warsztacie do późnych godzin nocnych paliły się łuczywa i słychać było stuk dłuta. Któregoś dnia znowu zbiegli się wszyscy mieszkańcy Gościeszowic z powodu nie lada sensacji; przed pracownią mistrza zatrzymały się dwa powozy. Z pierwszego wysiadł sam biskup miasta Poznania, aby zamówić ołtarz do kościoła w Kościanie, z drugiego kanonik drezdeński w sprawie zlecenia dla kościoła w Lomnitz, gdzie potrzebowano rzeźbionej nastawy. Ołtarze z Marią i Dzieciątkiem oraz twarzami świętych pozbawionymi emocji, stały się sławne aż po dalekie kraje. Ich widok przyciągał wiernych do kościołów, ale też i znawcy rzemiosła cmokali z zachwytu nad tą nowatorską formą sztuki.

\*

Wszystko to obserwował z progu swojego domu Mirko i coraz bardziej żółć w nim wzbierała. Ci wszyscy wspaniali goście w fioletowych infułach, dworzanie w szatach z koronkami, oni odwiedzali tylko pracownię Mistrza Ołtarza, oboje Mirka przelotem tylko i od niechcenia opryskując błockiem spod pędzących kół powozów. – Przecież to dzięki mnie zaczynał ten przybłęda – myślał coraz bardziej zawistny gospodarz – gdyby nie ja, pewnie nikt nie dałby mu gościny. Poza tym to przestępca, kobietom nie wolno parać się rzemiosłem. Ten Janasz tylko udaje głównego majstra, prawdziwym mistrzem jest Hanna. To para oszustów, oni powinni pójść do więzienia, zamiast zażywać sławy i bogactwa. Mnie też nie okazali żadnej wdzięczności, ot, zwykli dorobkiewiczze i szalbierze. Czekać, jak wy mnie, tak i ja dla was – postanowił w końcu rozżalony Mirko. Czas już, by książę Jan dowiedział się, jakie z was ziółka. I następnego dnia mściwy gospodarz udał się do Żagania, aby powiadomić władcę o przestępcach.

\*

Zdziwienie i przestrasz wywołała w Gościeszowicach nagła wizyta książęcych gwardzistów. Zajechali galopem pod dom Mistrza Ołtarza, wyciągnęli jego i pomocnika, obojwóch zakuli w kajdany, po czym wrzucili do zamkniętego powozu i odjechali. Ludziska długo jeszcze stali na gościńcu i komentowali to wydarzenie. Padały najróżniejsze domysły. A stojący przed swoją chatą Mirko tylko uśmiechał się ze złośliwą satysfakcją.

\*

Żagański zamek podejmował wyjątkowego gościa. Do księcia Jana przybył z Głogowa sam polski królewicz Zygmunt Jagiellon, od niedawna – z nadania swego brata a króla czeskiego – namiestnik całego Śląska. Zygmunt odwiedzał wszystkie podległe mu lenne prowincje, wśród których Księstwo Żagańskie zajmowało poczesne miejsce. Nowy namiestnik pragnął bowiem uporządkować dwie sprawy: oczyścić cały Śląsk ze zbójców, którzy byli plagą traktów kupieckich oraz ujednoczyć monetę, co z kolei wzbogaciłoby handel i całą

krainę. Było więc co omawiać ze starym i mądrym księciem Janem. Dziś jednak zrobiono przerwę w obradach, gdyż należało odprawić sąd nad kobietą, która do spółki z bratem wykonywała zakazane rzemiosło jako Mistrz Ołtarza. Książę chętnie widział namiestnika jako sędziego, ponieważ w ten sposób mógł dodatkowo uhonorować królewicza. Usiadł więc Zygmunt Jagiellon za sędziowskim stołem, obok niego żagański władca, po czym wprowadzono aresztowanych Janasza i Hannę. Do sali wszedł także Mirko i od wysłuchania jego oskarżenia rozpoczęto sprawę. Królewicz przez cały czas uważnie przyglądał się rodzeństwu, zmarszczył się, jakby coś przypominał, w końcu kiwnął głową i powiedział: – Ja was oboje pamiętam, widzieliśmy się w warsztacie mistrza Pawła, kiedy parę lat temu byłem w Lewoczy. Terminowaliście tam rzeźbę i malarstwo. Ty – wskazał palcem Hannę – już wtedy udawałaś chłopca i nosiłaś się po męsku. Hm, wiecie, że to przestępstwo i powinniście być ukarani. Cóż więc macie na swoją obronę? Do przodu wysunął się Janasz. – Mości Namiestniku, ja wszystko opowiem...

\*

Pochodzili oboje z krakowskiego Kleparza – dzielnicy biedoty. Hanna już jako dziecko wykazywała niezwykle zdolności do majsterkowania i dłubania w drewnie. Nie interesowały jej lalki, łauszki i inne dziewczęce zabawki, ciągle coś nożykiem wycinała, obrabiała, by potem dać Janaszowi do pomalowania. Kiedy na skutek zarazy umarli ich rodzice, Hanna musiała przebierać się za pacholika, bo tylko w ten sposób mogła wynajmować się wraz z bratem do różnych prac zapewniających przeżycie. W ten sposób trafili do cechu rzeźbiarzy, gdzie początkowo znosili drwa, sprzątali pracownie, aż dali się poznać mistrzowi Witowi Stwoszowi jako zręczni terminatorzy w sztuce. Stwosz wystąpił ich z grupką chłopców na naukę do swego byłego ucznia Pawła, który prowadził warsztat w Lewoczy na Spiszu. Tam oboje młodzi okrzepli, a Han (bo pod takim imieniem ukrywała się siostra) został uznany najzdolniejszym czeladnikiem cechu. Codziennie też obydwójce pracowali w kościele św. Jakuba, gdzie mistrz Paweł rzeźbił ołtarz pięciu świętych Janów. Rzeźba ta zasłynęła później jako najwyższy na całym świecie ołtarz gotycki. Niestety, przypadkiem któryś z terminatorów rozpoznał w Hanie dziewczynę i doniósł o tym strażnikom miejskim. Hannę i Janasza natychmiast aresztowano i uwięziono w ratuszowym lochu. Późnym wieczorem przerażonych czekającym ich losem odwiedził mistrz Paweł. Od razu przystąpił do rzeczy. – Słuchajcie nieszczęśni – mówię – jutro mają was zamknąć w „klatce hańby” stojącej na rynku i więzić w niej każdego dnia aż do procesu. Nie mogę do tego dopuścić – mieszczanie będą was dźgać przez pręty kijami, obrzucać kamieniami i oblewać wiadrami pomyj. Przekupiłem strażnika, wasze przestępstwo nie jest zabójstwem, więc zgodził się niby przysnąć na służbie. Drzwi macie otwarte, uciekajcie natychmiast stąd i z kraju. Nie wspominajcie nikomu, że to ja wam pomogłem, staram się o rękę córki wójta Lewoczy i to mogłoby poważnie mi zaszkodzić. Macie trochę pieniędzy, jedzenia i natychmiast uchodźcie.

Powędrowali tedy młodzi do sąsiednich Czech i zamieszkali aż we Wrocławiu, gdzie znaleźli zajęcie w warsztacie rzeźbiarza Jana Beinharta. Los bywa jednak przekorny, także i tutaj odkryto niedozwoloną dla tej pracy płeć Hanny. Rodzeństwo nie czekało na konsekwencje, zostawiając wszystko Janasz z siostrą uciekli na północne kresy państwa. Zatrzymali się dopiero w Gościeszowicach.

\*

Królewicz Zygmunt znany był w całej jagiellońskiej części Europy (Polsce, Litwie, Czechach i na Węgrzech) ze swego poszanowania prawa oraz uczciwości i honoru. Tym razem długo się zastanawiał, jaki by tu wydać werdykt. W końcu ostrożnie rzekł: – Wasza wina nie jest wielka, chociaż postąpiliście wbrew prawu świadomie. Myślę jednak, że nie jest złą rzeczą, kiedy na chwałę Boga niewiasta oddaje swoje talenty najlepiej, jak potrafi. No cóż, jeżeli ten gospodarz – Zygmunt wskazał palcem Mirka – podtrzyma oskarżenie, nakazę sprawdzić, że jesteś Hanie kobietą i będę musiał skazać was oboje na rok lochu. Tak będzie, jeżeli gospodarz oskarżenie podtrzyma – powtórzył wolno namiestnik i spojrzał znacząco na księcia Jana. Ten odwzajemnił spojrzenie i lekko skinął głową, Zygmuntowi zdało się nawet, że mrugnął okiem.

– Ale ja podtrzymuję oskarżenie – zakrzyknął Mirko – to przez nich groziło mi ośmieszenie i potępienie całej wsi. Poza tym nic nie skorzystałem na udzieleniu im gościny, ci oszuści okazali się niewdzięcznikami. Przecież muszę na nich zarobić, dlatego jestem delatorem. – To znaczy donosicielem – wycedził książe. – Cóż, chciwy człeku, zapłatę ci za usługę, ale natychmiast odwołasz oskarżenie. I to już! – Nie mo... – Mirko spojrzął w oczy księcia i przerwał. Wzrok Jana mroził krew w żyłach, gospodarz jak w księdze wyczytał, że książe każe go ściąć, jeżeli tylko będzie sprzeciwiał się jego woli. – Zginę, jak się nie zgodzę, ani chybi zginę – pomyślał, ale jednocześnie go olśniło. Przecież dostanie zapłatę, to jest najważniejsze. Co tam... – Niech będzie, odwołuję – powiedział głośno. – Musiałem się pomylić, odwołuję – powtórzył. Po wysłuchaniu tego oświadczenia Zygmunt szeroko się uśmiechnął i zaraz uroczyście uniewinnił Janasza i Hannę od wszelkich posądzeń o łamanie obyczajów i oszustwo. A sam Mirko chyba nie docenił księcia Jana, nie przypuszczał niebora, że ten zadrwi sobie z donosiciela. Władca odezwał się bowiem zaraz po wysłuchaniu wyroku, a słowa, jakie wypowiedział wywołały na twarzy Mirka przerażenie. – Właściwie skoro oskarżenie odwołano, to i nie ma za co płacić delatorowi. Ty – wzrok Jana wiercił Mirka niczym świder – będziesz od dziś odpowiedzialny za dobre imię Mistrza Ołtarza. Nie dopuścisz, aby ktokolwiek próbował fałszywie posądzać rzeźbiarzy o jakiegokolwiek oszustwo. A gdyby cokolwiek złego o mistrzu wypłynęło na świat, no cóż – w głosie księcia zabrzmiała ironia – to ty pójdziesz do lochu. Zapamiętaj wstrętny delatorze, że mistrz i pomocnik pracują dla chwały Bożej i naszego żagańskiego księstwa. A teraz idź precz i pilnuj swojego zadania.

Załamany i zrozpaczony Mirko nie śmiał protestować, skłonił się i powoli cofał ku drzwiom. Książe całą sprawę odwrócił jak kota ogonem i chyba naprawdę rację mają ci, którzy zwą go Janem Szalonym.

\*

...Minęły wieki. Już dawno temu Hanna i Janasz zeszedli z tego świata, syci chwały pod postacią Mistrza Ołtarza. Odcisnęli na lubuskiej ziemi trwałe ślady polskości i słowiańskiego kunsztu. Pozostały po nich rzeźby w tych świątyniach, które zachowały się mimo upływu czasu, opierając wszelkim kataklizmom. Tryptyki, tworzone w charakterystycznym stylu zwanym warsztatem Mistrza możemy i dziś oglądać. A gdybyście chcieli wiedzieć jak on sam wyglądał, przyjrzyjcie się obliczu Matki Boskiej na którejkolwiek jego rzeźbie. To właśnie będzie twarz krakowskiej dziewczyny z Kleparza, zwanej Mistrzem Ołtarza z Gościeszowic.





## PREZENTACJE

Lidia Głuchowska

### **Margarete i Stanisław Kubiccy – w kręgu polskiej i niemieckiej awangardy**

Twórczość plastyczna i literacka Margarete (1891-1984) i Stanisława (1889-1942?) Kubickich zaliczana jest do najciekawszych zjawisk polskiej i europejskiej sztuki okresu międzywojennego. Kubickiego charakteryzowano jako najwybitniejszego przedstawiciela ekspresjonizmu i pierwszego

Lidia Głuchowska

### **Margarete und Stanislaw Kubicki – im Kreise polnischer und deutscher Avantgarde**

Das bildende und literarische Werk von Margarete (1891-1984) und Stanislaw (1889-1942?) Kubicki gehört zu den interessantesten Phänomenen polnischer und europäischer Kunst der Zwischenkriegszeit. Kubicki wurde zum herausragendsten Vertreter des Expressionismus und ersten

konsekwentnego abstrakcjonistę w Polsce, a także za jednego z prekursorów prometejskiego nurtu polskiej awangardy, żyjącej utopią *nowego człowieka* i *nowej wspólnoty*. Serie akwarel Margarete Kubickiej urzekają świetlistością barw przywodzącą na myśl dzieła Delaunaya i Jawlensky'ego. Wyraziste formalnie rysunki, linoryty i obrazy jej męża, bliskie abstrakcji geometrycznej Malewicza i Mondriana, ujawniają jego pasję przyrodoznawczą i filozoficzną.

Oboje Kubiccy pośredniczyli w kontaktach poznańskiej ekspresjonistycznej grupy *Bunt* (1917-1922), skupionej wokół czasopisma artystycznego *Zdrój*, i berlińskiego pisma oraz galerii *Die Aktion*. Zainicjowali wydawnicze i wystawiennicze kontakty artystów polskich w Niemczech. Z końcem 1918 r. wyjechali do Berlina, gdzie włączyli się w tamtejsze życie artystyczne. Ich prace graficzne i literackie ukazywały się w „Der Sturm”, „Der Weg”, „Die Bücherkiste” i w „a bis z”. W 1920 r. Kubicki jako jeden z nielicznych polskich twórców wystawił w najsłynniejszej galerii awangardy *Der Sturm*. W 1922 roku oboje Kubiccy reprezentowali Polskę na Kongresie *Międzynarodowej Unii Artystów Postępowych* w Düsseldorfie, najważniejszym wystąpieniu polskiej awangardy w okresie międzywojennym, zapoczątkowującym istnienie tzw. *Międzynarodówki Konstruktivistycznej*. W tymże roku zorganizowali też w Berlinie *Międzynarodową Wystawę Artystów Rewolucyjnych*. W 1922 r. współtworzyli grupę *Die Kommune*, a w 1923 *Gruppe progressiver Künstler*, z którą wystawiali w różnych miastach Niemiec oraz w Chicago.

Kubiccy tworzyli głównie w międzynarodowym środowisku artystycznym Berlina, współpracując choćby z dadaistami Johannesem Baaderem i Raoulem Hausmanem. Do kręgu ich znajomych należeli także aktorzy teatru Erwina Piscatora, Georg Grosz, Marc Chagall, Kazimierz Malewicz czy wybitny fotograf, August Sander. Ich pracownia była miejscem spotkań ekspresjonistów z poznańskiej grupy *Bunt* i łódzkiej *Jung Idysz*. Przejściowo mieszała i tworzyli tam Jankiel Adler, Pola Lindenfeldówna i Artur Nacht-Samborski.

Po dojściu Hitlera do władzy Kubicki przyjechał do Polski i działał jako kurier polskiego ruchu oporu. Został zamęczony na Pawiaku w 1942 r. Kubicka, przeżyła wojnę, ratując wiele prac męża i wspólnych przyjaciół. Pozostała czynna artystycznie do swej śmierci w 1984 r.

konsequenten abstrakten Maler in Polen. Er gehörte gleichzeitig zu den Wegbereitern der prometheischen Strömung der polnischen Avantgarde, die die Utopie des *neuen Menschen* und der *neuen Gemeinschaft* lebte. Die Aquarellfolgen von Margarete Kubicka bestechen mit der Transparenz der Farbe, womit sie die Werke Delaunays i Jawlenskys in Erinnerung rufen. Die Zeichnungen, Linolschnitte und Gemälde ihres Mannes erinnern von der formellen Disziplin her an die geometrische Abstraktion eines Malewitsch und Mondrians, und verraten die Affinität Kubickis zur Naturwissenschaft und Philosophie.

Die beiden Kubickis vermittelten Kontakte zwischen der Posener Expressionistenvereinigung *Bunt* (Revolt) (1917-1922), die sich um die Kunstzeitschrift „Zdrój” (Quelle) gruppierte, und der Berliner Kunstzeitschrift und Galerie „Die Aktion”. Sie initiierten die Verlags- und Ausstellungskontakte polnischer Künstler in Deutschland. Ende 1918 reisten sie nach Berlin aus, wo sie sich dem dortigem Kunstleben angeschlossen haben. Ihre graphischen und literarischen Werke erschienen in den Zeitschriften „Der Sturm”, „Der Weg”, „Die Bücherkiste” und „a bis z”. 1920 stellte Kubicki als einer der wenigen polnischen Kunstschaaffenden seine Arbeiten in der renommiertesten Galerie der Avantgarde „Der Sturm”. 1922 vertraten die beiden Kubickis Polen auf dem Kongress der *Union Fortschrittlicher Internationaler Künstler* in Düsseldorf, dem wichtigsten Auftritt der polnischen Avantgarde in der Zwischenkriegszeit, dem Initiationsmoment der sogenannten *Konstruktivistischen Internationale*. Im selben Jahr organisierten sie auch in Berlin die *Internationale Ausstellung revolutionärer Künstler*. 1922 waren sie Mitbegründer der Gruppe *Die Kommune*, und 1923 der *Gruppe progressiver Künstler*, mit der sie ihre Werke in verschiedenen Städten Deutschlands und in Chicago ausgestellt haben.

Die Kubickis wirkten vor allem im internationalen Künstlerkreis Berlins und kooperierten u.a. mit den Dadaisten Johannes Baader und Raoul Hausmann. Zu ihrem Bekanntenkreis zählten auch Schauspieler von Erwin Piscators Theater, sowie Maler Georg Grosz, Marc Chagall, Kasimir Malewitsch oder der herausragende Fotograf August Sander. Ihr Atelier wurde zu einer Begegnungsstätte von Expressionisten der Gruppe *Bunt* aus Posen und der *Jung Idysz*

Tylko w ostatnich latach prace Kubickich i ich przyjaciół pokazywano m.in. w Los Angeles, Poznaniu, Wrocławiu, Brukseli czy Tulonie, a całkiem niedawno na ekspozycji *My, berlińczycy. Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa*. Ich retrospektywna wystawa przygotowywana jest obecnie w Muzeum Narodowym w Warszawie.

Syn Margarete i Stanisława Kubickich, prof. S. Karol Kubicki, był współzałożycielem i pierwszym immatrykulowanym studentem Wolnego Uniwersytetu w Berlinie.

#### Wybrana bibliografia

Lidia Głuchowska, *Avantgarde und Liebe. Margarete und Stanislaw Kubicki 1910-1945*. Berlin 2007.

Lidia Głuchowska/Peter Mantis, *Stanislaw Kubicki. Poeta tłumaczy sam siebie/Ein Poet übersetzt sich selbst*. Berlin 2003.

*Bunt – Ekspresjonizm Poznański 1917/1925*, red. Grażyna Hałasa/Agnieszka Salamon. Poznań 2003.

aus Łódź. Vorübergehend wohnten und schufen dort Jankel Adler, Pola Lindenfeld und Artur Nacht-Samborski.

Nach der Machtergreifung Hitlers begab sich Kubicki nach Polen und während des Zweiten Weltkriegs wirkte als Kurier der polnischen Widerstandsbewegung. 1942 wurde er im Gefängnis Pawiak zu Tode gefoltert. Kubicka überlebte den Krieg und konnte zahlreiche Werke ihres Mannes und der gemeinsamen Künstlerfreunden retten. Sie blieb künstlerisch bis zu ihrem Tode im Jahre 1984 tätig.

Nur in den letzten Jahren wurden Werke der Kubickis u.a. in Los Angeles, Posen, Breslau, Brüssel oder Toulon, und vor kurzem auf der Ausstellung „Wir Berliner. Geschichte einer deutsch-polnischen Nachbarschaft“ gezeigt. Eine retrospektive Schau ihres Schaffens wird zur Zeit im Nationalmuseum Warschau vorbereitet.

Der Sohn von Margarete und Stanislaw Kubicki, Professor S. Karol Kubicki, war Mitbegründer und der erste immatrikulierte Student der Freien Universität zu Berlin.

#### Ausgewählte Literatur

Lidia Głuchowska, *Avantgarde und Liebe. Margarete und Stanislaw Kubicki 1910-1945*. Berlin 2007.

Lidia Głuchowska/Peter Mantis, *Stanislaw Kubicki. Poeta tłumaczy sam siebie/Ein Poet übersetzt sich selbst*. Berlin 2003.

*Bunt – Ekspresjonizm Poznański 1917-1925*, hrsg. von Grażyna Hałasa/Agnieszka Salamon. Poznań 2003.

### Übersetzung von der Autorin



## Worek cukru, czyli o awangardzie i nie tylko artystycznych cudach współpracy polsko-niemieckiej

Z profesorem S. Karolem Kubickim, synem polsko-niemieckiej pary artystów, Margarete i Stanisława Kubickich, współzałożycielem Wolnego Uniwersytetu w Berlinie, rozmawia dr Lidia Głuchowska

– Szanowny Panie Profesorze, Pański ojciec, *spiritus rector* poznańskiej ekspresjonistycznej grupy *Bunt*, uchodzi nie tylko za jej duchowego przywódcę, lecz również był tym, który zainicjował kontakty polskich twórców w Berlinie. Z kolei nestorem polskiej awangardy nad Szprewą był Stanisław Przybyszewski, odkrywca talentu Edwarda Muncha. To on wraz z rzeźbiarzem z Poznania, Franciszkiem Flau-mem, założył w Berlinie pierwszy polski kabaret. Obaj, Kubicki i Przybyszewski, przynależą jednak do dwóch różnych pokoleń. Pod względem ideowym byli przeciwnikami, mimo iż do *Buntu* należał Jan Panieński, ożeniony z córką Przybyszewskiego, znaną pisarką, Stanisławą Przybyszewską, zaś Kubickiego z Panieńskim łączyła trwała przyjaźń. Jak więc wyglądały relacje Stanisława Kubickiego z Przybyszewskim?

– Przybyszewski bywał u moich dziadków, którzy przyjechali do Eberswalde, gdzie prowadzili otwarty polski dom, zatem ojciec znał go osobiście

## Ein Sack Zucker. Über die Avantgarde und die nicht nur künst- lerischen Wunder der deutsch-polnischen Zusammenarbeit

Mit Professor S. Karol Kubicki, Sohn des deutsch-polnischen Künstlerpaares Margarete und Stanisław Kubicki, Mitbegründer der Freien Universität Berlin, spricht Dr. Lidia Głuchowska

– Sehr geehrter Herr Professor Kubicki, Ihr Vater gilt nicht nur als *spiritus rector* der Posener expressionistischen Gruppe *Bunt*, sondern er war auch derjenige, der die Kontakte der polnischen Künstler nach Berlin initiiert hat. Als Nestor der polnischen Avantgarde in Berlin gilt wiederum Stanisław Przybyszewski, der als erster für den Ruhm von Edvard Munch gesorgt hat und der hier zusammen mit dem Bildhauer aus Posen, Franz Flau-m, das erste polnische Kabarett gegründet hat. Die beiden vertreten aber unterschiedliche Generationen. Sie waren auch ideologische Gegner, und das obwohl der Gruppe *Bunt* Kubickis enger Freund Jan Panieński angehört hat, der mit der begabten Dichterin Stanisława Przybyszewska (Przybyszewskis Tochter) verheiratet war. Wie sahen also die Kontakte von Kubicki und Przybyszewski in Posen aus?

– Przybyszewski verkehrte schon bei meinen Großeltern, die nach Eberswalde gekommen sind



jeszcze ze swej wczesnej młodości. Potem obaj spotkali się ponownie w Poznaniu na przełomie 1917/18, gdy Jerzy Hulewicz wydawał czasopismo „Zdrój” poświęcone literaturze i sztukom plastycznym. Hulewicz zaproponował Przybyszewskiemu współpracę przy wydawaniu tego czasopisma, zaś mój ojciec – z powodu wojny – dołączył do tego kręgu nieco później i próbował przekształcić wspomniane czasopismo w jeszcze bardziej awangardowe. Stąd też doszło do starcia obu koncepcji, gdyż Przybyszewski uważał, że ekspresjonizm to taka „niemiecka moda” i nie przyjmie się na polskim gruncie. Spór programowy między nimi był więc niejako wpisany w naturę rzeczy. Ostatecznie wygrał mój ojciec.

**– Przedtem jednak miał miejsce pewien epizod, opisany przez Heinricha Kunstmanna, a dotyczył on zeppelinów...?**

– Tę historię Kunstmann usłyszał ode mnie, a znana jest ona wyłącznie z ustnego przekazu – od mojej matki. Wszystko inne da się udowodnić, jednak tu akurat chodzi o anegdotę. Otóż zawsze twierdzono, że Hulewicz posiadał sterowiec, ale to nieścisłość – chodziło bowiem o mały samolot. Diabeł raczy wiedzieć, z kim Przybyszewski do niego wsiadł. W każdym razie przeleciał kilka rund i podobno bardzo mu się to podobało. Tylko jego żona [wcześniejsza Jadwiga Kasproiczowa – L.G.] lamentowała, że może spaść. Dotarł jednak na ziemię cały i zdrowy, i przeżył jeszcze dobrych kilka lat...

**– Na wystawie *My, berlińczycy* jest kilka obrazów wystawianych w Berlinie po raz pierwszy, wśród nich *Portret Żyda czytającego gazetę* Artura Nacht-Samborskiego (ok. 1921 r.) oraz *Błogosławieństwo Baal Schem Towa* Jankiela Adlera, powstałe na krótko przed jego przybyciem do Berlina (ok. 1919 r.). Marc Chagall wspominał, że spotkał tu wielu polskich artystów, wśród nich Jankiela Adlera. Ten z kolei, podobnie jak np. Artur Nacht-Samborski, Gina i Marek Schwarzwowicz czy Pola Lindenfeldówna, bywał również u Kubickich i dedykował im niejedną swą pracę. W samym Berlinie, ba, mała, że w Berlinie, w samej pracowni Kubickich, powstał inny jego obraz, *Moi rodzice* (ok. 1920). Co mógłby Pan opowiedzieć o okolicznościach jego powstania?**

– Jankiel Adler mieszkał i pracował w atelier moich rodziców przez kilka tygodni, zanim znalazł

und dort ein offenes polnisches Haus führten. Mein Vater kannte Przybyszewski also seit seiner frühen Jugend. Dann trafen sich beide 1917/18 in Posen wieder, als Jerzy Hulewicz dort seine Zeitschrift für bildende Kunst und Literatur, *Zdrój*, herausgab. Hulewicz hatte Przybyszewski eingeladen, an der Gestaltung der Zeitschrift mitzuwirken. Mein Vater kam – kriegsbedingt – etwas später zu diesem Kreis und versuchte, diese Zeitschrift avantgardistisch zu gestalten. Damit trafen die beiden hart aufeinander, denn Przybyszewski befand, dass der Expressionismus eine zu deutsche Angelegenheit wäre und auf polnischem Boden nicht reüssieren würde. Damit war ein Richtungsstreit vorgegeben, den mein Vater gewann.

**– Vorher gab es aber noch eine Episode, die Heinrich Kunstmann beschreibt, weil es um ein Zeppelin geht...?**

– Diese Geschichte hat Kunstmann von mir. Sie beruht nur auf einer mündlichen Überlieferung meiner Mutter. Alles andere lässt sich nachweisen, aber bei dieser Geschichte handelt es sich um eine Anekdote. Es wurde immer behauptet, Hulewicz habe einen Zeppelin besessen, aber es handelte sich nur um ein kleines Motorflugzeug. Mit wem Przybyszewski darin herumgeflogen ist, das weiß der Teufel, jedenfalls stieg er ein und kurvte so ein wenig herum. Er soll begeistert gewesen sein, nur seine Frau (die ehemalige Jadwiga Kasproicz) jammerte, er könne herunterfallen usw. Aber er ist heil herunter gekommen und hat noch ein paar Jahre gelebt...

**– Auf der Ausstellung *Wir Berliner* gibt es einige Bilder, die in Berlin zum ersten Mal gezeigt werden, darunter *Porträt eines Juden beim Lesen einer Zeitschrift* von Artur Nacht-Samborski (ca. 1921) und *Jankel Adlers Die Segnung von Baal Schem Tow*. Das letztere entstand kurz bevor Adler nach Berlin kam (ca. 1919). Marc Chagall berichtete, dass er in Berlin zahlreiche polnische Künstler getroffen habe, unter denen auch Jankel Adler war. Dieser – ähnlich wie Artur Nacht-Samborski, Gina und Marek Schwarz und Pola Lindenfeld – verkehrte auch bei den Kubickis und widmete ihnen auch einige seiner Werke. In Berlin ist aber noch ein anderes Werk von ihm entstanden, und das nicht nur in Berlin, sondern sogar im Atelier der Kubickis. Es handelt sich um eines seiner bekanntesten Bilder, *Meine Eltern* (ca. 1920?). Was können Sie zur Geschichte dieses Werkes sagen?**

w Berlinie własną pracownię w tak zwanym Scheunenviertel. Musiało to być na początku 1919 r. I tam właśnie namalował na ciężkiej płycie z drewna obraz *Moi rodzice*. Kiedy znalazł już własne lokum w pobliżu Alexanderplatz, niósł ten obraz na własnych rękach z odległej o kilka kilometrów dzielnicy Tiergarten do Scheunenviertel. Niósł go całą tę trasę nad głową. To ta część historii obrazu, która dotyczy moich rodziców...

– **Kazimierz Malewicz, teoretyk suprematyzmu i autor słynnego *Czarnego kwadratu na białym tle* (1913), zaliczany do czołówki rosyjskiej awangardy, był z pochodzenia Polakiem. Rząd polski nie wyraził jednak zgody na jego przenosiny nad Wisłę – mimo że jego wniosek popierali artyści grupy *Blok*. Tak więc po wystawie w Warszawie w 1927 roku udał się on z wizytą do słynnej szkoły wzornictwa – Bauhausu – jadąc tam przez Berlin. I tu doszło do spotkania Malewicza i Kubickiego. Jak to było?**

– Rzeźbiarz Alexander von Riesen i jego brat Hans zaprosili Malewicza do Berlina i zamówili mu hotel. Nieoczekiwany przypadek zupełnie jednak pokrzyżował plan. Malewicz dotarł wprawdzie do Berlina, ale – trzeba wiedzieć, że w Moskwie i St. Petersburgu wszystkie dworce to stacje czołowe – pociąg zatrzymał się najpierw na Ostkreuz, potem zawinął na Schlesischer Bahnhof – i tu Malewicz już spoglądał niepewnie. Na następnej stacji podirytowany już miał zamiar wysiąść, a gdy jeszcze przed Alexanderplatz wyłoniła się kolejna, gdzie pociąg zatrzymał się po raz czwarty, Malewicz wpadł w panikę. Wreszcie, zamiast dojechać do dworca ZOO, wysiadł pośpiesznie na Friedrichstraße. Tymczasem na dworcu ZOO oczekiwali go bracia von Riesen. On zaś wsiadł w taksówkę, a ponieważ mówił tylko po rosyjsku, taksówkarz zawiózł go hotelu, w którym najczęściej zatrzymywali się Rosjanie. Tu napotkał na gromadę uchodźców rosyjskich, uciekających przed rewolucją – on, piewca rewolucji, malarz rewolucyjny... – więc przypuszczalnie zrobiło mu się niezbyt przyjemnie. Tymczasem bracia von Riesen szukali go i w końcu znaleźli, a jako że wcześniej zarezerwowany przez nich pokój hotelowy okazał się być już zajęty, zabrali go do siebie. Tu trzeba wspomnieć, że ich ojciec przez długi czas był sekretarzem w ambasadzie w Moskwie, cała rodzina mówiła płynnie po rosyjsku, a synowie mieli rosyjską maturę. Zatem Malewicz mógł się z nimi bez trudu

– Jankel Adler hat einige Wochen im Atelier meiner Eltern gelebt und gearbeitet, bevor er ein eigenes Atelier im so genannten Scheunenviertel gefunden hatte. Das müsste Anfang 1919 gewesen sein. Und im Atelier meiner Eltern hat er unter anderem auch auf einer schweren Holzplatte auch das Bild *Meine Eltern* gemalt. Als er dann sein eigenes Atelier in der Nähe vom Alexanderplatz bezog, trug er dieses schwere Bild eigenhändig vom einige Kilometer entfernten Tiergarten bis dorthin. Diese ganze Strecke trug er es hoch gestemmt über seinem Kopf. Das ist die Geschichte dieses Bildes, soweit sie meine Familie berührt...

– **Kasimir Malewitsch, der Theoretiker des Suprematismus, der das berühmte *Schwarze Quadrat* (1913) gemalt hat und der russischen Avantgarde zugerechnet wird, war polnischer Abstammung. Sein Einreiseantrag für Polen wurde jedoch trotz der Unterstützung der *Blok-Künstler* von der polnischen Regierung abgelehnt. Nach seiner Ausstellung in Warschau 1927 begab er sich zu der berühmtesten Gestaltungsschule dieser Zeit – zum Bauhaus – via Berlin. Und da geschah es, dass Malewitsch und Kubicki aufeinander trafen. Wie ist es dazu gekommen?**

– Der Bildhauer Alexander von Riesen und sein Bruder Hans hatten Malewitsch nach Berlin eingeladen und ihm bereits ein Hotelzimmer besorgt. Aber die ganze Sache ging doch daneben. Malewitsch kam zwar in Berlin an, aber – nun muss man wissen, dass in Moskau und in St. Petersburg alle Bahnstationen Kopfbahnhöfe waren – hier kam er an und der Zug hielt zum ersten Mal in Berlin-Ostkreuz, dann ging es zum Schlesischen Bahnhof. Da wurde Malewitsch schon langsam nervös. An der nächsten Station wollte er eigentlich schon aussteigen, das war noch vor Alexanderplatz. Am Bahnhof Alexanderplatz hielt der Zug nun zum vierten Mal. Nun packte Malewitsch Panik und so stieg er am Bahnhof Friedrichstraße fluchtartig aus. Am Bahnhof Zoo warteten indes die Brüder von Riesen. Malewitsch bestieg ein Taxi, und da er nur russisch sprach, brachte ihn der Taxi-Chauffeur zu einem von Russen bevorzugtes Hotel.. Dort traf er nun auf Scharen von Flüchtlingen vor der russischen Revolution. Für ihn als Maler der russischen Revolution wurde es wahrscheinlich ziemlich ungemütlich... Die beiden von Riesens suchten ihn

porozumieć i czuł się tam bardzo dobrze. Hans von Riesen przyjaźnił się nadto z moim ojcem, a jego żona była uczennicą mojej matki. To niewiarygodne, wręcz zakrawa na szmirę, ale jednak prawdziwe. Tak oto ojciec nawiązał kontakt z Malewiczem i wielokrotnie z nim rozmawiał. Malewicz nie znał niemieckiego, a mój ojciec rosyjskiego, ale po polsku mogli swobodnie dyskutować nawet o zawiłych kwestiach teoretycznych...

**– Odbiło się to szerokim echem w publicznej debacie na łamach czasopisma *Grupy Artystów Postępowych (Gruppe Progressiver Künstler) z Kolonii, a bis z.***

– Tak, rodzice utrzymywali z nimi kontakt, gdyż ich postawa była równie anarchistyczna jak ich własna. Odnosnie ich politycznej orientacji trzeba tu wspomnieć, że moja matka wystąpiła w 1920 roku z KPD (Komunistycznej Partii Niemiec), gdyż uważała ją za zbyt prawicową... (sic!) Rodzice byli anarchistami w najszlachetniejszym i najlepszym tego słowa znaczeniu, więc cenili odpowiedni klimat artystyczny Kolonii, gdzie Franz Wilhelm Seiwert wydawał pismo, które do dziś jest interesujące, gdyż podejmowało wówczas ważne zagadnienia z dziejziny historii sztuki. Mój ojciec również wielokrotnie

und fanden ihn endlich in dem Hotel. Da inzwischen das vorgesehene Hotelzimmer besetzt waren, nahmen sie ihn mit nach Hause. Dazu muss man sagen, der Vater von Riesen war lange Zeit Botschaftssekretär in Moskau, die ganze Familie sprach fließend russisch und die Söhne hatten ihr Abitur in Moskau gemacht. Infolgedessen konnte Malewitsch sich ohne weiteres mitteilen und hat sich dort sehr wohl gefühlt.

Hans von Riesen war wiederum mit meinem Vater befreundet, und seine Frau war eine Schülerin meiner Mutter. Es sieht schon nach Schmierenszene aus, aber es ist wirklich so. Jedenfalls knüpfte mein Vater auf diesem Wege seine Kontakte zu Malewitsch und hat sich mehrfach mit ihm bei von Riesen unterhalten. Malewitsch konnte kein Deutsch und mein Vater konnte kein Russisch, aber auf polnisch konnten sich beide auch über komplizierte theoretische Probleme unterhalten...

**– Das hatte ja auch eine große Auswirkung in der öffentlichen Debatte, nämlich in der Zeitschrift *a bis* z der *Gruppe Progressiver Künstler* aus Köln.**

– Ja, meine Eltern haben sich nach Köln orientiert, zu den dortigen Progressiven, weil diese der gle-



publikował na jego łamach, odnosząc się między innymi do problemu sztuki proletariackiej i nawiązując do rozmów z Malewiczem.

**– Jeśli zaś chodzi o Lies i Hansa von Riesenów, to czy istnieją inne anegdoty z czasów, gdy Margarete Kubicka i inny znany przedstawiciel polskiej awangardy – Henryk Berlewi – w okresie powojennym kilkakrotnie ich odwiedzali?**

– Od razu po zakończeniu wojny Rosjanie w swojej strefie okupacyjnej wywierali nacisk, by władza skupiona była w rękach komunistów. W miarę możliwości obsadzali ich więc na stanowiskach burmistrzów. W pewnej miejscowości w Meklenburgii, gdzie działania wojenne rzuciły Lies von Riesen, burmistrzem został Melchior Hala. A on przyjaźnił się z moimi rodzicami na początku lat dwudziestych i tak jak oni podpisał obydwaj manifesty grupy *Die Kommune*, które należy uznać za wstępny akord do *Międzynarodowej Wystawy Artystów Rewolucyjnych* (1922) w Berlinie. Potem drogi ich się rozeszły, ale przyjaźń pozostała. Lies obiegała się u niego o posadę sekretarki, ale on odrzucił ją ze względu na pochodzenie. To ją oczywiście rozłościło, więc zagrała w ten sposób, że oznajmiła mu, iż już dawniej łączyły ją kontakty i bliska przyjaźń z rewolucjonistami. Zapytana o szczegóły, wspominała o Stanisławie i Margarete Kubickich. I zatrudniła ją od razu...

Ale wróćmy jeszcze do Berlewiego. Był on w Berlinie w latach dwudziestych, jednak moi rodzice raczej go wtedy nie poznali. Przyjaźń nie zawiązała się i w Kolonii w 1922 roku, gdy wraz z innymi artystami płynęli statkiem wycieczkowym po Renie. Natrafili na siebie z Kubicką dopiero w 1961 roku przy okazji *II Niemieckiego Salonu Jesiennego*. Jednak to moja matka, która utrzymywała stały kontakt z Lies i Hansem von Riesenami, utorowała Berlewiewu drogę do Bremy, gdzie tamci mieszkali od 1945 roku. Hans von Riesen miał mianowicie w posiadaniu walizkę, którą zostawił u niego Malewicz po swoim pobycie w Berlinie. Malewicz czuł już być może wtedy, że nie będzie mu wolno opuścić Związku Radzieckiego i zdecydował, że gdyby nie wrócił, to po upływie 30 lat von Riesenowie mogą swobodnie zadysponować jej zawartością. Były w niej „pamiątki” Malewicza, w których zanotował wiele ze swoich teoretycznych rozważań. Teksty po rosyjsku zawierały wiele wtrąceń napisanych drobniutkim

ichen anarchistischen Haltung anhängen wie sie selbst... Zur politischen Standortbestimmung sollte man erwähnen, dass meine Mutter 1920 aus der KPD austrat, weil diese ihr zu rechts war... (sic!) Die Eltern waren Anarchisten im besten und edelsten Sinne des Wortes, und schätzten das entsprechende Klima in Köln, wo Franz Wilhelm Seiwert die Zeitschrift *a bis* z herausgab, die bis heute interessant geblieben ist, weil in ihr wichtige kunsttheoretische Ansichten behandelt wurden. Auch mein Vater hat dort mehrfach veröffentlicht und sich unter anderem auch zum Thema *proletarische kunst* geäußert, wobei er auf seine Gespräche mit Malewitsch hingewiesen hat.

**– Dann, was die Lies und Hans von Riesen betrifft, gab es noch weitere Geschichten, und zwar haben Margarete Kubicka und ein anderer wichtiger Vertreter der Avantgarde – Henryk Berlewi – Hans von Riesen in der Nachkriegszeit mehrfach besucht?**

– Nach dem Kriegsende haben die Russen in ihrer Besatzungszone sofort darauf gedrungen, die Verwaltungen in kommunistischen Händen zu konzentrieren. So setzten sie möglichst Kommunisten als Bürgermeister ein. In einem Ort in Mecklenburg, in den es auch Lies von Riesen verschlagen hatte, wurde Melchior Hala Bürgermeister. Der war Anfang der 20er Jahre Freund meiner Eltern gewesen und unterzeichnete auch die beiden Manifeste der Gruppe *Die Kommune*, die als Vorspiel zur *Internationalen Ausstellung Revolutionärer Künstler* in Berlin von 1922 anzusehen ist. Später gingen ihre Wege auseinander, aber die Freundschaft blieb. Lies hatte sich als Sekretärin bei ihm beworben, aber er lehnte sie als Adlige ab. Darüber ärgerte sie sich natürlich und trumpfte damit auf, dass sie schon früher mit Revolutionären Kontakte und enge Freundschaften gepflegt habe. Gefragt nach Einzelheiten, erwähnte sie Stanisław und Margarete Kubicka, und wurde prompt angestellt.

Um aber auf Berlewi zu kommen – der war Anfang der Zwanziger in Berlin, aber die Eltern haben ihn damals wohl nicht kennen gelernt. Sie hatten sich auch 1922 nicht angefreundet, als sie mit vielen anderen Künstlern auf einem Vergnügungsdampfer in Köln den Rhein hoch und runter gefahren waren. Die Kubicka und er trafen erst 1961 anlässlich des *Zweiten Deutschen Herbstsalons* aufeinander. Meine Mutter, die den Kontakt zu Lies und Hans von

pismem w kilku kolorach. Kiedy Hans von Riesen przeszedł na emeryturę, zadał sobie trud rozszyfrowania i przetłumaczenia tego wszystkiego. Publikacja nastąpiła w wydawnictwie DuMont w 1962 r. Berlewi nie przepuścił okazji porozmawiania z Hanssem von Riesen o Malewiczu i pojechał do Bremy. Tak to ich drogi się przecięły.

– **Proszę opowiedzieć jeszcze o zetknięciu się Pańskiej matki z sowieckimi władzami okupacyjnymi.**

– Dzielnica Berlina Britz, gdzie mieszkali rodzice, została podczas zdobywania Berlina zajęta dosyć wcześniej. Kanał Teltow zatrzymał jednak Rosjan na kilka dni, a ponadto musieli oni przegrupować wojska. Szkołę na naszej ulicy zamieniono w rosyjski lazaret, a matka zgłosiła się na ochotnika do pomocy. Przydzielono ją do sali operacyjnej, ale już na trzeci dzień jej nie wpuszczono. Tymczasem zaciągnięto do służby panie z NSDAP. Z pewnością nie przyszły one dobrowolnie. Po południu dwóch żołnierzy sowieckich zaprowadziło matkę do komendanta. Ten, siedząc naprzeciw niej za biurkiem, rzekł: „Ty antyfaszysto, ty do rady szkolnej”, na co ona, nie mogąc się powstrzymać, odparła prowokująco: „Skąd pan może wiedzieć, że jestem antyfaszystką?”. Odpowiedź – po niemiecku, ale z prawdziwie rosyjskim akcentem – brzmiała: „My... wiemy wszystko...”. Widocznie komuniści przez cały rok prowadzili zapiski odnośnie wszystkich mieszkańców osiedla, które to dokumenty Rosjanie zdążyli przestudiować. I tak oto matka znalazła się w radzie szkolnej wbrew swej woli, gdyż do pracy administracyjnej odczuwała wstręt.

– **Wróćmy jednak do Pańskiego ojca i jego kontaktów w Kolonii. August Sander, nadworny fotograf Grupy Artystów Postępowych, wykonał znane zdjęcie Pańskiego ojca do swojej serii *Ludzie XX wieku* (1929 r.). Istnieje też i inna, zadziwiająco podobna fotografia, na której uwiecznieni są *Rewolucjoniści* – Erich Mühsam, Alois Lindner i Guido Kopp. Z tym także wiąże się pewna historia...**

– W istocie, Sander, jadąc do Berlina, otrzymał od Seiwerta listę wszystkich osób, które miał sfotografować. Figurowali na niej i moi rodzice, brakowało jednak Ericha Mühsama, który w 1919 roku odegrał istotną rolę w Monachijskiej Republice Rad. W tym czasie mieszkał on dwie przecznice dalej, a rodzice utrzymywali z nim bliski kontakt. Ojciec zaprowadził więc Sandera do Mühsama. Tak po-

Riesen stets aufrecht erhalten hatte, ebnete Berlewi damals den Weg nach Bremen, wo diese seit 1945 lebten.

Hans von Riesen besaß nämlich einen Koffer, den Malewitsch nach seinem Berlinbesuch zurückgelassen hatte. Malewitsch ahnte wohl damals schon, dass er die Sowjetunion nicht mehr würde verlassen dürfen und bestimmte, dass von Riesens über den Inhalt, wenn er nicht mehr zurückkommen würde, nach 30 Jahre frei verfügen dürften. In diesem Koffer waren Malewitsch' „Tagebücher“, in denen er viele theoretische Gedanken niedergelegt hatte. Die russischen Texte in winzigster Schrift hatten viele, mehrfarbige Einschübe. Alles war nur mühsam zu entziffern. Als von Riesen pensioniert worden war, unterzog er sich die Mühe, alles zu entziffern und zu übersetzen. Das wurde 1962 bei DuMont publiziert. Die Gelegenheit, sich mit von Riesen über Malewitsch zu unterhalten, ließ sich Berlewi nicht entgehen, und fuhr nach Bremen. So schließen sich die Netze.

– **Erzählen Sie bitte etwas noch über die Begegnung Ihrer Mutter mit der sowjetischen Besatzung.**

– Nun! Britz, wo meine Eltern wohnten, wurde bei der Eroberung von Berlin relativ früh besetzt. Der Teltow-Kanal aber hielt die Russen einige Tage auf; zudem mussten sie sich neu formieren.

Die Schule in unserer Straße wurde russisches Lazarett, und meine Mutter meldete sich freiwillig zur Hilfe. Sie wurde im OP-Saal eingesetzt, doch am dritten Tag wurde sie nicht mehr hereingelassen. Inzwischen hatten die Russen Damen der NSDAP rekrutiert. Freiwillig waren die sicher nicht gekommen.

Am Nachmittag wurde meine Mutter dann von zwei sowjetischen Soldaten zum Kommandanten gebracht. Dieser saß ihr gegenüber am Schreibtisch und sagte: „Du Antifaschist, – du Schulrat“. Mutter löckte wider den Stachel und sie provozierte: „Woher wollen Sie wissen, dass ich Antifaschist bin?“ Darauf kam die Antwort im breitesten russischen Deutsch: „Wir... wissen alles“. Offensichtlich hatten Kommunisten über die ganzen Jahre hin über die Bewohner der Siedlung Buch geführt, und die Russen hatten die Unterlagen inzwischen studiert. So wurde meine Mutter Schulrätin – gegen ihren Willen, denn Verwaltungsarbeit war ihr eigentlich zuwider.

– **Kommen wir zurück auf Ihren Vater und dessen Beziehungen nach Köln. Der berühmte**

wstała owa często reprodukowana fotografia Ericha Mühsama z obydwojoma anarchistycznymi rewolucjonistami, którzy akurat byli na miejscu. Sam Erich był człowiekiem łatwo zapadającym w pamięć, a ja często bawiłem się u jego stóp, gdy rozmawiali z ojcem. Mnie – malca chyba jednak bardziej wtedy przyciągały bawarskie knedle jego żony Kreszentii...

– Jest też i inny znany portret Pańskiego ojca, na wystawie prezentowany w powiększeniu jako *pars pro toto* nowoczesnych mediów. Stworzył go Raoul Hausmann, który zwał siebie „dadazofem”, wiele lat przyjaźnił się z Kubickim i sfotografował go na tle jego ostatniego obrazu *Święty i zwierzęta* (1932 r.). Kubicki zaś wykonał grafikę na stronę tytułową broszury „arcydadaiści” Johanna Baadera *Das Geheimnis des Z. R. III* (1924 r.). We wspomnianej fotografii Hausmannowi udało się nawiązać do znanego ekspresjonistycznego autoportretu Kubickiego z 1918 roku. Mniej znany jest natomiast fakt, że Hausmann i Kubicki wspólnie eksperymentowali z fotografią. Na czym te eksperymenty właściwie polegały?

– Wiele z tego, co opowiedziałem, zachowało się w mojej pamięci dzięki wspomnieniom matki czy ojca. Jednak to, co powiem teraz, pochodzi akurat z moich pierwszych naprawdę własnych wspomnień. Urodzony w 1926 roku, miałem między rokiem 1930 a 1933 pięć–osiem lat. W tym wieku już coś niecoś się pamięta. Raoula Hausmanna mam przed oczyma bardzo wyraźnie. Utrzymywał on w tym okresie bardzo bliski kontakt z ojcem. Planowali wtedy obaj wydanie tomu ze zdjęciami chwastów. Ojciec uwrażliwiał go na piękno wielu z nich oraz fakt, że człowiek zwalcza i tępi chwasty tylko z przyczyn utylitarnych. Potem jednak władzę przejęli naziści, Raoul musiał uciekać z Niemiec, więc książka nie została ukończona.

Dokładnie przypominam sobie jeszcze dwa zdjęcia – jedno przedstawia siedzisko krzesła z wikliny, a drugie, z efektami świetlnymi, kosz na papier, w którym umieszczono żarówkę. W wyniku obracania koszem powstawał optyczny efekt świetlny – zapis ruchu. Hausmann sfotografował też mojego ojca przed jednym z jego ostatnich obrazów. Ukazuje ono niemal konstruktywistyczną koncepcję obrazu – ujęcie podobne do tego, które mój ojciec zastosował w przypadku swojego wczesnego autoportretu. Gdyby spojrzeć na fotografię Hausmanna, to autoportret ojca z 1918 roku jest wręcz wierny naturze:

**Hoffotograf der Gruppe Progressiver Künstler, August Sander, hat das bekannte Foto Ihres Vaters für seine Reihe *Menschen des 20. Jahrhunderts* angefertigt. Es gibt jedoch auch ein erstaunlich ähnliches Foto, das *Revolutionäre* – Erich Mühsam, Alois Lindner und Guido Kopp – verewigt. Und damit ist auch noch eine Geschichte verbunden...**

– In der Tat. Sander kam nach Berlin mit einer Liste von Seiwert, wen alles er hier fotografieren sollte. Darauf standen auch meine Eltern, doch es fehlte Erich Mühsam, der 1919 in der Räterepublik in München eine bedeutende Rolle gespielt hatte. Jetzt wohnte er nur zwei Querstraßen weiter und die Eltern hatten einen engen Kontakt zu ihm. Deshalb brachte mein Vater Sander zu Erich Mühsam rüber. So entstand dieses häufig abgebildete Foto von Mühsam mit den beiden anarchistischen Revolutionären, die gerade anwesend waren. Erich selbst war ein einprägsamer Typ, zu dessen Füßen ich oft spielte, wenn er sich mit dem Vater unterhielt. Anziehender waren für mich Knirps allerdings wohl die bayerischen Knödel seiner Frau Kreszentia...

– **Es gibt auch ein anderes berühmtes Porträt von Ihrem Vater, das in der jetzigen Ausstellung als Vergrößerung, ja als *pars pro toto* der modernen Medien gezeigt wird. Es stammt von Raoul Hausmann, der sich „Dadasoph“ nannte, mit Kubicki jahrelang befreundet war und diesen vor seinem vorletzten Gemälde *Der Heilige und die Tiere* (1932) fotografiert hat. Kubicki seinerseits hat eine Graphik für das Titelbild von Johannes Baaders – dem „Oberdada“ – *Das Geheimnis des Z.R. III* (1924) gestaltet... In der Fotoaufnahme, von der wir sprachen, ist es Hausmann gelungen, Kubickis bekanntes expressionistisches Selbstporträt von 1918 nachzuzeichnen.**

**Eine weniger bekannte Sache ist, dass Hausmann und Kubicki gemeinsame Fotoexperimente durchgeführt haben. Worum handelte es sich eigentlich bei diesen Experimenten?**

– Vieles von dem, was ich erzählt habe, war über Erinnerungen der Mutter und des Vaters in meinem Gedächtnis immer wieder wach gehalten worden. Das Folgende jedoch entspringt meinen ersten wirklich eigenen Erinnerungen. 1926 geboren, war ich in den Jahren 1930–33 mithin 5–8 Jahre alt. Da hat man schon bleibende Erinnerungen, und Raoul Hausmann blieb mir gut vor Augen. Raoul pflegte zu dieser Zeit

ciemne oczy, czło, nasada włosów. W gruncie rzeczy autoportret ten nie jest abstrakcją, lecz „zwykłym realizmem”.

**– Istotnie, choć sama ten „awangardowy realizm” uczyłam się deszyfrować latami... A ostatni obraz Pańskiego ojca to niedokończona praca *Mojżesz przed krzewem gorejącym* (1933/1934), pod względem ikonograficznym bardzo tradycyjna, przypominająca nieco mozaiki z Rawenny. Po dojściu do władzy nazistów Kubicki wyjechał do Polski, a po wybuchu wojny przyłączył się do polskiego ruchu oporu. Ta działalność była oczywiście tajna. Może jednak wie Pan coś, co mógłby nam Pan opowiedzieć?**

– Ojciec był do momentu aresztowania w 1941 roku kurierem AK. Mimo że wyemigrował do Polski, pozostawał obywatelem Rzeszy (Reichsdeutscher), czyli nigdy nie przyjął obywatelstwa polskiego. Przeciwnie, każdorazowo przedłużał pozwolenie na pobyt. Powody nie są znane. Kiedy wybuchła wojna, w jakiś sposób udało mu się przedostać do Warszawy. Tam założył biuro i jako rzecznik praw obywatelskich pośredniczył w procesach prawnych pomiędzy urzędami niemieckimi a Polakami. Była to jednak raczej przykrywka do jego pobytu i tajnej działalności w Warszawie. Jako obywatelowi Rzeszy oczywiście łatwiej mu było jeździć do Berlina i wracać, a to miało dla AK niezwykle znaczenie. Był wprost idealnym kurierem. W Berlinie kontaktował się z ambasadą Mandżurii (Mandżuko). Tym kanałem przepływały informacje i duże sumy pieniędzy z Berlina do Warszawy i przez Szwecję do Londynu. Największa kwota, którą sam przewiózł, wynosiła około miliona marek...

**– Jak to możliwe?**

– Przewiózł je w walizce. Aby nie być zbyt szczegółowo kontrolowanym, zawsze posługiwał się pewnym trikiem. Jeździł pierwszą klasą i dosiadał się do oficerów. Trzymając w oku monokl, wdawał się z nimi rozmowę o pierwszej wojnie światowej i swoim wuju, który był wtedy generałem – i tak nawiązywał się kontakt. Podczas kontroli na granicy Generalnej Guberni sprawdzano wprawdzie jego dowód, ale nie przeszukiwano bagażu. Pułkownicy jadący w przedziale zapewniali: „Ten człowiek jest w porządku”. I tak oto mógł nieotwartą walizkę z pieniędzmi dowieźć do Warszawy.

**– Jeszcze wcześniej, po rewizjach SA w domu rodzinnym w 1933 roku, Pana rodzice chcą**

einen sehr engen Kontakt zum Vater. Beiden hatten damals vor, einen Fotoband über Unkräuter herauszugeben. Mein Vater machte Raoul auf die Schönheit vieler Unkräuter aufmerksam, und dass sie nur aus Nützlichkeitserwägungen verfolgt und ausgerottet wurden. Dann kamen 1933 die Nazis und Raoul musste aus Deutschland fliehen. So ist aus diesem Buch nie was geworden.

Sehr genau erinnere ich mich noch an zwei Fotos, das eine mit dem Gitter eines Strohstuhls, das andere mit Lichteffekten durch eine in einem Papierkorb gehaltene elektrische Birne. Durch Drehen des Papierkorbs entstand der optische Eindruck einer Bewegung des Lichts. Hausmann hat meinen Vater auch vor einem seiner letzten Bilder fotografiert. Dabei entsteht eine beinahe konstruktivistische Bildauffassung, wie sie mein Vater in einem frühen Selbstporträt verwandte. Sieht man das Foto von Hausmann, so entspricht Vaters Selbstporträt von 1918 geradezu der Natur: die Dunkelheit der Augen, die Stirn, der Ansatz der Haare. Im Grunde genommen ist das Selbstporträt gar nicht abstrakt, sondern „glatter Realismus”.

**– In der Tat, obwohl ich mir diesen „avantgardistischen Realismus” selbst jahrelang aneignen musste... Das letzte Bild Ihres Vaters ist das unvollendete Gemälde *Moses vor dem brennenden Dornbusch* (1933/1934), von der Ikonographie her sehr traditionell. Es erinnert noch ein wenig an die Mosaiken von Ravenna. In der Nazizeit wanderte Kubicki nach Polen aus und schloss sich zu Beginn des Zweiten Weltkrieges der polnischen Widerstandsbewegung an. Diese Tätigkeit war ja geheim, aber vielleicht wissen Sie etwas, was Sie uns erzählen können?**

– Vater war 1940 bis zu seiner Verhaftung 1941 Kurier der polnischen Heimarmee. Obwohl nach Polen emigriert, blieb er immer Reichsdeutscher, hat also nie die polnische Staatsangehörigkeit angenommen. Vielmehr ließ er seine Aufenthaltsgenehmigung immer wieder verlängern. Seine Gründe sind nicht bekannt. Als dann der Krieg ausgebrochen war, schaffte er es irgendwie, nach Warschau zu kommen. Dort gründete er ein Büro, von dem aus er vor den juristischen Prozessen als Ombudsmann zwischen Polen und deutschen Behörden vermittelte. Das Ganze war aber mehr ein Firmenschild, um sich in Warschau aufhalten und seiner geheimen Tätigkeit nachgehen zu können. Als Reichsdeutscher war es

**chronić dzieci przed represjami, zmuszeni byli do oficjalnego rozwodu (1937). Pańska matka jako nauczycielka została karnie przeniesiona do innego liceum, ale przeżyła wojnę, ratując wiele dzieł zaprzyjaźnionych artystów polskich i niemieckich. I nie tylko dzieł. Wspierała również rodzinę Pana ojca w Poznaniu, sama ryzykując jazdę tramwajem w przedziale dla Polaków, a i w Berlinie byli ludzie, którym pomagała...?**

– W pewnym sensie to nasza matka była głową rodziny. Zarabiała mianowicie potrzebne pieniądze. Ojciec miał ów niezwykły talent, że pieniędzy nie umiał ani zarobić, ani przy sobie utrzymać. Rodzina mogła przeżyć tylko dzięki jej sile przetrwania. Była nauczycielką, bardzo dobrą zresztą, jak mnie wielokrotnie zapewniali jej uczniowie, i miała stabilny status urzędnika państwowego. Kiedy żona Ericha Mühsama, Zenzl (Kreszentia), po zamordowaniu go przez faszystów długo chorowała, matka spędzała przy jej łóżku wiele godzin. Zenzl Mühsam zaleciła jej – jak dziś byśmy to określili – emigrację wewnętrzną, czyli rezygnację z wszelkiej politycznej działalności. I matka tak zrobiła, chcąc odchowić nas, dzieci. Miałem wtedy siedem lat, a kiedy ojciec doszł do władzy dopiero sześć, zaś moja siostra zaledwie czternaście. A kiedy ojciec w 1934 roku wyjechał do Polski, matka zdana była już tylko na siebie. W domu było też wiele dzieł sztuki i matka pilnowała ich jak oka w głowie. Oczywiście były to głównie prace ojca, dla niej świętość, ale również i dzieła Jankiela Adlera, Franza Wilhelma Seiwerta, Poli Lidenfeldówny i innych. Także Lindenfeldówna, podobnie jak Adler należąca do łódzkiej ekspresjonistycznej grupy *Jung Idysz*, przyjechała do Berlina w 1919 roku i utrzymywała bliski kontakt z moimi rodzicami, przejściowo mieszkając w ich pracowni. Wkrótce potem wyjechała do krewnych w Düsseldorfie, a w 1926 roku do Palestyny. Nieszczęśliwym trafem w 1939 roku odwiedziła swoją matkę w Polsce i tam zastała ją wojna. Nie mogła się już stamtąd wy dostać, została zamordowana w Majdanku. Mieliśmy dwie jej rzeźby. *Matkę z dzieckiem* naziści zniszczyli podczas rewizji, jednak mała rzeźba *Głowa kobiety* wojnę przetrwała. Był to gips. Poleciłem odlać ją z brązu, aby się zachowała.

**– A historia z workiem cukru? Na koniec potrzebujemy czegoś optymistycznego...**

– Ojciec do chwili aresztowania w 1941 roku wielokrotnie przyjeżdżał do Berlina jako kurier. U nas

für ihn natürlich leichter, nach Berlin fahren und wieder zurückkehren zu können, und das war für die polnische Widerstandsbewegung von außerordentlichem Nutzen. Er war der ideale Kurier. In Berlin kontaktierte er die mandschukoische Botschaft. Von da her liefen über Schweden nach London und aus Berlin nach Warschau Nachrichten und auch große Geldsummen. Die größte Summe, die er zu transportieren hatte, betrug etwa eine Million Reichsmark.

**– Wie war das möglich?**

– Das Geld hatte er in einem Koffer. Um nicht intensiv durchsucht zu werden, hatte er sich einen Trick ausgedacht. Er fuhr erster Klasse und setzte sich dort zu den Offizieren. Sein Monokel eingeklemmt, sprach er mit denen über den Ersten Weltkrieg und einen Onkel, der damals General gewesen war – und schon hatte er eine Verbindung hergestellt. Bei der Kontrolle zum Generalgouvernement wurde so nur sein Ausweis geprüft, nicht aber der Koffer durchsucht. Die Obristen in dem Abteil beschworen: „Der Mann ist in Ordnung“. Und so konnte er seinen Koffer mit dem Geld ungeöffnet nach Warschau bringen.

**– Noch davor, als das Haus Ihrer Eltern 1933 von der SA durchsucht worden ist, fühlten sich beide gezwungen, sich offiziell scheiden zu lassen (1937), um die Kinder vor den Repressalien zu schützen. Margarete Kubicka wurde strafversetzt und hat den Krieg überlebt, hat auch sehr viele Werke ihrer deutschen und polnischen Künstlerfreunde retten können. Aber es waren nicht nur Kunstwerke. Sie hat auch die Familie Ihres Vaters in Posen unterstützt, dort die Straßenbahnfahrten im Abteil für Polen riskiert, und es gab auch Menschen in Berlin, denen sie geholfen hat...?**

– In gewisser Weise war unsere Mutter das Haupt der Familie. Sie verdiente nämlich das nötige Geld. Mein Vater hatte eine wunderbare Art gehabt, Geld nicht verdienen und nicht festhalten zu können. Die Familie konnte nur mit Mutters Tatkraft überleben. Sie war Lehrerin, offenbar eine sehr gute, wie ich von ihren Schülern erfahren habe, und sie war auch verbeamtet worden. Als Zenzl (Kreszentia) Mühsam nach der Ermordung von Erich völlig daniederlag, hat sie an ihrem Krankenbett Stunden verbracht. Zenzl empfahl ihr – so würden wir heute sagen – in die innere Emigration zu gehen. Und das hat sie auch gemacht, um uns Kinder durchzubrin-



na osiedlu byli w czasie wojny robotnicy przymusowi z Polski. Przychodzili regularnie, gdy ojciec przyjeżdżał, i słuchali wiadomości z kraju. Stali tak, obracając czapki w ręce i nie można ich było skłonić, by usiedli, a on opowiadał o aktualnym rozwoju sytuacji w ruchu oporu i w ogóle o tym, co się dzieje w Polsce. Był dla nich swego rodzaju pępowiną łączącą ich z krajem. Matka przynosiła im raz po raz jedzenie, co oczywiście było surowo zabronione. Kiedy w 1945 roku mogli powrócić do ojczyzny, pożegnali się grzecznie z matką, w prezencie przynosząc worek cukru. Nie wiadomo, skąd go wzięli, ale myśmy odtąd nie musieli przejmować się czarnym rynkiem. A jako że cukru nie zużywaliśmy dużo, ów worek wystarczył nam do roku 1949. Czy to tę historię miała pani na myśli?

**– Tak, gdyż to właśnie ona – wspinała i optymistyczna – symbolizuje cud nie tylko artystycznej współpracy polsko-niemieckiej...**

gen. Ich war damals sieben Jahre – als die Nazis kamen sogar erst sechs – und meine Schwester war gerade mal vierzehn. Als Vater 1934 nach Polen ging, lastete alles auf ihr. Bei uns zu Hause waren auch sehr viele Kunstwerke, und die Mutter hat wie ein Teufel aufgepasst, dass denen nichts passierte. Das waren natürlich in erster Linie die Werke meines Vaters, die ihr hoch und heilig waren, aber darunter waren auch Werke von Jankel Adler und Franz Wilhelm Seiwert sowie von Pola Lindenfeld und anderen. Pola Lindenfeld, die ebenso wie Adler der Gruppe *Jung Iddisch* aus Łódź angehörte, war 1919 nach Berlin gekommen und wohnte vorübergehend im Atelier meiner Eltern. Dann aber ging sie sehr bald nach Düsseldorf zu ihren Verwandten und 1926 nach Palästina. Unglücklicherweise hat sie 1939 ihre Mutter in Polen besucht und wurde dort vom Krieg überrascht. Sie kam nicht mehr raus und ist dann in



Nachgestellte Uffafssäule: Die Ausstellung „My Berlinczycy! Wir Berliner“ über die Geschichte der polnischen Minderheit in Berlin will die Besucher durch verschiedene Medien, Musik und selbst mit Gerüchen neugierig machen. Foto: Ulf Winkle

## Geschichte der „Berlinczycy“



Majdanek umgebracht. Wir besaßen zwei ihrer Plastiken *Mutter mit Kind* haben die Nazis bei einer Haussuchung zerstört, aber ein kleiner *Frauenkopf* hat überdauert. Der war aus Gips. Ich habe ihn in Bronze gießen lassen, damit er erhalten bleibt.

– **Und die Zuckersackgeschichte...? Zum Ausklang brauchen wir etwas Optimistisches...**

– Vater kam bis zu seiner Verhaftung 1941 mehrfach als Kurier nach Berlin. Bei uns in der Siedlung gab es im Krieg auch Zwangsarbeiter aus Polen. Diese kamen regelmäßig, wenn mein Vater da war, und hörten sich an, was er aus Polen zu berichten hatte. Sie standen, drehten ihre Mützen und waren nicht dazu zu bringen, sich hinzusetzen. Vater berichtete dann über die neuesten Entwicklungen in der Widerstandsbewegung, und was sich in Polen so tat. Er war sozusagen für sie eine Nabelschnur zur Heimat. Meine Mutter ließ ihnen immer wieder Lebensmittel zukommen, was natürlich strengstens verboten war. Als die Polen dann 1945 in ihre Heimat zurückkehren konnten, haben sie sich auch artig von der Mutter verabschiedet und erschienen mit einem Sack Zucker als Geschenk. Wer weiß, woher die das hatten, jedenfalls brauchten wir uns um den Schwarzmarkt nicht zu kümmern. Zucker hatten wir genug, und da wir nicht viel verbraucht haben, hat der Sack Zucker bis 1949 ausgereicht. Ist das die Geschichte, die Sie meinten?

– **Ja, diese meinte ich, weil gerade sie – so wunderbar, so optimistisch – eben sinnbildlich für die nicht nur künstlerischen Wunder der deutsch-polnischen Zusammenarbeit steht...**

Tekst ten jest skróconą wersją wywiadu dr Lidii Głuchowskiej z prof. S. Karolem Kubickim, przeprowadzonego 17 kwietnia 2009 roku w Muzeum Miejskim w Berlinie w ramach programu uzupełniającego do sceny *Awangarda* (koncepcja i aranżacja Lidia Głuchowska) na wystawie Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie – *My, berlińczycy. Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa* (Stadtmuseum / Ephraim Palais, 20.03-14.06.2009), o której pisaliśmy w poprzednich numerach „Pro Libris” – nr 4 (25) 2008 i 1 (26) 2009. Za pomoc przy organizacji imprezy szczególne podziękowania przekazujemy Polsko-Niemieckiemu Towarzystwu Literackiemu WIR oraz Pani Christine Friedrich, Museumsdienste G.m.b.H / Stadtmuseum Berlin. Tłumaczenie i adaptacja tekstu: Dorota Cygan i Lidia Głuchowska. Autoryzacja wersji niemieckiej: S. Karol Kubicki, 20.09.2009.

Dieser Text ist eine Kurzfassung eines Interviews vom 17. April 2009 im Stadtmuseum Berlin im Rahmen einer Veranstaltung zur Szene *Avantgarde*, konzipiert und gestaltet von Lidia Głuchowska im Rahmen der Ausstellung des Zentrums für Historische Forschung der Polnischen Akademie der Wissenschaften in Berlin – *Wir Berliner. Geschichte einer deutsch-polnischen Nachbarschaft* (Stadtmuseum / Ephraim Palais, 20.03.-14.06.2009). Der Ausstellung wurden Beiträge in den Heften von Pro Libris (Nr. 4 (25) 2008 und 1 (26) 2009) gewidmet. Ein besonderer Dank für die Hilfe bei der Vorbereitung dieser Veranstaltung gilt dem Verein zur Förderung der Deutsch-Polnischen Literatur WIR und Frau Christine Friedrich, Museumsdienste G.m.b.H., Stadtmuseum Berlin.



1

1 Margarete Kubicka, *L'amour*, akwarela, ok. 1924, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *L'amour*, Aquarell, ca. 1924, Privatsammlung Neustadt



- 1 Stanisław Kubicki, *Gdańsk*, olej na płótnie, 1924, Museum Ludwig, Kolonia  
Stanisław Kubicki, *Danzig*, Öl auf Leinwand, 1924, Museum Ludwig, Köln
- 2 Stanisław Kubicki, *Wieża kościelna na tle wschodzącego słońca VII*, olej na płótnie, 1919, Berlinische Galerie, Landesmuseum für Moderne Kunst, Photographie und Architektur  
Stanisław Kubicki, *Kirchturm vor aufgehender Sonne VII*, Öl auf Leinwand, 1919, Berlinische Galerie, Landesmuseum für Moderne Kunst, Photographie und Architektur
- 3 Stanisław Kubicki, *Rodzina*, akwarela, 1922, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Die Familie*, Aquarell, 1922, Privatsammlung Neustadt
- 4 Stanisław Kubicki, *Ekstaza III*, olej na kartonie, 1919, Berlinische Galerie, Landesmuseum für Moderne Kunst, Photographie und Architektur  
Stanisław Kubicki, *Ekstase III*, Öl auf Pappe, 1919, Berlinische Galerie, Landesmuseum für Moderne Kunst, Photographie und Architektur

2



3



4



1



2





4



5

- 1 Stanisław Kubicki, *Zimrodek i tukan zielonodzioby*, pastel, 1932, zb. prywatne Berlin  
Stanisław Kubicki, *Jahrvogel und Grünschnabeltukan*, Pastell, 1932, Privatsammlung Berlin
- 2 Stanisław Kubicki, *Lądujący bocian*, olej na płótnie, ok. 1931, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Aufsetzender Storch*, Öl auf Leinwand, ca. 1931, Privatsammlung Neustadt
- 3 Stanisław Kubicki, *Leżąca antylopa Gnu V*, pastel, 1930, zb. prywatne Poznań  
Stanisław Kubicki, *Liegendes Gnu V*, Pastell, 1930, Privatsammlung Poznań
- 4 Stanisław Kubicki, *Jeleń z jelonkiem II*, akwarela, 1930, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Reh mit Jungem II*, Aquarell, 1930, Privatsammlung Neustadt
- 5 Stanisław Kubicki, *Odpoczywająca antylopa Gayal III*, olej na płótnie, 1930, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Ruhender Gayal III*, Öl auf Leinwand, 1930, Privatsammlung Neustadt

1



2



3

- 1 Stanisław Kubicki, *Mojżesz przed krzewem gorejącym I*, akwarela, 1933, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Moses vor dem brennenden Dornbusch I*, Aquarell, 1933, Privatsammlung Neustadt
  - 2 Stanisław Kubicki, *Autoportrét VII*, olej na płótnie, 1924  
Stanisław Kubicki, *Selbstporträt VII*, Öl auf Leinwand, 1924
  - 3 Stanisław Kubicki, *Kania z młodym III*, akwarela, 1931, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Hirschkuh mit Jungem III*, Aquarell, 1931, Privatsammlung Neustadt
  - 4 Stanisław Kubicki, *Mojżesz przed krzewem gorejącym III*, olej na płótnie, 1933  
Stanisław Kubicki, *Moses vor dem brennenden Dornbusch III*, Öl auf Leinwand, 1933
- 2, 4 Wojewódzka Biblioteka Publiczna Poznań/Depozyt: Muzeum Narodowe Poznań  
Wojewódzka Biblioteka Publiczna Poznań/Dauerleihgabe in Muzeum Narodowe Poznań





1



2



3





4



5



6

- 
- 1 Stanisław Kubicki, *Stworzenie roślin*, olej na płótnie, ok. 1926, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Erschaffung der Pflanzen*, Öl auf Leinwand, ca. 1926, Privatsammlung Neustadt
  - 2 Stanisław Kubicki, *Oset II*, akwarela, ok. 1930, zb. prywatne Berlin  
Stanisław Kubicki, *Distel II*, Aquarell, ca. 1930, Privatsammlung Berlin
  - 3 Stanisław Kubicki, *Buk III*, z książki: *Woda*, akwarela, 1932, zb. prywatne Berlin  
Stanisław Kubicki, *Buche III*, aus dem Buch: *Das Wasser*, Aquarell, 1932, Privatsammlung Berlin
  - 4 Stanisław Kubicki, *Kaktus V*, akwarela, 1930, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Kaktus V*, Aquarell, 1930, Privatsammlung Neustadt
  - 5 Stanisław Kubicki, *Kaktus III*, akwarela, 1930, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Kaktus V*, Aquarell, 1930, Privatsammlung Neustadt
  - 6 Stanisław Kubicki, *Azalie III*, akwarela, 1930, zb. prywatne Berlin  
Stanisław Kubicki, *Azalee III*, Aquarell, 1930, Privatsammlung Berlin

1



2



- 1 Margarete Kubicka, *Śmierć bohaterów: VIII. Danton*, akwarela, 1927/1928, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *Tode: VIII. Danton*, Aquarell, 1927/1928, Privatsammlung Neustadt
- 2 Margarete Kubicka, *Śmierć bohaterów: III. Archimedes*, akwarela, 1927/1928, zb. prywatne Berlin  
Margarete Kubicka, *Tode: III. Archimedes*, Aquarell, 1927/1928, Privatsammlung Berlin
- 3 Margarete Kubicka, *Śmierć bohaterów: V. Seneca*, akwarela, 1927/1928, zb. prywatne Berlin  
Margarete Kubicka, *Tode: V. Seneca*, Aquarell, 1927/1928, Privatsammlung Berlin
- 4 Margarete Kubicka, *Śmierć bohaterów: I. Absalom*, akwarela, 1927/1928, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *Tode: I. Absalom*, Aquarell, 1927/1928, Privatsammlung Neustadt
- 5 Margarete Kubicka, *Śmierć bohaterów: IV. Spartakus*, akwarela, 1927/1928, zb. prywatne Berlin  
Margarete Kubicka, *Tode: IV. Spartakus*, Aquarell, 1927/1928, Privatsammlung Berlin
- 6 Margarete Kubicka, *Śmierć bohaterów: II. Sokrates*, akwarela, 1927/1928, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *Tode: II. Sokrates*, Aquarell, 1927/1928, Privatsammlung Neustadt

3



4



6



5



1



2



3



4





- 1 Margarete Kubicka, *Cykl życia: II. Zbliżenie*, akwarela, 1925, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *Lebenszyklus: II. Die Geschlechter erkennen einander*, Aquarell, 1925, Privatsammlung Neustadt
- 2 Margarete Kubicka, *Cykl życia: I. Indywidualizm rozpoznaje*, akwarela, 1925, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *Lebenszyklus: I. Das Individuum erkennt*, Aquarell, 1925, Privatsammlung Neustadt
- 3 Margarete Kubicka, *Cykl życia III: Spotkanie*, akwarela, 1925, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *Lebenszyklus: III. Die Geschlechter finden einander*, Aquarell, 1925, Privatsammlung Neustadt
- 4 Margarete Kubicka, *Cykl życia: V. Dziecko odkrywa świadomość*, akwarela, 1925, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *Lebenszyklus: V. Das Kind findet ein Bewußtsein*, Aquarell, 1925, Privatsammlung Neustadt
- 5 Margarete Kubicka, *Cykl życia: IV. Narodziny*, akwarela, 1925, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *Lebenszyklus: IV. Ein Kind wird geboren*, Aquarell, 1925, Privatsammlung Neustadt

1



2

- 1 Stanisław Kubicki, *Gwiazdy*, z książki: *Woda*, akwarela/ tempera, 1932, zb. prywatne Berlin  
Stanisław Kubicki, *Sterne*, aus dem Buch: *Das Wasser*, Aquarell/ Tempera, 1932, Privatsammlung Berlin
- 2 Stanisław Kubicki, *Pąki*, z książki: *Woda*, akwarela, 1927, zb. prywatne Berlin  
Stanisław Kubicki, *Blüten*, aus dem Buch: *Das Wasser*, Aquarell, 1932, Privatsammlung Berlin
- 3 Stanisław Kubicki, *Światło I*, pastel, 1925, zb. prywatne Neustadt  
Stanisław Kubicki, *Licht I*, Pastell, 1925, Privatsammlung Neustadt
- 4 Stanisław Kubicki, *Światło III*, pastel, 1925, zb. prywatne Berlin  
Stanisław Kubicki, *Licht III*, pastel, 1925, Privatsammlung Berlin
- 5 Stanisław Kubicki, *Światło II*, pastel, 1925, zb. prywatne Berlin  
Stanisław Kubicki, *Licht II*, Pastell, 1925, Privatsammlung Berlin



3



4



5



1



2



1 Stanislaw Kubicki, *Algi II*, pastel, 1927, zb. prywatne Berlin  
Stanislaw Kubicki, *Algen II*, Pastell, 1927, Privatsammlung Berlin

2 Margarete Kubicka, *Sporen*, akwarela, ok. 1923, zb. prywatne Neustadt  
Margarete Kubicka, *Zarodniki*, Aquarell, ca. 1923, Privatsammlung Neustadt

## Fotografie w tekście

- 1 Profesor S. Karol Kubicki, syn polsko-niemieckiej pary artystów, Margarete i Stanisława Kubickich, współzałożyciel i pierwszy immatrikulowany student Wolnego Uniwersytetu w Berlinie. Fotografia z Archiwum Wolnego Uniwersytetu, 1948 r. Fragment instalacji ze sceny *Communitas* na wystawie *My, berlińczycy. Historia polsko-niemieckiego sąsiedztwa* Centrum Badań Historycznych Polskiej Akademii Nauk w Berlinie w Stadtmuseum / Ephraim Palais, Berlin, 20.03-14.06.2009. Koncepcja merytoryczna sceny: Jarosław Suchoples, realizacja graficzna: Renata Słomczyńska / ptasia 30, Poznań. Fotografia: Lidia Głuchowska

Profesor S. Karol Kubicki, ur. w 1926 r., zawodowo zajmował się medycyną, jednak studiował również archeologię i do dziś żywo interesuje się historią sztuki. Dzięki jego zaangażowaniu możliwa była realizacja licznych wystaw prac nie tylko jego rodziców, lecz również ich przyjaciół artystów, przede wszystkim z poznańskiej grupy *Bunt*, łódzkiej *Jung Idysz*, berlińskiej *Die Kommune* i kolońskiej *Grupy Artystów Postępowych* w Polsce, Europie i Ameryce. Zasoby swego archiwum udostępnił m.in. do publikacji reprintów najistotniejszych czasopism awangardy, takich choćby jak „Die Aktion” czy „a bis z”.

Professor S. Karol Kubicki, Sohn des deutsch-polnischen Künstlerpaares, Margarete und Stanislaw Kubicki, Mitbegründer und erster immatrikulierter Student der Freien Universität zu Berlin. Fotografie: Archiv der FU, 1948.

Fragment einer Installation in der Sektion *Communitas* im Rahmen der Ausstellung *Wir Berliner. Geschichte einer deutsch-polnischen Nachbarschaft* des Zentrums für Historische Forschung der Polnischen Akademie der Wissenschaften im Stadtmuseum / Ephraim Palais, Berlin, 20.03-14.06.2009. Wissenschaftliche Konzeption: Jarosław Suchoples, Gestaltung: Renata Słomczyńska / ptasia 30, Poznań. Fotografie: Lidia Głuchowska

Profesor S. Karol Kubicki, geboren 1926, befasste sich beruflich mit Medizin, doch er studierte auch Archeologie und bis heute interessiert sich rege für die Kunstgeschichte. Sein Engagement ermöglichte die Vorbereitung zahlreicher Ausstellungen von Werben nicht nur seiner Eltern, sondern auch ihrer Künstlerfreunde, vor allem aus der Gruppe *Bunt* (Revolte) aus Posen, *Jung Idysz* aus Łódź, *Die Kommune* aus Berlin und der *Gruppe Progressiver Künstler* aus Köln in Polen, Europa und Amerika. Die Bestände seines Archivs stellte er u.a. zur Veröffentlichung von Nachdrücken solcher wichtigen Avantgardezeitschriften wie „Die Aktion” oder „a bis z”.

- 2 Margarete Kubicka, S. Karol Kubicki, Sina Walden i Henryk Berlewi ze swą matką Hel Enri. Zdjęcie z otwarcia *Drugiego Niemieckiego Salonu Jesiennego*, wystawy *Der Sturm – Herwarth Walden i Europejska Awangarda w Berlinie 1912-1932* w Nationalgalerie-Orangerie w pałacu Charlottenburg w 1961 r., zdjęcie: zbiory prywatne, Berlin.

Margarete Kubicka, S. Karol Kubicki, Sina Walden und Henryk Berlewi mit seiner Mutter Hel Enri.

Fotografie aus der Eröffnung des *Zweiten Deutschen Herbstsalons*, der Ausstellung *Der Sturm – Herwarth Walden und die Europäische Avantgarde Berlin 1912-1932* in der Nationalgalerie-Orangerie, Schloss Charlottenburg 1961, Fotografie: Privatsammlung Berlin.

- 3 Autorka sekcji *Awangarda* na wystawie *My, berlińczycy*, Lidia Głuchowska, przed słupem ogłoszeniowym z pracami m.in. artystów poznańskiej ekspresjonistycznej grupy *Bunt* i łódzkiej *Jung Idysz*. W tle obrazy *Błogosławieństwo Baal Szem Towa* (ok. 1919) Jankiela Adlera oraz *Portret Żyda czytającego gazetę* Artura Nachta-Samborskiego (ok. 1921-1925). Wycinek z Märkische Oderzeitung, 19.03.2009, s. 21, Fotografia: Uli Winkler.

Die Autorin der Sektion *Avantgarde* im Rahmen der Schau *Wir Berliner*, Lidia Głuchowska, vor der Litfasssäule mit Werken der Künstler der Expressionistengruppe *Bunt* aus Posen und der Gruppe *Jung Idysz* aus Łódź. Im Hintergrund befinden sich die Gemälde *Die Segnung von Baal Schem Tow* (ca. 1919) Jankel Adlers und *Porträt eines Juden beim Lesen einer Zeitschrift* (ca. 1921-25) von Artur Nacht-Samborski. Ausschnitt aus: Märkische Oderzeitung, 19.03.2009, S. 21, Fotografie: Uli Winkler.

- 4 Fragment ekspozycji w sekcji *Awangarda* na wystawie *My, berlińczycy* (Stadtmuseum Berlin, 20.03-14.06.2009), koncepcja i aranżacja Lidia Głuchowska.

Od lewej fotogramy zniszczonej przez SA pracy Poli Lindenfeldówny *Matka i dziecko* (ok. 1922 r.), *Głowa kobiety* jej autorstwa (rzeźba i fotografia), a także portret Stanisława Kubickiego autorstwa „dadazofa”, Raoula Hausmanna. W pracy tej Hausmann za pomocą efektów światłocieniowych nawiązał do ekspresjonistycznego autoportretu Kubickiego z 1918 r. Fotografia: Marek Lalko

Fragment der Sektion *Avantgarde* in der Ausstellung *Wir Berliner*, Konzeption und Gestaltung Lidia Głuchowska.

Von links vergrößerte Fotografien einer von der SA zerstörten Plastik Pola Lindenfelds *Mutter und Kind* (ca. 1922), ihr *Frauenkopf* (Plastik und Fotografie) sowie das Porträt Stanislaw Kubickis, aufgenommen von Raoul Hausmann („Dadasoph”). In diesem Werk ist es Hausmann gelungen das expressionistische Selbstporträt Kubickis von 1918 nachzuzeichnen. Fotografie: Marek Lalko

## Drgania

Małgorzacie Prusińskiej

Większość gwiazd, które widzimy, dawno nie żyje;  
nie ma tam nic poza tuświatłem i tudźwękiem.  
Ale tu mamy ważniejsze sprawy, przedmioty,  
czasem siebie. Rozwiązań jest dużo, jak dużo

jest muzyki i słów w morzu – wyćwiczonych słów.  
O ile da się wyćwiczyc drganie przestrzeni  
pomiędzy ciałami. Tu światło i dźwięk tworzą  
*pięćdziesiąt alternatywnych zakończeń*. Cięcie.

*Incognitor*: tymczasem spokój. Ze słonych mięs  
najsmaczniejsze masz pod oczami i nieznacznie  
niżej, gdzie kończy się język, tuż przed granicą  
drgania. Dalej jest tylko dźwięk, jest światło. Ściana.

Za ścianą nie ma nic, choć mogłoby być wszystko.  
Tu nie ma już patrzenia, jest skrzypienie drewna.

pociąg Gdańsk – Bydgoszcz, 2.06.2009



### Helmut Newton wychodzi na łowy

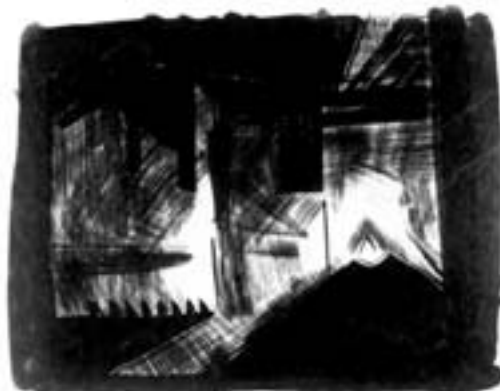
Helmut Newton wstaje z łóżka, zaparza kawę,  
dolewa mleka, siada przy stole z gazetą.  
W tle stoi fortepian – wyłącznie dla ozdoby.  
Wszystko jest czarno-białe, jak na fotografiach.

Za oknem inaczej, tam wszystko jest w kolorze  
jaskrawym, matowym. Idealna barwa tła,  
choć tło z głównym planem czasem zmienia miejsce.  
Pozostaje rys sylwetki z gładką elipsą

u zwieńczenia pleców. Kubek po kawie leży,  
jakby chciał odpocząć. Helmut Newton wychodzi  
z aparatem w rękę, będzie strzelał do kobiet  
czarno-białe zdjęcia, kilka dni później przejdzie

zawał serca. Daleko nie odejdzie. Sesje  
zawsze robił najdalej dwie mile od domu.

Kostrzyn, 1.08.2009



### Dźwięk zamka w namiocie

Szósta: dźwięk zamka w namiocie, chłód, pierwsza fajka.  
Obóz śpi, obóz nie żyje. Kurz leży jeszcze  
na ziemi. Powietrze stoi ciężko na miejscu.  
Nawet drzewa są pozbawione ruchu. Cisza.

Siódma: sąsiedni obóz powoli ożywa,  
więc wódka, więc whisky, więc chiński ciepły kubek.  
Później papierzak. Po drodze laski, zielone  
figi na aksamitnej skórze, czyste piękno

dotyku, rozmowy o sztuce. Kilka pustych  
butelek i pierwsze szepty dźwięków, masowa  
emigracja tłumów do kranów, pod scenę. Las  
stoi w miejscu już dwanaście godzin, las szumi.

Noc: krzyki, książka, samotność, obóz nie żyje.  
Już ostatnia fajka, chłód, dźwięk zamka w namiocie.

Kostrzyn, 2.08.2009



## Brakujące centymetry

*Karol, zapomnij o wrywaniu lasek  
na sto dziewięćdziesiąt trzy centymetry.*

Paulina Urbanowska

Nie mam stu dziewięćdziesięciu trzech centymetrów,  
jak mi napisali w dowodzie osobistym.  
Nie używam perfum, chociaż wiem, że są ważne  
dla kobiet jak dla mężczyzn stringi. Albo prawie

tak ważne. Kot zżera świeżo przyniesiony kwiat,  
później wychodzi. Obok łóżka satynowa  
koszula nocna, bardotka, w łóżku cenzura.  
Dynamika namiętności jest dramatyczna.

Teraz idź na fajkę, weź do ręki i w usta,  
na te chwile zostanie wgnieciona poduszka,  
nalej kotu trzy brakujące centymetry  
wody, przekop kuwetę, wyłącz wszystkie światła.

Kot leży w przedpokoju, pilnuje wszystkich drzwi,  
nabiera łyk wody, mruży oczy i mruczy.

Gorzów Wlkp., 15.08.2009



# KRAJOBRAZY LUBUSKIE

Magdalena Poradzisz-Cincio

## **Krosno Odrzańskie – szkice z dziejów i kultury miasta**

Krosno Odrzańskie może się pochwalić bogatą, a momentami nawet burzliwą, historią. Tu bowiem piastowskie korzenie splotły się z trwającym kilkaset lat panowaniem margrabiów brandenburskich i królów pruskich. Położone u ujścia Bobru do Odry

Magdalena Poradzisz-Cincio

## **Krossen an der Oder – Skizzen aus der Geschichte und Kultur der Stadt**

Krossen an der Oder kann sich seiner reichhaltigen, mitunter sogar stürmerischen Geschichte rühmen. Denn hier flochten die Wurzeln der Piasten mit der mehrere Jahrhunderte dauernden Herrschaft der Brandenburger Markgrafen und preußischen Könige



miasto stanowiło ważny strategicznie punkt. We wczesnym średniowieczu Krosno odegrało istotną rolę w obronie zachodniej granicy Polski. Miasto było jedną z ulubionych siedzib księcia Henryka Brodatego, od którego otrzymało swe prawa miejskie. Od 1482 roku Krosno Odrzańskie przeszło pod panowanie margrabiów brandenburskich. W krośnieńskim zamku ostatnie lata życia spędzały wdowy po elektorach – począwszy od żony Jana z Kostrzyna, księżnej Katarzyny, przez księżnę Elżbietę żonę Jana Jerzego, aż po księżnę Elżbietę Karolinę małżonkę elektora Jerzego Wilhelma. To właśnie dzięki ich inicjatywom zamek poddano licznym przebudowom, a zamkową powozownię przekształcono na kaplicę kalwińską. Wdowy dbały również o całe miasto, liczne były ich fundacje dobroczynne. Księżna Katarzyna założyła przytułek dla najbiedniejszych, hojnie tożyła również na krośnieńską farę. Gruntownie wykształcone księżne przyczyniały się niewątpliwie do rozwoju życia intelektualnego miasta. Już od 2 poł. XVII wieku działały w Krośnie drukarnie, a najsłynniejsza z nich należała do Christiana Müllera. W oficynie tej drukowane były liczne kazania pogrzebowe.

Kolejne wojny nie oszczędzały miasta, ponadto Krosno nawiedzały powodzie i liczne pożary, które trawiły niemal doszczętnie miejską zabudowę. Najdotkliwsze pożary miały miejsce w 1631 oraz 1708 roku. O ich skutkach i skali dowiedzieć się można z licznych kronik i opracowań.

### Kronikarze i historycy o Krośnie...

Dzieje nadodrzańskiego Krosna fascynowały i wciąż fascynują badaczy. Z XVIII wieku pochodzi cenne opracowanie dotyczące historii kościoła



Krosno Odrzańskie (Krossen an der Oder)

zusammen. Die an der Mündung Bobers zur Oder gelegene Stadt war ein wichtiger strategischer Standort. Im frühen Mittelalter spielte Krossen eine nicht unwesentliche Rolle bei der Verteidigung der polnischen Westgrenze. Die Stadt war einer der Lieblingsresidenzen von Heinrich dem Bärtigen, von dem sie auch die Stadtrechte erhielt. Nach 1482 ging Krossen an der Oder unter die Herrschaft der Brandenburger Markgrafen über. Im hiesigen Schloss verbrachten die Witwen nach den Kurfürsten ihre letzten Lebensjahre: zuerst die Frau von Johann von Küstrin, dann Fürstin Katharina, Fürstin Elisabeth – die Frau von Johann Georg, und endlich Elisabeth Charlotte, die Ehefrau des Kurfürsten Georg Wilhelm. Es waren diese Frauen, die das Schloss mehrmals umbauen ließen und den Kutschstall in eine kalvinistische Kapelle verwandeln. Die Witwen trugen auch für die ganze Stadt Sorge, sie gründeten zahlreiche Wohlfahrtsstiftungen. Fürstin Katharina begründete eine Herberge für die Ärmsten und zahlte großzügige Spenden an die Pfarrkirche im Krossen. Die gründlich ausgebildet den Fürstinnen trugen auch bestimmt zur Entwicklung des intellektuellen Lebens in der Stadt bei. Schon seit der zweiten Hälfte des 17. Jahrhunderts gab es in Krossen Druckereien, von denen die berühmteste Christian Müller gehörte. In diesem Verlag wurden zahlreiche Trauerpredigten veröffentlicht.

Die Stadt blieb von den zahlreichen Kriegen nicht verschont, sie wurde auch von Hochwasser und zahlreichen Bränden heimgesucht, die nur Schutt und Asche hinterließen. Die verhängnisvollsten Brände kamen 1631 und 1708. Von deren Folgen und Skala kann man aus zahlreichen Chroniken und Beiträgen erfahren.

### Chronisten und Historiker über Krossen...

Die Geschichte von Krossen an der Oder hat die Forscher schon immer fasziniert. Ein wertvoller Beitrag zur Geschichte der evangelischen Kirche in Schlesien stammt aus dem 18. Jahrhundert: *Presbyterologie des Evangelischen Schlesiens* von Sigmund Justus Ehrhardt. Ein Teil dieses Werkes wurde dem Aufbau der evangelischen Kirche auf dem Gebiet des Fürstentums Krossen gewidmet. Dort findet man zahlreiche Biogramme der hiesigen



Panorama miasta przed II wojną światową (Panorama der Stadt vor dem Zweiten Weltkrieg)

ewangelickiego na Śląsku: *Presbyterologie des Evangelischen Schlesiens* autorstwa Sigismunda Justusa Ehrhardta. Jedną z części tego dzieła poświęconą została organizacji Kościoła ewangelickiego na terenie księstwa krośnieńskiego. Odnaleźć tam można liczne biogramy miejscowych duchownych ewangelickich<sup>1</sup>. Krosno doczekało się również kilku kronik i monografii. Warto wspomnieć chociażby o dziele z 1840 roku, autorstwa Eduarda Ludwiga Wedekinda: *Geschichte der Stadt und des Herzogthums Crossen*, nieco późniejszej, opartej na źródłach kronice pióra Gustava Adolpha Matthiasa<sup>2</sup> czy też pochodzącej z końca XIX stulecia kronice Carla Obstfeldera<sup>3</sup>. Bardzo ważnym opracowaniem zarówno dla historii, jak i architektury Krosna Odrzańskiego jest przedwojenna część katalogu zabytków Brandenburgii poświęconą ówczesnemu powiatowi krośnieńskiemu<sup>4</sup>. Nie można też pominąć

ewangelischen Geistlichen<sup>1</sup>. Krosen ist auch das Thema von mehreren Chroniken und Monographie. Hinzuweisen ist hier zum Beispiel auf das Werk von Eduard Ludwig Wedekind aus dem Jahre 1840, *Geschichte der Stadt und des Herzogthums Crossen*, oder die etwas spätere, auf Quellen gestützte Chronik von Gustav Adolph Matthias *Chronik der Stadt Crossen*<sup>2</sup> oder die aus dem 19. Jahrhundert stammende Chronik von Carl Obstfelder<sup>3</sup>. Eine sehr wichtige Veröffentlichung, sowohl für die Geschichte, als auch für die Architektur von Krosen an der Oder ist der vor dem Zweiten Weltkrieg zu Druck gebrachte Katalog der Brandenburger Denkmäler in seinem dem Krossener Landkreis gewidmeten Teil<sup>4</sup>. Auch die Beiträge von polnischen Forschern dürfen nicht vergessen werden: die von Jana Muszyński<sup>5</sup> und die letzte Monographie von Beata Halicka.<sup>6</sup>

## Die Krossener Pfarrkirche

Wenn man die Oderpanorama der Altstadt bewundert, bemerkt man sofort den monumentalen Körper der Krossener Pfarrkirche. Vor dem Zweiten Weltkrieg fungierte sie als Stadtpfarrkirche zur Jungfrau Maria, nach dem Krieg hat man die Heilige Hedwig von Schlesien zur Schutzheiligen der Kirche erkoren. Der wuchtige Turm, mit einem Helm geziert, ragt über den Kirchenkörper hinaus. Die Anfänge der Krossener Pfarre reichen bis ins Mittelalter zurück.

1 *Sigismund Justus Ehrhardts Presbyterologie des Evangelischen Schlesiens, Zweiten Theils dritter Haupt-Abschnitt, welcher die Protestantische Kirchen= und Prediger=Geschichte des Fürstenthums Crossen in sich fasst*, Liegnitz 1782 [Starodruk ten przechowywany jest w Bibliotece Uniwersyteckiej we Wrocławiu; sygn. BUWr 358670/ II]; por.: Dariusz Dolański, *Duchowni protestancy w księstwie krośnieńskim w XVI-XVII w. (według Sigismunda Justusa Ehrhardta)*, „Rocznik Lubuski” 26, cz. 2, Zielona Góra 2000, s. 173-214.

2 *Chronik der Stadt Crossen. Im Lichte unserer Zeit geschrieben von Gustav Adolph Matthias*, Crossen und Zielenzig 1849.

3 C. von Obstfelder, *Chronik der Stadt Crossen. Von den ältesten Zeiten bis zum Jahre 1845 im Auszuge, von 1845-93 selbständig bearbeitet*, Crossen a. Oder 1895.

4 *Die Kunstdenkmäler der Provinz Brandenburg*, Bd. VI, T. 6: *Crossen*, Berlin 1921.

1 *Sigismund Justus Ehrhardts Presbyterologie des Evangelischen Schlesiens, Zweiten Theils dritter Haupt-Abschnitt, welcher die Protestantische Kirchen= und Prediger=Geschichte des Fürstenthums Crossen in sich fasst*, Liegnitz 1782 [Die Inkunabel wird in der Universitätsbibliothek in Breslau aufbewahrt, BUWr 358670/ II]; por.: Dariusz Dolański, *Duchowni protestancy w księstwie krośnieńskim w XVI-XVII w. (według Sigismunda Justusa Ehrhardta)*, „Rocznik Lubuski” 26, Teil 2, Zielona Góra 2000, s. 173-214.

2 *Im Lichte unserer Zeit geschrieben von Gustav Adolph Matthias*, Crossen und Zielenzig 1849.

3 C. von Obstfelder, *Chronik der Stadt Crossen. Von den ältesten Zeiten bis zum Jahre 1845 im Auszuge, von 1845-93 selbständig bearbeitet*, Crossen a. Oder 1895.

4 *Die Kunstdenkmäler der Provinz Brandenburg*, Bd. VI, T. 6: *Crossen*, Berlin 1921.

5 J. Muszyński, *Krosno Odrzańskie. Przeszłość i teraźniejszość*, Warszawa – Poznań 1972.

6 B. Halicka, *Krosno Odrzańskie – Krosen an der Oder 1005-2005. Wspólne dziedzictwo kultury*, Skórzyn 2005.

powojennych prac polskich badaczy: Jana Muszyńskiego<sup>5</sup> i ostatniej monografii miasta autorstwa Beaty Halickiej<sup>6</sup>.

### Krośnieńska fara

Podziwiając nadodrzańską panoramę starego miasta, nie sposób nie dostrzec monumentalnej bryły krośnieńskiej fary. Przed II wojną światową kościół ten nosił wezwanie Najświętszej Marii Panny, po wojnie za patronkę kościoła obrano św. Jadwigę Śląską. Masywna wieża nakryta ozdobnym hełmem dominuje nad korpusem kościoła. Początki krośnieńskiej fary sięgają wieków średnich. Obecna budowla wzniesiona została w latach 1708-1729. Wielki pożar Krosna z 1708 roku doszczętnie strawił główną świątynię miasta<sup>7</sup>. Jej odbudowę po pożarze kierował mistrz budowlany z Sulechowa – Friedrich Höne, pełniąc tę funkcję nieprzerwanie do 1714 roku<sup>8</sup>. Następnie przez krótki okres czasu, w odbudowie brał udział Friedrich Horneburg – mistrz budowlany z Frankfurtu nad Odrą<sup>9</sup>.

Barokowa świątynia w dużej mierze powieliła plan wcześniejszego kościoła, jednakże bryła została wzbogacona o krótkie ramiona transeptu. Wnętrze świątyni artykułowane jest masywnymi kolumnami, co pogłębia wrażenie monumentalności. Niestety nie zachowało się historyczne wyposażenie wnętrza. Z przekazów wiadomo, że w 1714 roku poświęcono nowy ołtarz, a trzy lata później ambonę. W Berlinie zamówiono również nowe organy. Do fundacji niektórych historycznych elementów wyposażenia świątyni przyczynił się sam król Fryderyk Wilhelm. Gdy w 1722 roku odwiedził Krosno, obiecał przekazać krośnieńskiej farze dzwon pochodzący z jednej z berlińskich świątyni. Ponadto wyłożył 200 talarów na budowę reprezentacyjnego chóru królewskiego w kościele<sup>10</sup>. Jeszcze przed wojną wewnątrz obiegały empory, których parapety ozdo-



Fara (Pfarrkirche)

Das heutige Gebäude wurde in den Jahre 1708-1729 errichtet. Das große Feuer von 1708 richtete die damalige Hauptkirche der Stadt zugrunde<sup>7</sup>. Mit dem Wiederaufbau wurde ein Baumeister aus Züllichau beauftragt, Friedrich Höne, der seine Aufgabe ununterbrochen bis 1714 erfüllte<sup>8</sup>. Danach war kurz Friedrich Horneburg, ein Baumeister aus Frankfurt an der Oder, an dem Wiederaufbau beteiligt<sup>9</sup>.

Das barocke Gotteshaus stützt sich in großem Maße auf den Grundriss der früheren Kirche, der Körper wurde allerdings um ein kurzarmiges Querschiff erweitert. Im Inneren der Kirche wird deren Monumentalität durch massive Säulen betont. Leider konnte die historische Ausstattung der Kirche nicht über den Wirrwarr der Geschichte hinweg gerettet werden. Den Überlieferungen ist zu entnehmen, dass der neue Altar 1714 und drei Jahre später die Kanzel eingeweiht wurden. Es wurde auch

5 J. Muszyński, *Krosno Odrzańskie. Przeszłość i teraźniejszość*, Warszawa – Poznań 1972.

6 B. Halicka, *Krosno Odrzańskie – Crossen an der Oder 1005-2005. Wspólne dziedzictwo kultury*, Skórczyn 2005.

7 Zob.: B. Halicka, *Krosno Odrzańskie...*, s. 84-85.

8 H. Heckmann, *Baumeister des Barock und Rokoko in Brandenburg-Preussen*, Berlin 1998, s. 25.

9 Tamże, s. 17.

10 C. Obstfelder, *Chronik der Stadt Crossen...*, s. 105–106.

7 Siehe: B. Halicka, *Krosno Odrzańskie...*, s. 84-85.

8 H. Heckmann, *Baumeister des Barock und Rokoko in Brandenburg-Preussen*, Berlin 1998, S. 25.

9 Ebenda, S. 17.



Epitafium doktora medycyny Klettego (Epitaph des Krossener Arztes Klette)

bione były licznymi cytatami ze Starego i Nowego Testamentu<sup>11</sup>.

Na wieży kościoła widnieje data 1727 upamiętniająca jeden z etapów odbudowy spalonej świątyni. Warto dodać, że obecny hełm wieży pochodzi z XIX wieku. W ściany zewnętrzne świątyni wmurowano płyty nagrobne i epitafia upamiętniające zasłużonych mieszkańców miasta. Na szczególną uwagę zasługują epitafium krośnieńskiego doktora medycyny, pełniącego obowiązki miejskiego *Phisikus* Andreasa Georga Klettego (†1756). W epitafium tym pole inskrypcyjne zwieńczone jest popiersiowym portretem zmarłego. Portret ten wykazuje cechy reprezentacyjne. Innym wyróżniającym się dziełem sztuki sepulkralnej w krośnieńskiej farze jest podwójna płyta nagrobna burmistrza Martina Tielckau (†1703) i jego małżonki Anny Margarethy z domu Harring (†1712). Płyta wmurowana została w eksponowane miejsce, nieopodal głównego

eine neue Orgel in Berlin bestellt. Zur Finanzierung mancher historischer Ausstattungselemente der Kirche trug der König Friedrich Wilhelm persönlich bei. Er besuchte Krossen 1722 und versprach, der Pfarrkirche eine Glocke von einem der Berliner Gotteshäuser zu schenken. Er legte zudem 200 Taler für den Bau eines königlichen Repräsentationschors in der Kirche aus<sup>10</sup>. Noch vor dem Krieg war das Innere mit Emporen umgeben, deren Brüstungen mit zahlreichen Zitaten aus dem Alten Testament verziert<sup>11</sup>.

Auf dem Kirchturm ist das Datum 1727 zu lesen; in diesem Jahr wurde der Wiederaufbau der niedergebrannten Kirche teilweise abgeschlossen. Es ist noch darauf hinzuweisen, dass der Helm aus dem 19. Jahrhundert stammt. An den Wänden sieht man Grabplatten und Epitaph für die verdienten Stadteinwohner eingemauert. Besonders interessant ist dabei das Epitaph des Krossener Arztes Andreas Georg Klette, der die Pflichten des städtischen *Phisikus* wahrnahm (†1756). Bei diesem Epitaph ist das Inschriftfeld mit einem Brustbild des Verstorbenen verziert. Dieses Porträt weist repräsentative Merkmale auf. Ein weiteres ausgezeichnetes Werk der Sepulkralkunst in der Krossener Pfarrkirche ist der doppelte Grabstein des Bürgermeisters Martin Tielckau (†1703) und seiner Frau Anna Margarethe, geb. Harring (†1712). Die Platte wurde an einer exponierten Stelle verlegt, in der Nähe des Haupteingangs. Nicht mehr zu erkennen sind Inschriften, die sich auf zwei ovalen Feldern befanden, heute unter dem Putz verborgen. Der Fachliteratur kann man allerdings entnehmen, wie wichtig Tielckau für die Stadt war, zuerst als Stadtschreiber, dann als erster Postbeamter und endlich als Bürgermeister von Krossen<sup>12</sup>.

Die Pfarrkirche zu Krossen ist eines der interessantesten Beispiele der sakralen Architektur auf dem Gebiet des ehemaligen Krossener Fürstentums. Eine andere historische Kirche in der Stadt ist die auf dem anderen Oderufer liegende neogotische Kirche Hl. Andreas. Sie wurde 1887 errichtet. Dem Kirchenkörper wurde im Westen ein massiver Turm angebaut, mit seiner charakteristischen in die Höhe ragenden Nadel.

11 Za: *Die Kunstdenkmäler der Provinz Brandenburg*, Bd. VI, T. 6: *Krossen...*, s. 52.

10 C. Obstfelder, *Chronik der Stadt Krossen...*, S. 105–106.

11 Nach: *Die Kunstdenkmäler der Provinz Brandenburg*, Bd. VI, T. 6: *Krossen...*, S. 52.

12 B. Halicka, *Krosno Odrzańskie...*, S. 71.

wejścia świątyni. Nie zachowały się inskrypcje, które pokrywały dwa pola w kształcie owalu – obecnie zakryte tynkiem. Jednakże z literatury dowiedzieć się można, jak ważną postacią dla miasta był Tielckau – najpierw pełnił on funkcję pisarza miejskiego, następnie został powołany na pierwszego urzędnika pocztowego, w końcu mianowano go burmistrzem Krosna<sup>12</sup>.

Kościół farny w Krośnie należy do najciekawszych przykładów architektury sakralnej na terenie dawnego księstwa krośnieńskiego. Inną zachowaną świątynią miasta jest, usytuowany na przeciwległym brzegu Odry, neogotycki kościół św. Andrzeja. Wzniesiono go w 1887 roku. Do korpusu świątyni dostawiona jest od zachodu masywna wieża zwieńczona charakterystyczną strzelistą iglicą.

## Odra i wino

Niezwykle ważnym czynnikiem kształtującym losy i rozwój miasta było jego położenie nad Odrą, aczkolwiek z powodu silnej pozycji gospodarczej i politycznej nadodrzańskiego Frankfurtu, atut ten nie został nigdy w pełni wykorzystany. Krosno nie miało bowiem prawa składu towarów. Jednakże barki i liczne łodzie rybackie przez wieki stanowią ważny element krajobrazu miasta.

Długie tradycje miała w mieście uprawa winorośli. Świetnie nadawały się do tego pochyłe, dobrze nasłonecznione stoki doliny Odry. Pierwsze krośnieńskie winnice zostały założone już w średniowieczu<sup>13</sup>. Miejscowe winnice były dość rozległe



Degustacja wina w krośnieńskich winnicach przed II wojną światową (Weinprobe in den Krossener Weingärten vor dem Zweiten Weltkrieg)

<sup>12</sup> B. Halicka, *Krosno Odrzańskie...*, s. 71.

<sup>13</sup> Szerzej zob.: J. Muszyński, *Krosno Odrzańskie...*, s. 16.



Płyta nagrobna Martina Tielckau i jego małżonki (Grabstein des Martin Tielckau und seiner Frau)

## Die Oder und der Wein

Einen wesentlichen Einfluss auf die Entwicklung der Stadt und ihrer Geschichte war die Lage an der Oder, auch wenn wegen des starken wirtschaftlichen und politischen Gewichts von Frankfurt an der Oder diese Möglichkeiten niemals ausgeschöpft wurden. Krossen verfügte nämlich über kein Stapelrecht. Und doch trugen Kähne und zahlreiche Fischerboote Jahrhunderte lang wesentlich zum Stadtbild bei.

Lange Tradition hatte in der Stadt auch der Weinbau. Die geeigneten, gut besonnten Böschungen des Odertals eigneten sich dazu sehr gut. Die ersten Krossener Weingärten wurden noch im Mittelalter gegründet<sup>13</sup>. Die hiesigen Weingärten waren breit angelegt und zogen sich in einem Streifen mehrere Kilometer die Oder entlang. Der Weinbau war nicht nur auf den lokalen Markt eingestellt, sondern auch für den Export. Bis zum Ende des 18. Jahrhunderts

<sup>13</sup> Mehr dazu siehe: J. Muszyński, *Krosno Odrzańskie...*, S. 16.



Ratusz z kamienicami. Widok przed II wojną światową. (Rathaus mit Bürgerhäusern. Sehen Sie vor dem Zweiten Weltkrieg.)

i ciągnęły się liczącym kilka kilometrów pasem wzdłuż Odry. Produkcja wina była nastawiona nie tylko na rynek lokalny, ale również na eksport. Aż do końca XVIII wieku uprawa winnej latorośli oraz handel winem stanowiły ważne źródło utrzymania mieszkańców Krosna. Zdarzały się dla winiarzy lata bardzo urodzajne (np. rok 1594; 1604; 1666; 1834).

Mieszkańcy musieli być dumni z lokalnego trunku, skoro – według przekazów kronikarzy – w 1545 roku miejscowe wino wraz z tekstem antypapieskiej pieśni zostało przesłane samemu Marcinowi Lutrowi<sup>14</sup>.

## Reformacja

Ważnym czynnikiem, który odcisnął swe piętno nie tylko na duchowości mieszkańców, ale również na obrazie miasta, była reformacja. Naukę Lutra zaczęto głosić w mieście już w 1525 roku, jednak oficjalnie wprowadzono ją dopiero po przejściu na protestantyzm ówczesnego władcy tych ziem – margrabiego Jana z Kostrzyna. Miało to miejsce w roku 1538. Następstwem wprowadzenia reformacji była sekularyzacja miejscowych klasztorów dominikanów i franciszkanów. W 1544 roku grożący zawaleniem klasztor dominikanów decyzją władz miejskich został wyburzony. Plac po nim wybrukowano i służył on odtąd celom targowym. Natomiast krośnieński klasztor franciszkanów był w o wiele lepszym stanie technicznym, dlatego pomieszczenia klasztorne wtórnie wykorzystywano do rozmaitych celów: w pierw służyły jako mieszkanie dla ówczesnego

obudował der Weinbau eine wichtige Lebensunterhaltsquelle für die Krossener Einwohner. So manches Jahr war für die Weinbauern sehr ertragsreich (z. B. 1594; 1604; 1666; 1834).

Die Stadteinwohner müssen wohl über ihren lokalen Trunk sehr stolz gewesen sein, wenn sie – wie man den Chroniken entnehmen kann – 1545 den hiesigen Wein mit dem Text eines papstfeindlichen Liedes Martin Luther selbst als Geschenk schickten<sup>14</sup>.

## Die Reformation

Von der Reformation wurde nicht nur das geistige Leben der Einwohner geprägt, sondern auch das ganze Stadtbild. Luthers Lehre wurde hier schon seit 1525 gepredigt, doch offiziell führte man die neue Konfession erst ein, nachdem der damalige Herrscher dieser Gebiete, Markgraf Johann von Küstrin, konvertiert hatte. Dies war 1538. Zu den Folgen der Reformation gehörte die Säkularisierung der hiesigen Klöster: der Dominikaner und der Franziskaner. Das bis dahin auffällig gewordene Dominikanerkloster wurde 1544 auf Anweisung des Stadtrates abgerissen. Der freigewordene Platz wurde ausgepflastert und diente seitdem als Marktplatz. Das Krossener Franziskanerkloster war in einem viel besseren technischen Zustand, deswegen wurden seine Räumlichkeiten nach der Säkularisierung unterschiedlich ausgenutzt: Zuerst dienten sie als Sitz des damaligen Statthalters für das Krossener Fürstentum, Hans von Knobelsdorf, dann wurde einer der Räume in eine Friedhofkapelle verwandelt während um das Kloster herum der Stadtfriedhof entstand<sup>15</sup>.

## Zerstörungen des letzten Krieges

So wurde der Krossener Markt im Jahre 1950 vom Kunsthistoriker Gwido Chmarzyński beschrieben: *Der einst wunderschöne Markt mit einem Rathaus, umgeben von einer Reihe barocker Häuser mit einer anschiessamer Linie Marsandendächer gähnt heute mit der Leere der Kriegsruiuen*<sup>16</sup>. Den Sturm des Krieges hat glücklicherweise die Krossener

14 C. Obstfelder, *Chronik der Stadt Krossen...*, s. 57.

14 C. Obstfelder, *Chronik der Stadt Krossen...*, S. 57.

15 Ebenda, S. 56.

16 *Ziemia Lubuska*, Hrsg. M. Szczaniecki, S. Zajchowska, Poznań 1950, (aus der Reihe Ziemie Staropolski), S. 405.

namiestnika księstwa krośnieńskiego Hansa von Knobelsdorfa, następnie jedno z pomieszczeń przeznaczono na kaplicę cmentarną, a wokół byłego klasztoru założono miejski cmentarz<sup>15</sup>.

## Zniszczenia ostatniej wojny

Takiej oto charakterystyki krośnieńskiego rynku dokonał w 1950 roku historyk sztuki Gwido Chmarzyński: „Piękny niegdyś rynek z ratuszem, otoczony rzędami barokowych domów, o giętkiej linii mansardowych dachów, wieje dziś pustką ruin spowodowanych wojną<sup>16</sup>. Na szczęście zawieruchę wojenną przetrwała krośnieńska fara. W 1947 roku rozpoczęto w niej prace remontowe, otworzono ją natomiast trzy lata później<sup>17</sup>. Systematyczne i zorganizowane oczyszczanie miasta ze zniszczeń wojennych nastąpiło po 1957 roku, wtedy również powstał pierwszy po wojnie plan zagospodarowania przestrzennego Krosna<sup>18</sup>. Wyznaczał on m.in. obszar zabudowy mieszkalnej na starym mieście. Usunięto wówczas ruiny ratusza, a teren, który zajmował, pokryto nawierzchnią uliczną. Miało to ułatwić dojazd do nadodrzańskiego mostu. W studium historyczno-urbanistycznym miasta postulowano sanację tych kamienic położonych w obrębie murów, które nadawały się jeszcze do odbudowy oraz zachowanie starej sieci ulic starego miasta. Zalecano również, aby kościół św. Jadwigi nie został ubudowany kamienicami. Fara miała bowiem zachować swój historyczny centralny charakter<sup>19</sup>.

## Okolice Krosna

Na bliższą uwagę zasługują również okolice Krosna i to nie tylko z powodów walorów krajobrazowych. Jadąc z Zielonej Góry do Krosna, mijamy szereg miejscowości, w których odnaleźć można ciekawe przykłady architektury. W Leśniewie Wielkim zwraca uwagę rzadko już dziś spotykany zabytek techniki – drewniany wiatrak. Ponadto w tamtejszym kościele oprócz ciekawego późno-

Pfarrkirche überstanden. Im Jahre 1947 wurden die ersten Sanierungsarbeiten an ihr durchgeführt und drei Jahre später konnte sie wiedereröffnet werden<sup>17</sup>. Mit einer systematischen und organisierten Aufräumung der Kriegsrüinen wurde 1957 begonnen; damals entstand auch der erste Raumordnungsplan für das Nachkriegskrosna<sup>18</sup>. Er regelte u. a., wo in der Altstadt Wohnhäuser gebaut werden sollten. Die Überreste des Rathauses wurden beseitigt, der Platz als Straße ausgebaut. Dadurch sollte die Zufahrt zur Oderbrücke erleichtert werden. In einem historisch-städtebaulichen Studium für die Stadt wurde vorgeschlagen, die Mietshäuser innerhalb der alten Wehrmauern zu sanieren, soweit sie sich dazu noch eigneten, und das alte Straßennetz zu behalten. Auch die Hedwig-Kirche sollte nicht mit Mietshäusern umbaut werden. Die Pfarrkirche würde damit ihren historischen Charakter des Stadtzentrums behalten<sup>19</sup>.

## Die Umgebung von Krosen

Bemerkenswert sind auch die Gegenden von Krosen, und zwar nicht nur wegen ihrer schönen Landschaften. Unterwegs von Zielona Góra nach Krosen fährt man an mehreren Orten mit interessanten Architekturdenkmälern vorbei. In Leśnów Wielki befindet sich ein heute seltenes Technikdenkmal – eine hölzerne Windmühle. Darüber hinaus kann man in der dortigen Kirche neben der interessanten barocken Ausstattung auch einen spätgotischen Altar aus der Werkstatt des Meisters von Gießmannsdorf bewundern. Neben der Kirche steht eine zu Anfang des 18. Jahrhunderts errichtete Grabkapelle, die dem hiesigen Adel als letzte Ruhestätte diente.

Besonders sehenswert ist die Gruppe von barocken Kirchen auf achtkantigen Grundrissen aus der Nähe von Krosen. Sie wurden vornehmlich von den lokalen Baumeistern erbaut. Das besondere – und innerhalb der Gruppe älteste Bauwerk – ist die kleine Kirche in Trzebule, auf einem irregulären achteckigen Grundriss errichtet. Das aus dem 1670 Jahre stammende Gotteshaus wurde vollständig aus Holz gebaut, was seinen Wert noch erhöht. Der

15 Tamże, s. 56.

16 *Ziemia Lubuska*, pod red. M. Szczanieckiego, S. Zajchowskiej, Poznań 1950, (seria Ziemia Staropolski), s. 405.

17 B. Halicka, *Krosno Odrzańskie...*, s. 195.

18 Tamże, s. 199.

19 J. Muszyński, *Krosno Odrzańskie...*, s. 192-193

17 B. Halicka, *Krosno Odrzańskie...*, S. 195.

18 Ebenda, S. 199.

19 J. Muszyński, *Krosno Odrzańskie...*, S. 192-193



Trzebule, kościół (Kirche in Trzebule)

barokowego wyposażenia, podziwiać można późnogotycki ołtarz pochodzący z pracowni Mistrza z Gościszowic. Obok kościoła usytuowana jest wzniesiona na pocz. XVIII w. kaplica grobowa, służąca jako miejsce spoczynku miejscowej szlachty.

Na szczególną uwagę zasługuje grupa barokowych kościołów z okolic Krosna wzniesionych na planie ośmioboku. Ich twórcami byli na ogół lokalni mistrzowie budowlani. Wyjątkową i najwcześniejszą we wspomnianej grupie realizacją jest wzniesiony na planie regularnego ośmioboku niewielki kościół w Trzebulach. Pochodzący z 1670 roku kościół, wykonany został w całości z drewna, co podnosi jeszcze jego wartość. Świątynia w podkrośnieńskim Łagowie, wzniesiona na planie kwadratu, przechodzącego w drugiej kondygnacji w ośmiobok, pochodzi z końca XVII wieku. W jej wnętrzu zachowały się bogato zdobione scenami ze Starego i Nowego Testamentu empory oraz ołtarz z malarskim przedstawieniem Ukrzyżowania. Kościół w Tarnawie Krośnieńskiej – miejscowości leżącej 16 km na pd. od Krosna – wzniesiony został w latach 1712-1713, przez lokalnego mistrza murarskiego Daniela Lichta z Krosna Odrzańskiego przy pomocy czeladnika Samuela Klopscha<sup>20</sup>. Jest to najskromniejsza reali-

Grundriss der in Łagów bei Krossen stehenden Kirche aus dem 17. Jahrhundert ist ein Quadrat, das allerdings im zweiten Stock in ein Achteck übergeht. Dort findet man mit Szenen aus dem Alten und dem Neuen Testament reich verzierten Emporen und einen Altar mit einem die Kreuzigung darstellenden Gemälde. Die Kirche in Tarnawa Krośnieńska – einem Ort ca. 16 km südlich von Krossen – wurde in den Jahren 1712–1713 vom lokalen Meister Daniel Licht aus Krossen an der Oder mit der Unterstützung seines Gesellen Samuel Klopsch erbaut<sup>20</sup>. Von den hier erwähnten Kirchen ist dies die bescheidenste.

Die Kirche in Pław von 1874 wurde im neogotischen Stil erbaut, anstelle einer früheren<sup>21</sup>. An die Außenwand wurde eine ganze Reihe von Grabplatten aus dem 17. und 18. Jahrhundert angebracht, zur Ehre der lokalen Adeligen und Geistlichen. Die Platten wurde in spezielle Rahmen aus Ziegeln eingelegt, was erkennen lässt, dass diese für die sepulkrale Kultur dieses Gebietes wichtigen Denkmäler dorthin mit Bedacht eingemauert wurden.

Interessante Beispiele der alten Architektur findet man auch in den kleinen Orten Czetowice und Osiecznica. In Czetowice, nur mehrere Kilometer südwestlich von Krossen, wurde die Kirche im 16. Jahrhundert errichtet. Sie steht auf einem rechteckigen Grundriss, vom Osten dreiseitig geschlossen. Einem Vermerk des Priesters in dem Rechnungsbuch der Pfarrei aus 1654 nach wurde damals am westlichen Ende des Kirchenkörpers mit dem Bau eines Turmes begonnen<sup>22</sup>. In ihrer ursprünglichen Gestalt war das Gotteshaus eine typische Dorfkirche aus der frühen Neuzeit. Sein Wert wird durch die teilweise erhaltene Ausstattung zusätzlich erhöht. Bemerkenswert ist der Steinaltar aus der Renaissancezeit. In dem nah gelegenen Osiecznica steht neben der Fachwerkkirche vom 19. Jahrhundert ein neoklassizistischer Palast, mit teilweise ursprünglicher Ausstattung.

Dank lokalen Aktivitäten und einer Gruppe engagierter Freunde der Geschichte von Krossen finden die hiesigen Baudenkmäler zu ihrem alten Glanz. Es scheint aber, dass sowohl die nähere, als auch die etwas fernere Umgebung von Krossen *Terra*

20 Za: *Die Kunstdenkmäler der Provinz Brandenburg*, Bd. VI, T. 6: *Krossen...*, s. 225.

20 Nach: *Die Kunstdenkmäler der Provinz Brandenburg*, Bd. VI, T. 6: *Krossen...*, S. 225.

21 Ebenda, S. 137.

22 Nach: *Die Kunstdenkmäler der Provinz Brandenburg*, Bd. VI, T. 6: *Krossen...*, S. 253.



zacja spośród grupy kościołów wzniesionych na planie ośmioboku.

Ukończony w 1874 roku kościół w Pławiu wzniesiony został w stylu neogotyckim, na miejscu wcześniejszej świątyni<sup>21</sup>. W zewnętrzne ściany kościoła wmurowano cały zespół XVII- i XVIII-wiecznych płyt nagrobnych, upamiętniających miejscową szlachtę oraz sprawujących tu posługę pastorów. Płyty umieszczone zostały w specjalnych ceglanych obramieniach – co świadczy, iż zachowanie tych ważnych dla dziejów miejscowości zabytków sztuki sepulkranej było zabiegiem świadomym.

Interesujące przykłady zabytkowej architektury odnaleźć można również w niewielkich Czetowicach i Osiecznicy. W Czetowicach, miejscowości leżącej kilka kilometrów na pn.-zach. od Krosna Odrzańskiego kościół wzniesiono w XVI wieku. Świątynia ta ma plan prostokąta, zamkniętego od wschodu trójbocznie. W 1654 roku, według zapisu w księdze rachunkowej parafii, rozpoczęto budowę wieży, dostawionej do korpusu od strony zachodniej<sup>22</sup>. W swym pierwotnym kształcie świątynia stanowiła realizację typowego wczesnonowożytnego rozwiązania dla niewielkiego kościoła wiejskiego. Przykład tym cenniejszy, bowiem z częściowo zachowanym wyposażeniem. Na bliższą uwagę zasługuje renesansowy ołtarz kamienny. W pobliskiej Osiecznicy oprócz XIX-wiecznego szachulcowego kościoła znajduje się również neoklasycystyczny pałac z częściowo zachowanym wystrojem wnętrza.

Dzięki lokalnym inicjatywom i gronie zaangażowanych pasjonatów historii Krosna, miejscowe zabytki odzyskują swój dawny blask. Wydaje się jednak, że bliższe i dalsze okolice Krosna to nadal *terra incognita* zarówno dla turystów, regionalistów, jak i dla badaczy dziejów i sztuki. Warto zatem poznać wspomniane w tym artykule zabytki architektury z autopsji. Dalszych badań wymagają dzieje poszczególnych miejscowości ziemi krośnieńskiej oraz ich dawnych mieszkańców. Ważną kwestią jest również popularyzacja wyników badań wśród obecnych mieszkańców Krosna i okolic.

21 Tamże, s. 137.

22 Za: *Die Kunstdenkmäler der Provinz Brandenburg*, Bd. VI, T. 6: *Crossen...*, s. 253.



Kościół w podkrośnieńskim Łągowie (Kirche in Łągów bei Krossen)

*incognita* bleibt, so für die Touristen, wie auch Regionalhistoriker und Geschichts- und Kunstforscher. Dabei lohnt es sich durchaus, die hier erwähnten Baudenkmäler persönlich zu besichtigen. Die Geschichte der einzelnen Orte im Krossener Land sowie die deren Einwohner bedürfen weiterer Forschungen. Wichtig wäre auch, mit den Ergebnissen dieser Forschungen die heutigen Einwohner von Krossen und dessen Umgebung bekanntzumachen.

### Übersetzung vom Grzegorz Kowalski



Kościół w Czetowicach (Kirche in Czetowice)

# VARIA

Marcin Sieńko

## Myśleć jak komputer

– o wpływie mediów elektronicznych na strategię poznawcze

Niektóre technologie są w stanie totalnie przeobrazić rzeczywistość. Samochody i samoloty uczyniły świat mniejszym, gdy w ciągu godziny możemy przemierzyć setki kilometrów. Pismo sprawiło, że czas i przestrzeń przestały ograniczać możliwość komunikowania się z innymi ludźmi. Przykłady można mnożyć. Czyż w upadku średniowiecznej potęgi Kościoła katolickiego nie miał swojego udziału

wynalazek druku? Czyż rewolucja przemysłowa nie zmiotła starych podziałów społecznych (wprowadzając na ich miejsce nowe)? Trzeba jednak pamiętać, że najistotniejsze zmiany technika wprowadza nie w naszym otoczeniu, lecz w nas samych. Kształtuje procesy rozumienia, myślenia i wyrażania, otwiera przed nami nowe przestrzenie dyskursu i zarazem wyznacza zakres możliwych do odna-

lezenia odpowiedzi. W niniejszym tekście pokażę to, jak nasz sposób myślenia zmienia się pod wpływem obcowania z technologiami cyfrowymi.

Komputery wkroczyły w nasze życie, niosąc bogactwo ułatwień i nowych możliwości. Są przy tym wynalazkiem, który ma w sobie potencjał, by spowodować zmiany, z którymi równać może się tylko rewolucja pisma. Pewne cechy mediów cyfrowych sprawiają, że ich wpływ na nasze umysły jest wyjątkowo potężny.

Przed wszystkim należy podkreślić innowacyjne podejście do przechowywania danych – wszystkie one zostają przetworzone formę cyfrową. Digitalizacji można poddać w równym stopniu tekst, obraz, dźwięk czy film. Tak powszechna cyfryzacja naszej kultury sprawia, że komputer staje się uniwersalnym interfejsem, pośrednikiem pomiędzy człowiekiem a światem kulturowym. Komputer okazał się medialnym odpowiednikiem klucza francuskiego – uniwersalnym środkiem komunikacji.

Jednolita płaszczyzna cyfrowa pozwala przechowywać niemal wszystkie wytwory kultury. Sieć już teraz jest ogromną biblioteką plików tekstowych i multimedialnych. Pamięć staje się nam coraz mniej potrzebna. W Platońskiej opowieści Tamuz oskarżał pismo o sprawienie, że wiedzę zaczniemy gromadzić na papierze zamiast w sobie. Co powiedziałyby teraz, gdy komputeryzacja wzmocniła ten trend? Średniowieczni studenci uczyli się na pamięć całych ksiąg. Druk obniżył ceny ksiąg i ostatecznie sprawił, że pamięć nie musiała być już tak obciążana, a i notatek studenci musieli robić mniej – zawsze można było sięgnąć do źródła. Studenci dwudziestego wieku już nawet nie muszą czytać tekstów – wystarczy, że zrobią kserokopię albo znajdą w Internecie odpowiednie opracowanie. Biblioteki oraz sieciowe bazy danych gromadzą wiedzę za nas.

Rola komputerów nie ogranicza się jednak wyłącznie do pamiętania. Biorą też one czynny udział w przetwarzaniu informacji. Coraz doskonalsze wyszukiwarki, coraz sprawniejsze „boty” wyszukają pożądane przez nas treści i porządkują je w zadany sposób. Umiejętność przeprowadzenia kwerendy bibliotecznej przestaje być niezbędna, skoro moc obliczeniowa komputerów gwarantuje nadludzką szybkość i skuteczność poszukiwań. Komputery przechowują, pamiętają, udostępniają. A przy tym towarzyszą nam w codziennych działaniach, w pracy, w komunikacji z innymi. Tak potężna i wszechobecna

technologia musi nas kształtować. Nasz nieustanny kontakt z komputerowym interfejsem sprawia, że dopasowujemy się do jego wymogów. Tworzymy narzędzie, które później przetwarza nas samych.

## Cyfrowe myślenie

Żyjemy uwikłani w media komputerowe. Poprzez nie doświadczamy świata, poprzez nie obcujemy z kulturą i innymi ludźmi. A one powoli, krok po kroku, zmieniają nasz sposób myślenia. Nie wprowadzają spektakularnych, rewolucyjnych zmian. Przebudowują nasze umysły tak, jak woda draży skałę. Jak pisał Marshall McLuhan, media są przedłużeniem naszych zmysłów, przez to stają się nieomal częścią nas samych. A multimedialne ze swej natury komputery nie dostarczają wyłącznie pożywki dla oczu. Prezentacja multimedialna może być, i często jest, wzbogacona efektami dźwiękowymi – przemawia to bezpośrednio do słuchowego systemu reprezentacji. A przy tym komputery są interaktywne, co skłania nas do działań fizycznych (najczęściej przy użyciu myszki lub klawiatury), które pobudzają kinestetyczny system reprezentacji. Dzięki temu komputery stały się przedłużeniem naszego układu nerwowego w znacznie większym stopniu niż jakiegokolwiek wcześniejsze medium. To pozwala im narzucać struktury i formy naszym myślom.

## Sekwencyjność i algorytmiczność

Pod powierzchnią znanych nam narzędzi komputerowych kryją się programy – algorytmy działania, realizowane sekwencyjnie, krok po kroku. Trzeba tu podkreślić różnicę pomiędzy linearnością pisma a sekwencyjnością cyfrowych mediów. Tekst spisany bądź też wydrukowany na papierze prowadzi zwykle jedną tylko drogą. Czy to przewijając zwój, czy przewracając kolejne stronicę. poruszamy się w ściśle określonej kolejności – czytamy, jak kiedyś mawiano – od deski do deski. Ale „lektura” programu komputerowego nie jest tak jednokierunkowa. Możliwe są skoki po całej strukturze, pomijanie pewnych fragmentów lub ich wielokrotne powtarzanie. Droga, którą wędrujemy, może być za każdym razem inna.

Podobnie program rzadko narzuca nam kolejność wykonywanych działań. Prezentuje nam dostępne opcje, które możemy wykorzystać we własnym porządku. Możemy mieć tu złudzenie wol-

ności, należy jednak pamiętać, że choć zwiedzana struktura jest duża, to jednak pozostaje ograniczona. Poruszamy się po Borgesowskim ogrodzie o rozwidlających się ścieżkach, którego struktura nie jest jednak nigdy zupełnie otwarta. I choć granic wyznaczonych przez twórcę programu nie sposób przekroczyć, i tak stopień swobody oferowanej odbiorcy jest tu dużo większy niż w przypadku mediów tradycyjnych.

## Hipertekstualność i hipermedialność

Stopień swobody budowany przez sekwencyjność mediów cyfrowych został wzmocniony pojawieniem się hipertekstualności. Marzeniem Teda Nelsona, twórcy *Xanadu* – jednego z pierwszych systemów hipertekstu, było odrzucenie tradycyjnego porządku narracji, linearnych nawyków czytelników i pisarzy. Pragnął stworzyć taką strukturę tekstu, która dałaby czytelnikowi pełną swobodę. Zamiast sztywnej hierarchii rozdziałów i podrozdziałów, zamiast niezmiennej kolejności stron książki, otrzymalibyśmy pajęczynę wzajemnych powiązań, oferującą nieskończony labirynt znaczeń. Tak narodził się hipertekst, ulepiony z małych fragmentów (leksji) splecionych siecią hiperłączy.

Najczęściej spotykaną formą hipertekstu jest sieć WWW (która zdaniem Nelsona jest mocno kulawą realizacją jego idei). Wędrując po stronach globalnej pajęczyny, tracimy świadomość granic tekstu czy jego położenia przestrzennego. Właściwie z każdego miejsca możemy przejść do dowolnego innego miejsca, ograniczeni tylko własnymi decyzjami. Naturalnie nasza kultura i tradycyjne teksty zawsze były w pewnym stopniu hipertekstowe. Spis treści, indeks, cytat – to wszystko są środki wyrrywające nas z linearnej struktury kodeksu. Jednak dopiero komputeryzacja, wraz z oddzieleniem bazy danych od warstwy prezentacji, uczyniły hipertekst powszechnym. I dopiero wówczas zaczął on przeobrażać naszą myśl.

## Fragmentaryczność/encyklopedyczność

Hipertekstowość wnosząc nową, swobodniejszą strukturę, spowodowała równocześnie rozdrobnienie naszej wiedzy. Leksje, będące podstawowymi jednostkami hipertekstu, stanowią zwykle zamkniętą, samodzielną całość. Są przy tym raczej związane – z reguły optymalna jest taka ilość tekstu, która

mieści się na jednym ekranie. Ludzie nie lubią czytać z ekranu komputera długich tekstów. Znacznie częściej tylko skanują ekran wzrokiem, poszukując interesujących ich informacji. Gruntowne czytanie staje się rzadkością.

Takie koncentrowanie się na informacji wydaje się charakterystyczne dla myślenia cyfrowego. Tracą swe fundamentalne znaczenie narracje i logicznie uporządkowane łańcuchy myśli. Zamiast tego otrzymujemy drobne cząstki, które sami porządkujemy w procesie lektury. I rzeczywiście w Sieci łatwo znaleźć dowolną informację. Niestety dużo trudniej znaleźć wiedzę na temat powiązań pomiędzy poszczególnymi danymi. Może wydawać się to nieco paradoksalne, skoro hiperłącza są w stanie wskazać takich połączeń więcej niż linearny druk. Po prostu w oceanie możliwości gubią się ściśle wytyczone szlaki. Czas uprzywilejowanych narracji przemija. Nazywam to encyklopedycznością – Internet zastępuje klasyczne encyklopedie, tworząc ogromny zbiór danych. Jednak nie porządkuje ich. To zadanie pozostawiając odbiorcom. I dobrze to, i źle zarazem. Dobrze, bowiem wymusza aktywny udział w procesie przetwarzania wiedzy. Odbiorca sam musi uporządkować treści, nadać im własny sens. Źle jednak, że nieprzygotowany czytelnik może się zagubić w gąszczu informacji i nigdy nie dostrzeże istotnych połączeń. Popularność krzyżówek i teleturniejów, które także testują znajomość faktów i danych, a nie ich powiązań, wydaje się kolejnym symptomem fragmentaryzacji wiedzy.

## Wielowątkowość/multitasking

Komputer z łatwością radzi sobie z robieniem kilku rzeczy równocześnie. Pisząc niniejszy tekst w edytorze tekstu, równocześnie mam uruchomioną przeglądarkę internetową, słucham muzyki, a w tle działa system operacyjny z mnóstwem podprogramów. Wszystko to działa równocześnie. Taką zdolność wykonywania kilku programów równocześnie zwykło się nazywać wielowątkowością. Podobną wielowątkowość możemy odnaleźć we własnych działaniach. Na przykład w mojej przeglądarce internetowej mam w tej chwili otworzonych pięć różnych stron internetowych. Gdy jedną czytam, inne się wczytują. Można powiedzieć, że czytam – czy raczej przeglądam – pięć stron równocześnie, w tym samym czasie pisząc niniejszy artykuł. Oto przykład

prostej wielowątkowości. Metafora wielowątkowości pozwala uchwycić kolejny charakterystyczny rys myślenia cyfrowego. Jesteśmy nieustannie zalewani informacjami, których nie jesteśmy w stanie przyswoić i przetworzyć. Dlatego też zaczynamy robić kilka rzeczy równocześnie, co pozwala sprawniej poruszać się w hiperprzestrzeni wiedzy encyklopedycznej.

Dzięki wielowątkowości potrafimy szybko znaleźć potrzebne informacje, odsiać przysłowiowe ziarno od plew. Zdecydowana większość stron internetowych nie jest wiarygodnym źródłem informacji. Wyszukiwarka zapytana o słowo kluczowe wskazuje nam wiele stron, na których poszukiwana fraza występuje, ale nadal nie potrafi ocenić sensowności tekstu. Dlatego też niezbędna jest umiejętność szybkiego odrzucenia niepożądanych odpowiedzi. Szybkie, równoczesne przejście wielu stron pozwala szybko stwierdzić, nad którymi warto zatrzymać się na dłużej. Multitasking usprawnia także obcowanie z hipertekstami. Pozwala nam szybko ocenić kilka opcjonalnych ścieżek i zdecydować się na tę, która wydaje się najodpowiedniejsza.

Obcując z hipertekstową, fragmentaryczną wiedzą, uczymy się wielowątkowości, równocześnie jednak tracimy zdolność do koncentracji na narracjach. Dzieciom Internetu coraz trudniej jest śledzić dłuższą opowieść – niezależnie do medium, w którym jest podawana. Śledzenie uporządkowanej narracji książkowej wymaga od nich ogromnego wysiłku. Przystosowując się do mediów cyfrowych, gubią wcześniejsze uwarunkowania. I nie są tu już w stanie pomóc nauczyciele języka polskiego, którym coraz trudniej zmusić uczniów do przeczytania dłuższej niż kilka stron lektury.

## Podsumowanie

Sekwencyjność komputerów przyzwyczajają nas do śledzenia alternatywnych ścieżek, co wytwarza hipertekst wraz z jego fragmentaryczną encyklopedycznością. Wielowątkowość staje się naturalną obroną na zalew cząstkowych informacji niepowiązanych w spójne ciągi logicznych wnioskowań

czy narracji. Częsty kontakt z takim tekstem kształtuje nasze nawyki myślowe – obcowanie z nowymi mediami sprawia, że się do nich dopasowujemy. Coraz trudniej te zmiany ignorować, a rolą filozofa jest je śledzić. Zwłaszcza, że znajdujemy się w szczęśliwej sytuacji. Zwykle trudno obserwować przemiany, w których sami uczestniczymy – brakuje nam dystansu. Tym razem jednak jest inaczej, znajdujemy się bowiem na granicy dwóch światów. Dzisiejsi badacze zostali wychowani w świecie druku, przeczytali mnóstwo książek, napisali własne, kształcili się w akademickim środowisku – wszystko to sprawia, że przeniknięci są technologią pisma. Równocześnie jednak wrastają w media elektroniczne – uczą się ich reguł, piszą na komputerze, czytają teksty z ekranu. Jest im bliżej do pisma niż kolejnym pokoleniom; jest im bliżej do cyfrowości niż pokoleniom minionym. Stojąc rozdarcie między pismem a cyfryzacją, na obie te sfery mogą patrzeć z boku. Ważne jest byśmy nie przeoczyli właściwego momentu.

Niniejszy artykuł ledwie sygnalizuje problem. Moim celem było zwrócenie uwagi na subtelne oddziaływanie technologii cyfrowych na nasz styl myślenia. Takiej rewolucji nie spowodowały wcześniej żadne nowe media – ani radio, ani kino, ani telewizja nie miały okazji tak gruntownie przebudować naszej świadomości. Ale technologie cyfrowe są medium uniwersalnym, swoistym metamedium które pośredniczy w naszych relacjach z pozostałymi mediami. Przez to ich obecność jest wyjątkowo znacząca i – jak sądzę – mogą się one okazać równie mocnym wpływem na nasze życie intelektualne jak pismo. Dziś liniowa logika tradycyjnego tekstu zastępowana jest otwartą i wielokierunkową strukturą hipertekstu. Jednolitość narracji tekstu znika pod naporem sekwencyjności i wielowątkowości. Wielkie opowieści ery druku są rozbijane na niezależne fragmenty, które czekają w bazach danych na odpowiednie ustrukturyzowanie. I choć pismo wciąż pozostaje fundamentem naszego systemu edukacji, wciąż służy budowaniu nauki, zmiany są nieubłagane. Warto ich wyczekiwać i uważnie je śledzić. Przecież niezależnie od używanych narzędzi, pragniemy po prostu rozumieć siebie i świat.

## Mors porta vitae Polnische Gräber in Berlin Teil I. Berlin Friedhöfe

WIR e.V., der Verein zur Förderung der Deutsch-Polnischen Literatur, bereitet gerade eine zweisprachige Veröffentlichung unter dem Titel *Mors porta vitae* (Der Tod ist des Lebens Tor) vor, die polnische Gräber in Berlin präsentieren wird.

Das Thema wurde nie völlig bearbeitet, es werden lediglich ab und zu einige Infos in polnischer Presse in Berlin besprochen, meistens zu Allerheiligen, der in der polnischen Kultur eine besondere Stellung innehat.

Im Allgemeinen ist das Unwissen auf geradezu erschreckende Weise verbreitet, und die falschen Angaben, die man z.B. in Wikipedia findet, werden, auch seitens der offiziellen Institutionen, so lange wiederholt, bis sie zu Fakten werden. Beispiel dafür ist die kleine Notiz die Gräber der polnischen Soldaten aus dem polnischen Wikipedia-Text über Berlin betreffend. Darin liest man: „Im Volkspark Friedrichshain in der Gegend der Virchowstraße und Werneuchener Straße befindet sich ein Friedhof der polnischen Soldaten, die im Kampf um Berlin 1945 gefallen sind.“

Nun, daran stimmt überhaupt nichts! Es gibt keine solchen Gräber in Berlin, was kaum jemand zur Kenntnis nimmt.

Dagegen gibt es aber in Berlin tatsächlich ein paar Gräber der berühmten polnischen Söhne und Töchter dieser Stadt, sowie unzählige Grabstätten der völlig Unbekannten, die man aber kaum zur

## Mors porta vitae Polskie groby w Berlinie Część I. Berlińskie cmentarze

Polsko-Niemieckie Towarzystwo Literackie WIR przygotowuje obecnie dwujęzyczną publikację zatytułowaną *Mors porta vitae* (śmierć bramą życia), prezentującą polskie groby w Berlinie. Temat ten nigdy jeszcze nie został w pełni opracowany, od czasu do czasu pojawiają się jedynie wrywkowe,



Brama śmierci. Cmentarz koło Hallesches Tor – grób Juliusa Worpitzky'ego (1835-1895), profesora w najstarszym gimnazjum berlińskim (Friedrichswerdersches Gymnasium, założone w r. 1681), edykula z czerwonego granitu z rzeźbą z białego marmuru – autor Julius Moser.

Todestor. Friedhof am Halleschen Tor – Grab von Julius Worpitzky (1835-1895), Professor am ältesten Gymnasium Berlins (Friedrichswerdersches Gymnasium, gegründet 1681), Ädikula – roter Granit, Skulptur – weißer Marmor von Julius Moser.

Kenntnis nimmt. Zur Entschuldigung derer, die vielleicht vergeblich versuchten, etwas darüber zu erfahren, muss man sagen, dass die Nekropolen Berlins eine sehr komplizierte und eigentlich undurchsichtige Landschaft bilden. In Berlin gibt es 224 Friedhöfe, von denen manche schon geschlossen sind, zum größten Teil aber weiterhin benutzt werden, darunter 79, die unter Denkmalschutz stehen. Zum Vergleich: In Warszawa gibt es 22 Friedhöfe. Die Berliner Friedhöfe befinden sich sowohl im Zentrum der Stadt als auch in sehr weit außerhalb gelegenen Stadtteilen. Und sie sind manchmal riesig groß, umfassen insgesamt 1176 Hektar. Dieses komplizierte Bild verdankt Berlin seiner ebenfalls komplizierten Geschichte. Seit dem 13. Jh., als die Stadt das erste Mal urkundlich erwähnt wurde, bestand die Hauptstadt der Mark Brandenburg eigentlich aus zwei Städten, gelegen an den beiden Ufern der Spree - Berlin und Cölln. Das große Berlin, die Stadt, die der ähnelt, die wir heute kennen, entstand erst 1920. Sie umfasste 94 Verwaltungseinheiten, Städte, Städtchen und Dörfer, von denen jede mindestens einen, meistens aber mehrere Friedhöfe besaß, einen überkonfessionellen, staatlichen, und ein bis fünf religiöse – evangelisch in verschiedenen Glaubensrichtungen, katholisch, in einigen Fällen – jüdisch, und gar, schon damals, türkisch oder russisch-orthodox. Es gab Ortschaften, wo sich darüber hinaus auch noch spezielle Formen der Grablegung feststellen lassen, Garnisonfriedhöfe, oder nationalreligiöse, z.B. Französisch-hugenottisch oder Tschechisch. Auf dem Gebiet Groß-Berlins befanden sich auch zwei Friedhöfe für Namenslose – Selbstmörder und Unbekannte. Manchmal gab es auch temporäre Friedhöfe für die an der Pest gestorbenen oder für Opfer der Kriege. Das heutige Gesetz sieht es vor, dass Kriegsgesopfer ein Recht auf ungestörte Todesruhe haben, dh. deren Gräber werden weder geerntet noch von anderen ersetzt. Der Unterhalt dieser Gräber obliegt den Gemeinden und die Nachkommen sind zu keinen Gebühren verpflichtet. Während des 2. Weltkriegs sind in Berlin 120.000 Personen gestorben, ermordet oder gefallen. Meistens liegen sie immer noch auf den Friedhöfen Berlins.

Mittelalterliche Friedhöfe befanden sich entweder direkt an den Kirchen oder sind auf den Gemeindewiesen eingerichtet, die in mannigfaltiger Weise benutzt wurden, als Köppen und Weiden oder



Wejście na cmentarz św. Jadwigi, główny cmentarz katolicki Berlina. Tu znajdował się m.in. grobowiec rodziny Raczyńskich, zniszczony podczas budowy Muru Berlińskiego w latach 60. XX wieku.

Eingang zum Friedhof St. Hedwig, Hauptfriedhof der katholischen Gemeinde Berlins. Hier befand sich u.a. Grabstätte der Familie Raczyński, vernichtet bei dem Ausbau der Berliner Mauer in den 60ern des 20. Jhs.

traktowane okazjonalnie, informacje w prasie polonijnej. Ogólnie jednak niewiedza na temat polskich grobów w Berlinie jest zastraszająca, a w epoce internetu fałszywe informacje, powtarzane z uporem maniaka, stają się faktem dokonanym. Najlepszym przykładem może być dezinformacja na temat grobów polskich żołnierzy w Berlinie, którą przekazują nawet instytucje państwowe, powtarzając zdanie umieszczone w polskiej Wikipedii: „W parku Volkspark Friedrichshain w Berlinie w rejonie Virchowstraße i Werneuchener Straße znajduje się cmentarz polskich żołnierzy poległych w 1945 r. podczas operacji berlińskiej”.

Otóż jest to nieprawda, grobów takich w Berlinie w ogóle nie ma, czego, jak dotąd, niemal nikt nie zauważył!

Są natomiast groby kilku sławnych, kilkunastu znanych i kilkudziesięciu tysięcy nieznanymi Polaków, ale i ich nikt nie zauważył. Na „usprawiedliwienie” wszystkich, którzy nie poradzi sobie z problemem szukania grobów Polaków, trzeba powiedzieć, że specyfika krajobrazu cmentarnego miasta nie ułatwia zadania poszukiwaczowi. W Berlinie istnieje 224 czynnych i nieczynnych cmentarzy, w tym 79 uznanych za zabytek sztuki ogrodniczej. Dla porównania – w Warszawie są 22 cmentarze. Cmentarze berlińskie znajdują się zarówno w samym centrum, jak w odległych dzielnicach i są ogromne –



Na każde 10 grobów, będzie co najmniej jeden, którego właściciel nosi polskie nazwisko.

Unter zehn Gräbern findet man mindestens eins, dessen Grabplatte den polnischen Namen trägt.

als Marktplätze. Man pachtete sie an die Handwerker und somit wurden da Leinen gedreht, Wäsche geweißt oder Bier geschenkt. Oft waren es jedoch unheimliche, leere Ödnisse und es darf nicht wundern, dass man glaubte, hier spukt es. Sicher ist, dass überfüllte Stadtfriedhöfe Quellen vieler Krankheiten waren. Erst mit Martin Luther ist die Idee „eines würdigen Ruheplatzes nach dem Tode“ entstanden. Aber auch dann wurden die Friedhöfe weiterhin wirtschaftlich benutzt. Im 17. Jh. wuchsen auf den Berliner Nekropolen, die den protestantischen Franzosen (Hugenotten) gehörten, Maulbeerbäume, notwendig zur Herstellung von Seide. Mit der Aufklärung kam auch die Idee eines sorgfältig geplanten Todesackers, mit Wegen und Quartalen, wo auch die hygienischen Maßnahmen geachtet wurden. Und erst Anfang des 19. Jh. sind erste kommunale Friedhöfe entstanden, die keiner Glaubensrichtung gehörten.

In den Jahren 1870 – 1915 hat sich Berlin völlig geändert. Aus dem mittelalterlichen Handelsort und der Renaissance-Baroque Residenzstadt, ist zum Ende des 19. Jh. eine sich rasant entwickelnde Industriestadt entstanden. 1877 überschritt die Einwohnerzahl Berlins die Millionen-Marke. 1900 wohnten bereits dort 2,5 Millionen und nur zwei Jahre später – schon über 3 Millionen. Es beeinflusste auch die Struktur der städtischen Begräbnisse. Einerseits sind kolossale Friedhöfe entstanden, die imstande waren, mehreren hundert Tausenden Gestorbener einen würdigen Begräbnisplatz zu bieten, andererseits sind für die gehobenen

zajmują łącznie 1176 hektarów. Ten skomplikowany krajobraz cmentarny zawdzięcza Berlin swej historii. Od XIII wieku, kiedy to Berlin został po raz pierwszy wymieniony, stolicę Marchii Brandenburskiej tworzyły właściwie dwa miasta położone na przeciwległych brzegach Szprewy – Berlin i Cölln, natomiast dopiero w roku 1920 powstało miasto, które w ogólnym zarysie przypomina dzisiejszy Berlin, tzw. Wielki Berlin. W jego skład weszły 94 jednostki administracyjne, miasta, miasteczka i wioski, z których każda posiadała po kilka nawet cmentarzy, jeden państwowy, bezwyznaniowy, i kilka religijnych – najczęściej ewangelicki i katolicki, ewentualnie także żydowski, a nawet muzułmański czy prawosławny. W niektórych miastach czy miasteczkach znajdowały się również cmentarze narodowościowe, np. francuskie, garnizonowe i, często, osobne, używane tylko przejściowo, dla ofiar wojny. Zgodnie z obowiązującym prawem, ofiary wojny mają prawo do niezakłóconego pochówku, a ich utrzymanie jest wolne od opłat. Wskutek II wojny światowej w Berlinie umarło lub zginęło 120 tysięcy osób i większość z nich nadal leży na berlińskich cmentarzach. Wiele miast miało też odrębne miejsca pochówku dla ofiar zarazy. W skład Wielkiego Berlina weszły też dwa cmentarze dla bezimiennych, ubogich, bezdomnych i samobójców.

Cmentarze średniowieczne znajdowały się albo w pobliżu kościołów, albo na łąkach miejskich, gdzie jednocześnie organizowano odpusty, święta państwowe i religijne. Użytkowano ich też jako pastwiska czy place targowe. Na cmentarzach tkacze bielili płótno, powroźnicy kręcili sznury, a szynkarze prowadzili



Schichten elegante und vom Massen abgeschirmte Ruhestätten angelegt worden, etwa Park- oder Waldfriedhöfe.

In derart komplizierter und vielfältiger Landschaft wird der Suchende, der den polnischen Spuren nachspürt, auf die Suche gehen müssen. Die Aufgabe ist schwierig, weil es... so viele sind. Man kann über die Friedhöfe gehen und Tausende aber Tausende polnische Namen feststellen. In den Teilen Berlins wo im 19. Jh. die Polen wohnten, wird der Anteil der polnischen Namen gar 30 % erreichen, aber sie sind auch woanders, praktisch überall, und sogar auf dem kleinsten und entfernt gelegenen Friedhof stellt man fest, dass unter zehn beliebigen Gräbern mindestens eines „polnisch“ ist.

Es bedeutet, dass irgendwann in irgendeiner weit entfernten Zeit der Urahn der Familie aus Polen gekommen ist, oder genauer gesagt, aus den polnischen Teilen des preußischen Staats – aus Pommern, Schlesien, Großpolen, Ermland, Masuren. Er könnte bei dieser Lebenswanderung sein Polentum pflegen oder es so zu sagen ablegen. Dies könnte gar schon vor der Auswanderung der Fall gewesen sein. Der größte Teil dieser Familien, die bis heute die polnischen Namen tragen, ist jetzt schon längst deutsch. Manchmal ist ihnen noch klar, dass es irgendwann in dem Familienstammbuch einen polnischen Großvater gab, meistens wissen sie auch das nicht mehr.

In dieser Zeit wurden die polnischen Namen umgehend „eingedeutscht“. Es verschwanden die typischen polnischen Buchstaben<sup>1</sup> und die polnischen Namen mit den Endungen –ski und –cki übernahmen die für die deutsche Zunge einfachere Form –sky und –cky. In polnischer Sprache treten diese Namen in zwei geschlechtsspezifischen Formen: Mit der Endung -i für männliche Namen und mit -a für weibliche. Im Zuge der „Germanisierung“ übernehmen sie einheitlich die männliche Form.

<sup>1</sup> Aber Achtung, auch diese Regeln können irreführend sein. Die Autorin dieses Texts heißt Ewa Maria Slaska und jeder wird behaupten, dass Slaska eine germanisierte Form des Namens Śląska wäre; es ist aber nicht so. Die zweifellos polnische und in Polen lebende Familie Slaski benutzt diese Form des Familiennamens seit dem 17. Jh.! Die in meinem Fall einzige Information, dass ich mich nicht germanisierte, wäre nur die Schreibweise meines ersten Vornamens – Ewa mit w; auf Deutsch wäre es Eva mit v. Solche Nuancen fallen den wenigsten auf!



Wnuczka rodziny Lemańczyk nie mówi już po polsku, ale pamięta, że babcia jeszcze mówiła, a mama uczyła się religii po polsku.

Die Enkelin der Familie Lemanczyk (poln. Lemańczyk) spricht kein Polnisch mehr; sie erinnert sich sehr gut daran, dass ihre Großmutter fließend Polnisch sprach und Mama den Religionsunterricht auf Polnisch nahm.

wyszynk. Często były to jednak po prostu tereny opustoszałe i nic dziwnego, że wierzono, iż na tych pustkowiach straszy. Z całą pewnością przepiękne cmentarze miejskie były źródłem licznych zaraz. Dopiero reformacja wprowadziła zasadę „godnego pochówku“, co jednak nadal łączyło się z gospodarczym wykorzystaniem terenów cmentarnych. W XVII wieku na berlińskich nekropolach należących do francuskich protestantów, hugonotów, hodowano morwę, potrzebną do produkcji jedwabiu. Planowanie cmentarzy z podziałem na kwartały i dbałość o higieniczną stronę pochówku pojawiły się dopiero w epoce oświecenia. A dopiero w początku XIX wieku założono pierwsze cmentarze bezwyznaniowe, na których chowano również osoby zmarłe w nędzy czy korzystające ze wsparcia finansowego miasta. W latach 1870-1915 Berlin całkowicie zmienił charakter. Nie była to już średniowieczna osada handlowa ani renesansowo-barokowa rezydencja, lecz rozwijające się w przyspieszonym tempie miasto przemysłowe. W roku 1877 Berlin przekroczył liczbę miliona mieszkańców, w roku 1900 było ich już 2,5 miliona, w dwa lata później – ponad 3 miliony. Wpłynęło to również na infrastrukturę pochówków miejskich. Z jednej strony stworzono wielkie cmentarze komunalne, zdolne przyjąć setki tysięcy zmarłych, z drugiej – dla zamożnych pojawiły się pierwsze cmentarze parkowe i leśne.

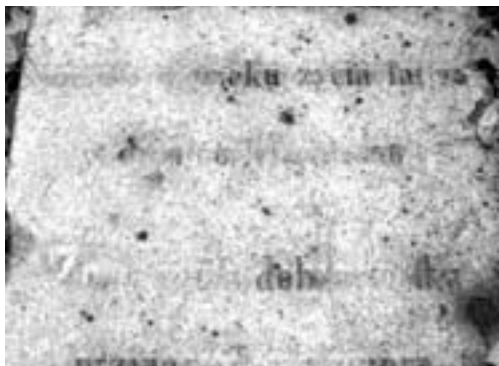


Alois Barwiński pochodził z polskiej rodziny, jego żona, z domu Mielke była zapewne Niemką, o czym świadczy też niemiecka pisownia imienia Marta. Również imię Alois jest już pisane po niemiecku, a typowo polskie nazwisko Barwiński ma zmienioną pisownię: końcówka -y dla kobiet i mężczyźni, zamiast męskiego -i lub żeńskiego -a.

Alois Barwiński (poln. Barwiński) stammte vermutlich aus einer polnischen Familie, seine Ehefrau, geb. Mielke war Deutsch; ihr Name Martha wird auch deutsch geschrieben (auf poln. wäre es Marta). Der Name Alois ist auch schon auf deutsche Weise geschrieben (auf poln. Alojzy); der typisch polnische Familienname Barwiński ist auch schon „eingedeutscht“: Endung -y für beide Geschlechter, statt männlichen -i und weiblichen -a.

W takim więc skomplikowanym i bogatym krajobrazie przychodzi osobom zainteresowanym polskimi pamiątkami szukać grobów osób związanych z Polską, jej kulturą i językiem. Zadanie jest trudne, bo nie da się tak po prostu przejść po cmentarzach i wynotować nazwisk. Mijałoby się to z celem i jest niewykonalne. Niewykonalne, bo takich grobów o polskich nazwiskach jest po prostu za dużo. Na cmentarzach w tych częściach miasta, gdzie kiedyś chętnie osiedlali się Polacy, polskich nazwisk jest nawet do 30%, ale wszędzie, na każdym cmentarzu, nawet najmniejszym i najbardziej odległym, na każde 10 grobów, będzie co najmniej jeden, którego właściciel nosi polskie nazwisko. Oznacza to, że kiedyś, w jakiejś odległej przeszłości, przodek rodu przywędrował z Polski, a ściślej rzecz biorąc, najpewniej z polskich dzielnic państwa pruskiego – Pomorza, Śląska, Wielkopolski, Warmii, Mazur. Mógł w tej wędrownicy zachować swą polskość, mógł jej zaniechać. Ale odejście od polskości mogło się odbyć już wcześniej, zanim doszło do wyjazdu do Berlina. Większość tych zmarłych o polskich korzeniach rodziny to już od kilku pokoleń „rodowici” Niemcy, którzy być może nic nie wiedzą o polskich korzeniach rodziny.

Przy klasyfikacji grobów o polskich nazwiskach pomocne przydają się następujące reguły: jeśli



Jednak zdarzają się groby ewidentnie polskie, w których cały napis jest sformułowany po polsku.

Es gibt aber auch Gräber, auf denen der ganze Text auf Polnisch geschrieben wurde.

Tu spoczywa Julia z Zapletiałów de Bereźnicka  
zmarła w wieku życia lat 24  
w dniu 30. Maja 1856

Hier ruht Julia geb. Zapletiało de Bereźnicka  
gestorben im Lebensalter von 24  
am Tage 30. Mai 1856

Żona czuła, dobra matka przyjaciółka szczerza  
Pamiętka iey zostanie każdemu  
ze ją znał droga y miła

Zärtliche Ehefrau, gute Mutter  
redliche Freundin Jedem, der sie kannte  
wird die Erinnerung an sie teuer und angenehm bleiben



Jeśli w napisie grobowym wciąż używa się typowych polskich liter jak ś, ć, ń, ą itp., to mamy na pewno do czynienia z rodziną kultywującą swoją polskość (oba groby z Cmentarza Żydowskiego Weissensee).

Befinden sich in den Namen immer noch typisch polnische Buchstaben ó, ś, ć, ń, ą usw., können wir sicher sein, dass es eine Familie war, in der das Polnische gepflegt wurde (beide Gräber am Jüdischen Friedhof Weissensee).

Es gibt aber auch Gräber, auf denen der ganze Text auf Polnisch geschrieben wurde.

Hinter jedem derartigen Grab versteckt sich eine faszinierende Geschichte

Manfred Zänker war ein Deutscher aus polnischer Familie. Einberufen in die Wehrmacht, 1944 desertierte er und flüchtete zu den polnischen Untergrundkämpfern (Partisanen), wahrscheinlich zur sog. AK (Armia Krajowa, Landesarmee), die von den Sowjets genauso verfolgt wurde wie von den Nazi-Deutschen. Nach dem Krieg wurde Zänker vom sowjetischen NKWD (Staatssicherheit) inhaftiert und verbrachte in Gefängnissen mehr als zehn Jahre bis er nach dem Stalins Tod entlassen wurde. Danach lebte er in Berlin und war als Übersetzer aus dem Polnischen und Russischen für das deutsche Innenministerium tätig. War u.a. der Übersetzer bei Willy Brandts berühmten Besuch in Polen in den 70er Jahren. Der polnische Staatspräsident Aleksander Kwaśniewski verlieh Manfred Zänker das Verdienstkreuz.

Kommen wir jetzt zurück zu dem schon oben erwähnten Thema der polnischen Soldaten in Berlin, die am Kampf um Berlin beteiligt waren. „An den Kämpfen um Berlin nahmen 170 000 polnische Soldaten teil, 12 000 von ihnen kämpften in der Innenstadt. Als am 16. April mit dem Sturm auf die Seelower Höhen die Endoffensive der Roten Armee begann waren zwei polnische Armeen beteiligt: die Erste Polnische Armee mit der Ersten Belorussischen Armee unter Marschall Schukow; die Zweite

namensko pojawia się w formie zmienionej i jeśli polskiemu nazwiskom towarzyszą niemieckie (i pisane w niemieckiej formie) imiona, to można z dużym prawdopodobieństwem twierdzić, że rodzina jest już w pełni niemiecka<sup>1</sup>.

Jednak zdarzają się groby ewidentnie polskie, w których cały napis jest sformułowany po polsku.

Ale także, jeśli rodzina zachowuje zmienną końcówkę nazwisk –ska i –cka, a przede wszystkim jeśli używa typowych polskich liter jak ś, ć, ń, ą itp., to mamy na pewno do czynienia z rodziną kultywującą swoją polskość. Tak można w Berlinie znaleźć nazwiska Szamatólska czy Domańska.

Niekiedy na grobie pojawi się jeszcze polski napis lub dodatkowa informacja, co też potrafi zaskoczyć, bo może się okazać, że ktoś, kto miał typowe niemieckie nazwisko, jest jednak Polakiem, jak wspomniany już Aleksander Brückner.

Za każdym takim grobem kryje się osobna pasjonująca historia, którą nie zawsze udaje się prześledzić. W jednym przypadku się udało.

1 Ale uwaga: i ta reguła może się okazać myląca. Autorka tego tekstu nazywa się Ewa Maria Slaska i każdy w sposób naturalny uznaje, że Slaska to zgermanizowana forma Śląskiej, a tymczasem bezwzględnie polska i mieszkająca w Polsce rodzina Śląskich używa tego nazwiska w tej właśnie formie od XVII wieku! W moim wypadku jedyną wskazówką polskości byłoby używanie imienia Ewa pisanego przez w, bo w wersji niemieckiej pisze się je przez v (Eva), ale stwierdziłam, że nikt na to nie zwraca uwagi.



Za każdym takim grobem kryje się osobna pasjonująca historia... – grób Manfreda Zänkera na starym cmentarzu św. Mateusza na Schönebergu.

Hinter jedem derartigen Grab versteckt sich eine faszinierende Geschichte – Grab von Manfred Zänker auf dem Alten St. Matthäus Kirchhof in Schöneberg.

Polnische Armee war Bestandteil der Ersten Ukrainischen Front unter Marschall Konew. Am 22. April erreichten sie den Hohenzollernkanal. Als sich am 24. April der Ring um Berlin schloss, kämpften polnische Truppen bei Kremmen, Tietzen, Oranienburg, Birkenwerder, Oranienburg und Nauen. Die Erste Polnische Armee mit der Ersten Division „Tadeusz Kosciuszko“, der Zweiten Haubitzenbrigade, dem Sechsten unabhängigen motorisierten Ponton-Bataillon sowie der Ersten unabhängigen Mörserbrigade wurde in die letzte Kampfphase um Berlin einbezogen. Polnische Truppen kämpften vor allem in Charlottenburg, Moabit und Tiergarten. Besonders viele Opfer forderten die Kämpfe am 1. Mai um die Charlottenburger Chaussee (die heutige Straße des 17. Juni), die Technische Hochschule und den S-Bahnhof Tiergarten. Unmittelbar am Karl-August-Platz entstand ein Friedhof mit gefallenen

Manfred Zänker był Niemcem z polskiej rodziny, w roku 1944 zdezerterował z Wehrmachtu i uciekł do polskich partyzantów, prawdopodobnie do AK, bo po wojnie został aresztowany przez sowieckie NKWD i zwolniony z więzienia dopiero po śmierci Stalina. Mieszkał w Berlinie, pracował jako tłumacz z rosyjskiego i polskiego dla niemieckiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Między innymi był tłumaczem Willy Brandta w latach 70. Został przez prezydenta RP Aleksandra Kwaśniewskiego odznaczony Krzyżem Zasługi.

I wreszcie temat, który zawsze wydawał się „najłatwiejszy”, ale, jak już wspomniałam na wstępie, wcale taki nie był, to znaczy groby żołnierzy polskich, którzy brali udział w Bitwie o Berlin. W walkach o Berlin brało udział 170 tysięcy polskich żołnierzy, z tego 12 tysięcy w centrum miasta. Kiedy 16 kwietnia rozpoczęła się na wzgórzach w okolicy Seelow końcowa ofensywa Armii Czerwonej, brały w niej udział dwie armie polskie: Pierwsza Armia Polska w ramach Pierwszego Białoruskiego Frontu pod dowództwem marszałka Żukowa oraz Druga Armia Polska jako część składowa Pierwszego Ukraińskiego Frontu pod dowództwem marszałka Koniewa. 22 kwietnia zamknął się pierścień wokół Berlina, żołnierze polscy walczyli koło Kremmen, Tietzen, Oranienburg, Birkenwerder i Nauen. Pierwsza Armia Polska z pierwszą Dywizją im. Tadeusza Kościuszki, drugą brygadą haubic, szóstym samodzielnym zmotoryzowanym batalionem pontonowym oraz pierwszą samodzielną brygadą moździerzy została wprowadzona do akcji w ostatniej fazie walk o Berlin. Polskie oddziały walczyły przede wszystkim w dzielnicach Charlottenburg, Moabit i Tiergarten. Szczególnie dużo ofiar pochłonęły walki 1 maja o Charlottenburger Chaussee (obecnie Straße des 17. Juni), Wyższą Szkołę Techniczną i stację kolejki miejskiej w Tiergarten. W pobliżu Karl-August-Platz powstał cmentarz dla poległych polskich żołnierzy. Później ich zwłoki przeniesiono do miejscowości Siekierki na ziemi lubuskiej, polegli w walkach wokół Berlina pochowani zostali natomiast w Zgorzelcu.

I tak to wygląda. Nie ma grobów polskich żołnierzy w Berlinie. Ten tekst, fragment artykułu z katalogu wystawy „Wach auf mein Herz und denke!” – Zur Geschichte der Beziehungen zwischen Schlesien und Berlin-Brandenburg / „Przebudź się, serce moje, i pomyśl!” – Przyczynek do historii stosunków między Śląskiem a Berlinem-Brandenburgią,

polnischen Soldaten.“ Ihre Leichen wurden später in einen Friedhof bei der polnischen Ortschaft Siekierki (Leubuser Land) umgebettet; diejenigen die an den Kämpfen um Berlin teilnahmen und gefallen sind, liegen jetzt im polnischen Zgorzelec.

So ist es. Es gibt keine Gräber polnischer Soldaten in Berlin! Den obigen Text, ein Auszug aus dem Katalog der Ausstellung “Wach auf mein Herz und denke!” - Zur Geschichte der Beziehungen zwischen Schlesien und Berlin-Brandenburg, kann man auch im Internet finden, und zwar in beiden Sprachen. Allerdings gibt es die Information, wo sich jetzt die Leichen der polnischen Soldaten befinden, nur auf Polnisch! Weshalb auch immer! So oder so, die Polen, die die Legende von polnischen Soldatengräbern so gern weiter erzählen, können, wenn sie wollen, diese Information im Netz finden. Nun ist heutzutage Wikipedia (genauso wie google) ein unbestreitbarer Herrscher unseres Wissens und nichts gilt als bewiesen, solange es von Wikipedia nicht bestätigt wird. Zum Wikipedia Text greift auch Henryk Nazarczuk, der 2004 für den Bund der Polen in Deutschland eine Liste der polnischen Gräber in Deutschland gefertigt hat. „Bestens sieht es in Berlin aus“, schreibt Nazarczuk. „Mehrere Gedenkstätten und Friedhöfe, alles in bester Ordnung und doku-



War Cemetery na Heerstrasse, miejsce pochówku żołnierzy armii sprzymierzonych, którzy polegli w Niemczech. Tablica przy wejściu podaje, że znajdują się tu groby pięciu polskich lotników, ale naprawdę są tu tylko dwa polskie groby.

War Cemetery in der Heerstrasse, hier ruhen die Soldaten der Alliierten, die in Deutschland gefallen sind. Laut der Tafel am Friedhofseingang sollen hier fünf polnische Luftwaffen-Piloten begraben liegen; tatsächlich befinden sich hier nur zwei polnische Gräber. Keiner von ihnen war an der Schlacht um Berlin beteiligt!



językoznawca Aleksander Brückner, jeden z najsłynniejszych Polaków mieszkających w Berlinie, pochodził ze spolszczonej rodziny niemieckiej, nosił niemieckie nazwisko, a jego grób ma – ufundowaną przez Polską Akademię Nauk – dwujęzyczną płytę – grób na cmentarzu Tempelhofer Parkfriedhof.

Der Sprachwissenschaftler Aleksander Brückner, einer der berühmtesten Polen, die in Berlin lebten, dozierte über 40 Jahre Linguistik an der Humboldt-Universität; er entstammte einer deutschen aber schon durchaus polonisierten Familie, die jedoch weiterhin ihren Namen auf Deutsch geschrieben hat; an seinem Grab im Tempelhofer Parkfriedhof befindet sich eine zweisprachige Grabplatte, gesponsort durch die Polnische Akademie der Wissenschaften.

też można znaleźć w internecie, ale Wikipedia (podobnie jak google) zawładnęła naszymi umysłami bez reszty i żadna informacja nie jest ważna, jeśli nie pojawi się w Wikipedii. I najwyraźniej na tym źródle opiera się tekst Henryka Nazarczuka, który sporządził dla potrzeb Związku Polaków w Niemczech listę polskich grobów w Niemczech: „Najlepiej wygląda na tym tle oczywiście Berlin. Kilkadziesiąt miejsc pamięci i cmentarzy, prawie wszystko uporządkowane i udokumentowane. Każda dzielnica posiada takie miejsca i prawie na każdym cmentarzu groby Polaków. Żołnierze armii walczących na zachodzie (lotnicy polscy zestrzeleni nad Berlinem), jeńcy wojenni zmarli w stalagu III D, żołnierze dwóch armii Ludowego Wojska Polskiego, więźniowie KZ, robotnicy przymusowi. Organizacje polonijne w Berlinie nie mają kłopotu z wyborem miejsca na uroczystości okolicznościowe” (tekst z 2004 roku – <http://www.polonia.org/rokpolskigroby.htm>).

Pod jednym względem można się zgodzić, w Berlinie jest dość miejsc pamięci, gdzie w sytuacjach „okolicznościowych” można złożyć wieńce. Najwięcej, jeśli bodaj nie wszystkie, jest ich w byłym

mentiert. In jedem Stadtteil gibt es solche Plätze und auf fast jedem Friedhof gibt es die polnischen Gräber. Soldaten der Armeen die im Westen kämpften (polnische Piloten erschossen über Berlin), Kriegsgefangene gestorben im Stalag III D, Soldaten der zwei Heere der Polnischen Volksarmee, KZ-Insassen, Zwangsarbeiter. Die polnischen Vereine in Berlin mögen wohl keine Schwierigkeiten haben bei der Wahl des Ortes, wo sie ihre patriotischen Festlichkeiten feiern wollen." (<http://www.polonia.org/rokpolskigroby.htm>).

Mit einer Behauptung dieses Textes kann man allerdings völlig übereinstimmen: Tatsächlich gibt es in Berlin genug Plätze, wo man bei bestimmten patriotischen oder religiösen Anlässen die Kränze niederlegen kann. Viele von ihnen, wenn nicht alle, findet man in Berlin Ost.

Miejsca pamięci w Berlinie. Pomnik Żołnierza Polskiego w Volkspark Friedrichshain („Denkmal des polnischen Soldaten“) z napisem „Za naszą i waszą wolność – für eure und unsere Freiheit“.

Na zdjęciu obok – pomnik więźniów obozów koncentracyjnych na Cmentarzu Centralnym na Lichtenbergu. Poniżej – jeden z pomników ku czci ofiar wojny na Cmentarzu Marzahn.

Gedenkstätten in Berlin. 1972 wurde im Ostberlin ein „Denkmal des polnischen Soldaten“ im Volkspark Friedrichshain errichtet, das von einem „Autorenkollektiv“ (Künstler aus der VRP und der DDR) entworfen wurde: Zofia Wolska, Tadeusz Ladzian, Arnd Wittig und Günther Merkel. Neben dem Denkmal befindet sich eine riesig große Inschrift: "Za naszą i waszą wolność – für eure und unsere Freiheit".

Auf dem Foto nebenan – Gedenkplatte für die Insassen der deutschen Konzentrationslager auf dem Zentralen Friedhof in Lichtenberg. Darunter – eine der 20 Gedenkstätten für die Opfer des Krieges auf dem Parkfriedhof Marzahn.



Berlinie Wschodnim. W r. 1972 w parku Volkspark Friedrichshain wzniesiono pomnik „Denkmal des polnischen Soldaten“ projektu polsko-niemieckiego kolektywu artystów (Zofia Wolska, Tadeusz Ladziana, Arnd Wittig i Günther Merkel). Na pomniku umieszczono napis „Za naszą i waszą wolność – für eure und unsere Freiheit“. Na Cmentarzu Centralnym, tam gdzie znajduje się też grób Róży Luxemburg, wydzielono część, na której pochowani zostali zmarli po wojnie więźniowie obozów koncentracyjnych, a na cmentarzu w Marzahn znajduje się co najmniej 20 różnego rodzaju pomników upamiętniających ofiary wojny.

W byłym Berlinie Zachodnim jedynym takim miejscem jest War Cemetery na Heerstrasse, gdzie znajdują się groby dwóch polskich lotników (choć źródła podają, że jest ich pięć). Ale i to nie są groby uczestników Bitwy o Berlin. Polscy oficerowie byli częścią armii brytyjskiej i wprawdzie zostali pochowani w Berlinie, ale brali udział w walkach w Niemczech.



# Die Słubfurter Mediathek

## Die Authentizität des Fiktiven

Der deutsche Philosoph Helmut Plessner bezeichnete den Menschen als „von Natur aus künstlich“. Plessner zufolge findet sich der Mensch selbst nicht vor und verfügt nicht über eine naturhafte Identität. Vielmehr behält er stets Abständigkeit zu sich, aus der heraus er sich selbst erst erschafft. Demnach ist der Mensch eine Art „animal fictionale“.

(Zitat aus einem Artikel von Karen van den Berg, mit dem Untertitel: „Über die unmögliche Notwendigkeit, Identität zu managen“)

Identität ist demnach ein ständig erneuerter Selbstentwurf des Menschen.

Morgens steht er vor dem Spiegel und putzt sein Ich heraus, nicht nur die Zähne... er rasiert sich und schminkt sich, so lange, bis er mit seinem Spiegelbild zufrieden ist. Jetzt ist er fit für die nahe Zukunft – halt, nein, er kleidet sich ein für die Begegnungen des Tages, denn erst „Kleider machen Leute“. Dann die erste Frage, die ihm jemand stellt: Wer bist Du?

Bist Du Deine Kleider, Dein Rasierwasser, Dein Rouge? Bist Du Deine Berufe und Berufungen, bist Du Deine Kultur, Deine Sprache, Dein Land?

Es gibt verschiedenste Angebote, sich mit einer Region, einer Kultur, einer gesellschaftlichen Klasse oder gar mit einem Staat zu identifizieren. Dieser Mechanismus funktioniert meist nach einem Ausschlussprinzip: Bist Du ein Arbeiter, ein Professor oder ein Millionär? Bist Du ein Berliner oder ein

# Mediateka Słubfurcka

## Urealnienie fikcji

Niemiecki filozof Helmut Plessner określa człowieka jako istotę „z natury sztuczną”. Zdaniem Plessnera człowiek sam siebie nie może odnaleźć i nie ma żadnej naturalnej tożsamości. Wręcz przeciwnie – wciąż ma dystans do samego siebie, i z tego dystansu sam siebie tworzy. Tym samym człowiek jest czymś w rodzaju „animal fictionale“.

(cytat z artykułu von Karen van den Berg, fragment opatrzonej podtytułem: *O niemożliwej konieczności zarządzania tożsamością*)

Tożsamość jest więc wciąż odnawiającym się projektem człowieka skierowanym na samego siebie.

Kiedy rano staje przed lustrem, czyści nie tylko zęby, ale też własne Ja... goli się i szminkuje, aż zadowolony go obraz, który widzi w lustrze. Teraz jest już gotowy na najbliższą przyszłość – nie, zaraz, jeszcze mu się ubrać, bo przecież „to szata zdobi człowieka”. I wtedy pojawia się pierwsze pytanie, które ktoś mu zadaje: Kim jesteś?

Czy Tobą czyni Cię Twoje ubranie, Twoja woda po goleniu, Twoja szminka? Czy jest to Twój zawód, Twoje powołanie, Twoja kultura, Twój język, Twój kraj?

Istnieje szeroka oferta identyfikacji: z regionem, z kulturą, z klasą społeczną albo nawet z państwem. Ten mechanizm funkcjonuje najczęściej wedle zasady wykluczenia: jesteś robotnikiem, profesorem czy milionerem? Berlińczykiem czy warszawiakiem? Polakiem czy Niemcem?

Warschauer, ein Pole oder ein Deutscher?

Oder bist Du derjenige, der damals bei regnerischem Wetter mit einem schäbigen alten Regenschirm die Oderpromenade entlang spazierte, als die Flüchtlinge über die Brücke kamen? Oder bist Du der Flüchtling, der von „hinter dem Bug“, der mit 2 Kühen von der fetten Erde zu mageren Sandböden wechseln musste? Oder bist Du ein Enkel von denen, einer, der sich fragt: Wer bin ich?

### Bist Du ein Słubfurter?

Słubfurt ist die erste Stadt, die je zur Hälfte in Deutschland und Polen liegt. Sie setzt sich aus den beiden Stadtteilen Słub und Furt zusammen, lässt sich also konkret verorten. Es handelt sich um die beiden „ehemaligen“ Städte Słubice und Frankfurt (Oder). Słubfurt beschreibt einen Raum, der all jenen als Heimat dient, die sich „dazwischen“ fühlen. Słubfurt beschreibt diese besondere Qualität mit einfachsten Mitteln. Die Ausgabe eines Słubfurter Personalausweises ist weder an den Ort (*jus terrae*), noch an die Herkunft (*jus sanguis*) gebunden, sondern basiert einzig und allein auf dem Bekenntnis, sich als Słubfurter zu fühlen.

### Was verbindet dich mit Słubfurt?

Von Februar bis November 2010 befindet sich die Słubfurter Mediathek in den beiden Stadtbibliotheken von Słub und von Furt.

Sie beschäftigt sich mit dieser allerwichtigsten Frage, die sich ein Mensch stellt, bevor er sich dafür entscheidet, Słubfurter zu werden und die nötigen formalen Schritte einzuleiten.

Die „Słubfurter Mediathek“ sammelt individuelle Antworten oder auch Gegenfragen und Ratlosigkeit auf diese Frage und macht sie der Öffentlichkeit zugänglich.

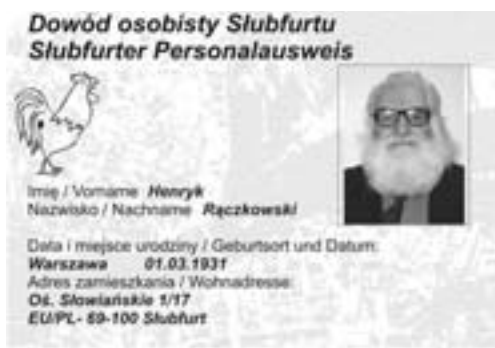
### Einreichen von Manuskripten, Büchern, Fotos und Gegenständen, die in der Mediathek öffentlich zugänglich sind

Sowohl Einwohner, wie potentielle Neubürger von Słubfurt sind eingeladen, sich der Frage „Wer bin ich? Was verbindet mich mit Słubfurt – oder auch nicht?“ zu stellen und dazu eigene Ausdrucksformen zu entwickeln und zu benutzen. Die Dinge können in

A może jesteś tym, który spacerował w deszczu z obszarpanym parasolem w rękę wzdłuż promenady nad Odrą, podczas gdy uciekinierzy przechodzili przez most? A może jesteś tym uciekinierem „zza Buga“, który ze swymi dwiema krowami musiał przenieść się ze swego żyznego czarnoziemu na jałowe piaszczyzny? A może jesteś wnukiem tych, którzy zadają sobie pytanie: Kim jestem?

### Czy jesteś słubfurtczaninem?

Słubfurt to pierwsze miasto, które leży w połowie w Polsce, a w połowie w Niemczech. Składa się z dwóch części: Słubu i Furtu, można je więc konkretnie umiejscowić. Są to bowiem „dawne” dwa miasta: Słubice i Frankfurt nad Odrą. Słubfurt określa przestrzeń będącą ojczyzną tych wszystkich, którzy czują, że są gdzieś „pomiędzy”. Słubfurt definiuje tę szczególną jakość przy pomocy najprostszych środków. Uzyskanie słubfurckiego dowodu osobistego



nie jest związane ani z miejscem (*jus terrae*), ani z pochodzeniem (*jus sanguis*), lecz wyłącznie z poczuciem, że jest się słubfurtczaninem.

### Co łączy Cię ze Słubfurtem?

Od lutego do listopada 2010 w obu bibliotekach miejskich Słubu i Furtu będzie miała siedzibę Mediateka Słubfurcka.

Zajmuje się ona najważniejszym pytaniem, które stawia sobie człowiek, zanim zdecyduje się zostać słubfurtczaninem i uruchomić niezbędne procedury formalne.

Mediateka Słubfurcka zbiera indywidualne odpowiedzi, ale także kontrpytania i bezradność wobec tego pytania oraz udostępnia ją publiczności.



der Stadtbibliothek abgegeben werden. Das mobile Einsatzteam der „Stubfurter Mediathek“ wird das eingereichte Material einmal im Monat sichten und für die Mediathek aufbereiten.

### **Videoporträts, die der Identitätsfrage nachgehen**

Eine Methode der Identitätsforschung besteht darin, Videoporträts zu erstellen, die sich aus zwei Bestandteilen zusammensetzen:

- Interview einer Person, die auf die Grundfrage „was verbindet dich mit Stubfurt“ antwortet.
- Anschließend erhält die Person für einen abgestimmten Zeitraum eine Videokamera, mit der sie ihre eigene Sicht auf Stubfurt filmen kann.

Beide Elemente werden schließlich zu einem Film zusammen geschnitten. Je nach Wunsch kann der Porträtierte sichtbar sein oder anonym bleiben.

Der Mix porträtierter Personen umfasst alle Generationen, Couleurs und kulturelle Hintergründe, natürlich Menschen aus Stub und aus Furt...

Die Filme können ausgeliehen oder vor Ort gesehen werden.

### **Öffentliche Diskussionen in der Mediathek auf der Grundlage des vorhandenen Materials in der Mediathek, bzw. Vorstellen der neuesten Produkte.**

Wenn sich genügend neues Material angesammelt hat und neue Filme entstanden sind, werden sie bei einer öffentlichen Präsentation mit Diskussion offiziell der Sammlung übergeben. Aus aktuellem Anlass können natürlich jederzeit Diskussionsrunden veranstaltet werden. Das Bildungsprogramm der Stubfurter Mediathek sieht vor allem eine Zusammenarbeit mit Schulen und anderen Bildungseinrichtungen vor, die nach vorheriger Absprache die Mediathek vor Ort nutzen können.

### **Entwicklung neuer Methoden zur Identitätsmessung**

Die Mediathek muss sich natürlich den Herausforderungen der Zeit stellen und ist deshalb immer für innovative Ideen und Vorschläge offen. Es handelt sich um einen offenen Prozess, eine Art

### **Dostarczanie rękopisów, książek, fotografii i przedmiotów, które mają być publicznie dostępne w Mediatece**

Zapraszamy zarówno mieszkańców, jak i potencjalnych nowych obywateli Słubfurtu, aby zadali sobie pytanie „Kim jestem? Co łączy mnie – lub nie – ze Słubfurtem?“, i aby stosowali w tym celu stworzone przez siebie formy wyrazu. Wytwory te można składać w bibliotekach miejskich. Lotny zespół Mediateki Słubfurckiej będzie raz w miesiącu przeglądał złożone materiały i opracowywał je dla potrzeb Mediateki.

### **Portrety wideo poszukujące odpowiedzi na pytanie o tożsamość**

Jednym ze sposobów poszukiwania tożsamości jest tworzenie portretów wideo, składających się z dwóch części:

- wywiad z osobą, która odpowiada na pytanie „Co łączy mnie ze Słubfurtem?“
- następnie osoba ta otrzymuje na określony czas kamerę wideo, którą filmuje Słubfurt ze swojego punktu widzenia.

Oba elementy są następnie montowane w jeden film. W zależności od chęci osoba portretowana może albo być widoczna, albo pozostać anonimowa.

Portretowane osoby reprezentują wszystkie pokolenia, kolory skóry i kultury, oczywiście zarówno ze Stubu, jak i z Furtu...

Filmów nie można wypożyczać ani oglądać na miejscu.

### **Publiczne dyskusje w Mediatece w oparciu o materiał w niej zgromadzony lub prezentacja najnowszych produkcji**

Kiedy zbierze się już wystarczająco dużo nowego materiału i powstaną nowe filmy, zostaną one przekazane do zbioru podczas publicznej prezentacji połączonej z dyskusją. Oczywiście dyskusje można organizować zawsze, okazjonalnie. Program edukacyjny Mediateki Słubfurckiej przewiduje przede wszystkim współpracę ze szkołami i innymi instytucjami edukacyjnymi, które po wcześniejszym uzgodnieniu terminu mogą korzystać z Mediateki na miejscu.

Experiment, dessen Ausgang wir noch nicht kennen. Die zweisprachige Quartalszeitschrift „Pro Libris“ widmet sich in einer Ausgabe gezielt dem Thema der „Słubfurter Mediathek“. Das Ergebnis soll anschließend in einer der Stadtbibliotheken vorgestellt werden. Studenten der Europa-Universität Viadrina beschäftigen sich im Rahmen eines Słubfurt-Seminars über mehrere Semester mit dem Thema und begleiten das Projekt mit eigenen Recherchen und Beiträgen, sowie Überlegungen zur Entwicklung der Mediathek.

In einer zweiwöchigen multimedialen Abschlusspräsentation werden die Ergebnisse der neunmonatigen Arbeit im November 2010 gezeigt und können von den Besuchern kommentiert und ergänzt werden.

### **Ausleihe in der Słubfurter Mediathek**

Wie in jeder Bibliothek können die in der Mediathek vorhandenen Dinge natürlich auch ausgeliehen werden. Es reicht die Vorlage eines Słubfurter Personalausweises.

Die „Słubfurter Mediathek“ ist ständig auf der Suche nach Mitarbeitern...

Zum Abschluss des Projektes werden die beiden Teile der „Słubfurter Mediathek“ aus Słub und aus Furt zusammengeführt und können als Wanderausstellung die Welt über Słubfurt informieren.

Ein Projekt von Michael Kurzwelly und Słubfurt e.V. in Kooperation mit der Stadtbibliothek Frankfurt (Oder), der Stadtbibliothek Słubice und Studenten der Europa-Universität Viadrina, sowie der Zeitschrift „Pro Libris“ aus Zielona Góra. Das Konzept entwickelte Michael Kurzwelly im Rahmen eines einjährigen Arbeitsstipendiums der Stiftung Kunstfonds in Bonn.



### **Rozwój nowych metod pomiaru tożsamości**

Mediateka musi oczywiście stawić czoła wyzwaniom nowoczesności i dlatego jest otwarta na innowacyjne pomysły i propozycje. Chodzi o otwarty proces, coś w rodzaju eksperymentu, którego wyniku jeszcze nie znamy. Jeden z numerów dwujęzycznego kwartalnika „Pro Libris“ zostanie poświęcony tematyce Mediateki Słubfurckiej. Efekty będą zaprezentowane w jednej z bibliotek miejskich. Studenci Uniwersytetu Europejskiego Viadrina w ramach seminarium nt. Słubfurtu zajmują się tym tematem przez kilka semestrów i angażują się w ten projekt poprzez własne poszukiwania i opracowania, a także przemyślenia na temat rozwoju Mediateki.

Wyniki dziewięciomiesięcznej pracy zostaną zaprezentowane w ramach dwutygodniowej multimedialnej wystawy końcowej w listopadzie 2010 r., a widzowie będą mieli okazję je komentować i uzupełniać.

### **Wypożyczanie materiałów z Mediateki Słubfurckiej**

Podobnie jak w każdej innej bibliotece, zbiory Mediateki można oczywiście wypożyczać. Wystarczy przedłożyć słubfurcki dowód osobisty.

Mediateka Słubfurcka wciąż poszukuje współpracowników...

Na zakończenie projektu obie części Mediateki Słubfurckiej, ze Słubu i Furtu, zostaną połączone i powędrują w świat jako wystawa objazdowa.

Projekt Michaela Kurzwelly oraz Słubfurt e.V. we współpracy ze Stadtbibliothek Frankfurt (Oder), Biblioteką Miejską w Słubicach i studentami Uniwersytetu Viadrina oraz czasopismem „Pro Libris“ z Zielonej Góry

Koncepcję opracował Michael Kurzwelly w ramach rocznego stypendium roboczego Fundacji Sztuki w Bonn.



# RECENZJE I OMÓWIENIA

## Maria i Odys

**Maria Miłek, *Maszt Odysa*, Wydawnictwo Organon, Zielona Góra 2008, 119 s.**

Debiut poetycki Marii Miłek jest pod wieloma względami przejmujący. Kolejny późny debiut, który ma tę Hoelderlinowską ciężką, ognistą dojrzałość owocu, niespieszącego się bynajmniej, aby już-już oklapnąć z gałęzi, lecz potrafi zawisnąć pomiędzy niebem i ziemią. W części jest to wynik wysokiej kultury literackiej, którą chciałabym osobno z uznaniem podkreślić, a w części – samych przywołań mitycznych. *Maszt Odysa* implikuje bowiem już tytułem doświadczenie podróży, zmiany, metamorfozy, przenikania z czegoś w coś i po prostu stawania się. To znamię dojrzalej percepcji: nas nie ma, my się stajemy. Na kolejnych etapach bywamy niepodobnymi do siebie istotami (gdyby je postawić razem i pozwolić wygłosić poglądy, pokłóciłyby się na długo). Autorka to pojmując, zaczyna tomik wierszem *Genesis*, pesymistyczną trawestacją Ewangelii św. Jana: Słowo, które było na początku u Boga,

u człowieka staje się milczeniem, cierniem, kamieniem, sznurem. To punkt wyjścia. W przestrzeni zakreślonej *Odyseją* milczenie staje się złotem (gdy mowa tylko srebrem), cierni atrybutem róży mistycznej, kamień zbawczą kotwicą, a sznur liną napinającą śmiałe żagle.

Nasuwa się pytanie o charakter powiązań mitów o tak odmiennym rodowodzie jak Biblia i Homer. Otóż *homer* po grecku to ślepiec. Ślepe dziady śpiewały *Iliadę*, *Odyseję*, chodząc sobie od wsi do wsi. I w starożytnym Izraelu działało się nie inaczej. Cały szereg postaci z greckiej mitologii pojawia się w scenarii biblijnej. Blisko ewangelicznych miejscowości, takich jak Cezarea Filipowa w Galilei, mieszkał sobie koźlonogi bożek Pan, syn ponoć Penelopy, która zdradziła Odysuseusza tylko raz, ale za to z całą dwunastką zalotników... W teźże samej Cezarei nad Jordanem Kronos pożerał swoje dzieci, a ich matka,

bogini Rea, uchroniła Zeusa, kryjąc dziecię do jednej z pieczar, nawiedzanych później przez Eliasza, a straszliwemu ojcu dając obwinęty w pieluszki menhir. Kiedy Jezus stąpał po ziemi, stroiły ją greckie świątynie, a gdzie nie było białych, marmurowych kolumn i rzeźb, tam stały prastare obeliski, sterczały na pastwisku ruiny asyryjskie, babilońskie albo tych najdawniejszych miast, gdzie składany był w ofierze święty król. Widać je zresztą nawet dziś, tak samo jak miejsca, gdzie Adonis się spotykał z Afrodytą. Po wyjściu z niewoli egipskiej Żydzi walczą z Filistynami – ta niewiele mówiąca nazwa oznacza jednak ludzi z Krety, a więc samej kolebki mitologii. Z kolejnych fal mitycznych i sakralnych ta ziemia próbowała się obmyć – dzisiaj zdobią ją nowoczesne autostrady, hipermarkety, stacje benzynowe, jako kolejna maska... No i Biblia, to także swoista Odyseja, tyle, że Odyseusz zmienił imię i jest zbiorowym bohaterem – Izraelem. A kto jest prawdziwym czy też Nowym Izraelem? Zapytajmy świadków Jehowy, adwentystów, Armię Zbawienia, popytajmy się w najbliższej synagodze albo u własnej cici... Każdy chce być Odyseuszem.

Jedynę zatem przykazanie tego archetypu – *navigare necesse est*. Maria Miłek nadaje „żeglowaniu” rangę właściwie jedynej powinności.

Czytam te piękne wiersze i przyznaję: niejedna „gorzka wyspa Ajaja” z żałobnymi cyprysami mija tak blisko burty, że wiosem prawie jej dosięgam. Minąwszy Boecklinowskie obrazy nabieramy garść wody morskiej w usta, przyzwoliwszy już, aby Itaką była nie jakaś konkretna sprawa, ale nieznaną kres. „Ważne są tylko te dni, których jeszcze nie znamy”, czyli po chrześcijańsku mówiąc: „bądź wola Twoja”. Tu zaś kolejny tekst podsuwa słowo: bunt. Wola boską byłby zatem bunt? Z mitycznej magmy skojarzeń autorki wyłania się pusty krajobraz po wielkim potopie – „a ja / przy jego ogniu siedzę / w kamiennym kręgu / bezradnego zdumienia”. Wyobraziłam sobie tę kobietę (androgyne? – podmiot liryczny przemawia w gramatycznym rodzaju męskim), siedzącą w kucki przy ognisku, wśród głązów jak w Stonehenge. Jest ubrana w zwierzęce skóry, potargana, trzyma w dłoni czarkę z napojem, po którym w oczach się mąci.

Każdy z wierszy składających się na ten *Maszt Odysa* można zobaczyć, doznać zmysłowo. Można ujrzeć zamierzchtë epoki, tak jakby czas, panicznie rozpędzony po prostej, naraz złożył się w jakiś kielich

czy kule: w coś, w czym pozostajemy wszechobecni, jednocześnie żywi i martwi, i mający się dopiero narodzić, pierwotni i ultranowocześni, a więc wpatrzeni w magnetyzujący, świetlisty ekran komputera, na którym toczy się gra mitycznych herosów, mitycznych bestii, wirtualnych światów. Tak przy okazji – współczesny człowiek niewiele ponoć czyta, z siedem minut na dobę poświęca na miłość i rozmowę z synem czy córką, nie chce już wytworów intelektu i pozornie odrzuca tradycje epoki klasycznej. Pozornie, gdyż grecka postać herosa została zastąpiona idolem, a jego wirtualny świat aż roi się od meduz, chimery, cyklopów, smoków, gryfów i gryłów, sfinksów i sfinx, godzilli, trolli, hobbitów i zombi. Właśnie taka symboliczna menażeria gwarantuje dziś oglądalność. Mitologiczna fascynacja i wiedza zmieniły tylko postać, miejsca zaś ongi uświęcone, a wyklęte w epoce chrześcijaństwa, z powrotem obnażają jakieś nieusuwalne prawdy o nas samych.

Chrześcijaństwo bowiem mija i to na naszych oczach. A przynajmniej ta jego wersja, którą chcieli uwiecznić instytucje kościelne, sukcesywnie zatykając nam oczy na obraz, na piktogramy, które w błyskawicznym skrócie potrafią łączyć oksymorony i paradoksy. Wojnę i pokój, miłość i nienawiść, udrękę i ekstazę. Chrześcijaństwo chroniło przed zgonną dociekliwością sceptycznego rozumu, przed solipsyzmem, indywidualnym nonkonformizmem, wreszcie przed wolnością w Erosie, suchy intelekt wszakże zawiódł świat na progi domu pokory. Byle zwierzę bywa mądrzejsze, bardziej humanitarne, zwłaszcza od człowieka. Chcemy znowu tańczyć z wilkami, a zarazem znać miarę i doznawać nieubłaganej woli bogów w razie przekroczenia granic, poza którymi świat traci świętość. Jakkolwiek powyższe słowa brzmią uczenie czy też patetycznie, *Maszt Odysa* mówi także o jednostkowym imperatywie przekroczenia granic stosowności (a nawet dotychczasowego ja), w sposób godziwy wszakże. Co to znaczy? Dlaczego nie być Kainem bratu swemu? Słynna Herbertowska „kwestia smaku”, to, po pierwsze, prawo do smakowania, do nieszukania ławizn w postaci gotowych podpowiedzi, podsuwanych przez kolejne pokolenia arbitrow moralności.

W tych głębokich wierszach warto zanurzyć się, werset po wersecie, zaufawszy autorce. Prowadzi nas szlakami raz znanymi, przez znane mityczne akweny, opisane tysiącokroć, aczkolwiek umie znaleźć w nich kotwicowiska, gdzie sprawy niby oczywiste

pokazują zupełnie nową twarz. Umie jednak powieść w krainy rzeczywistości bliskie symbolicznej wymowie *Odysei*, czyli tam, gdzie pojawia się Hades, albo tam, gdzie bohater traci cały łup i do swojej Itaki przybywa już jako żałosny staruch – tak żałosny, że śpi przy świńskim brzuchu, o sobie zaś mówi jako o niewolniku. Coś jednak tęskni w nas, aby nawet do takiej Itaki Prawdziwej dotrzeć z obecnego pseudoświata kamiennych ulic, zdjąwszy ciężar betonu znad głowy i siebie od życia nie oddzielać. Włączam tu słowa Marii jak własne. Ona też puentuje słowami Homera: do Odysa w Itace przyznaje się tylko pies.

Na koniec uwaga ogólniejsza: Odyseusz, król Itaki, bohater wojny trojańskiej, to w gruncie rzeczy Hermes – pisze znakomity hermeneuta Karl Kerényi, kładąc zresztą podwaliny pod nowe rozumienie religijności starożytnych. Otóż Hermes nie ma określonej płci ani wieku. Nie daje się zredukować do męskości, co oznacza, iż mityczna Penelopa na jakimś dalszym planie uosabia po prostu żeńską postać Hermesa-Odyseusza, tak jak Maryja uosabia w katolicyzmie prawie bez niedomówień żeński aspekt Boga. Penelopa to cierpliwość i wierność, niezbyt dzisiaj nęcący ideał żony bezgranicznie wyrozumiałej, nadto takiej, która, strawiwszy najlepsze lata życia na czekaniu (równy dwadzieścia lat), wychowuje samotnie syna. O ileż atrakcyjniejsze zdają się jej rywalki – diaboliczna Kirke, rozkoszna Kalipso... Penelopa jednak rozumiana jako element

nierozłączny ze swoim męskim pierwiastkiem (Odysem) ukazuje się jako *sensum aeternum* podróźowania; sama też momentalnie ożywa, kiedy widzimy ją nie w wyabstrahowaniu na zamku, gdzie oczekuje powrotu męża, ale w trakcie podróźowania. Jest, chciałoby się rzec, romantyką drogi, pięknem rozgwieżdżonego nieba nad pokładem, grozą szmaragdowych fal, całym bogactwem dziwnego doświadczenia. Przy tym – czymś, czego nie da się opowiedzieć Feakom: im mógł Odyseusz opowiadać o sprawach mniej tajemniczych. Mniej tajemnicze zatem było nawet jego doświadczenie śmierci!

Co też przystaje, jak myślę, do niniejszej książeczki. Prześlicznie wydanej i genialnie sprowadzającej *Odyseję* do... masztu. Bo cóż to znaczy: maszt? Z dumnego okrętu herosa został tylko maszt, na tym maszcie Odyseusz dotarł na brzeg, a wszystko inne zatoneło. Z sensów i wymiarów *Odysei* też zdaje się sterczeć nad wodą tylko maszt. Resztę zatopiły dwa tysiąclecia religijnej nudy, sakralnego przymusu, unaukowiania tajemnicy istnienia, wreszcie naukowej, filologicznej obowiązkowości, wskutek czego statystyczny osobnik naszych czasów zżyma się na rzeczywistość. Ma jej dość. Od komputerowych gier mitologicznych oderwać go może tylko megahit: nowa wersja Armagedonu. Tę obejrzy.

Urszula M. Benka

## Poezja Pluszki

Adam Pluszka, *Z prawa, z lewa*, Stowarzyszenie Literackie im. K.K. Baczyńskiego, Łódź 2000, 62 s.

*Z prawa, z lewa* jest drugą książką urodzonego w Zabrzu w 1976 r. roku Adama Pluszki. Książka powstała stosunkowo dawno, bo już dziewięć lat temu, a od tego czasu autor uraczył nas ośmioma nowymi książkami, mimo to *Z prawa, z lewa* wciąż zasługuje na kilka słów i można ją nawet zobaczyć teraz lepiej, nawet przez pryzmat późniejszych pozycji. Tomik Pluszki składa się z czterech części i ma się wrażenie, że autor z każdą kolejną rozpęda się, jakby w pierwszej próbował, w drugiej już umiał, a potem się doskonalił i dopiero po przeczytaniu całości widać, że tak właśnie być musi, że podmiot liryczny dojrze-

wa tu wraz z czytelnikiem z każdym kolejnym tekstem, obrazem i sloganem. Dużo jest w poezji Pluszki zaskoczeń – umiejętnie prowadzonego tekstu, dość konsekwentnym, konserwatywnym językiem łamanym nagle kolokwializmem, takie przejścia są bardzo współczesnej poezji potrzebne i autor wyraźnie już w swojej drugiej książce łamie, szuka, jakby nie chciał iść na łatwiznę i oglądać otoczenia z perspektywy chodnika, ale kiedy trzeba, schodzi z tego chodnika i wchodzi w głąb tego, co w otoczeniu najciekawsze. Nie jest to jeszcze zupełnie odrębny język, co zupełnie normalne na początku twórczości,

ale ten możemy u Pluszki znaleźć w kolejnych książkach, przede wszystkim w najlepszej moim zdaniem *French love. Z prawa, z lewa* jest jednak wartym poznania początkiem drogi autora, który już

w wieku 30 lat ma na swoim koncie kilka najważniejszych nagród literackich.

Karol Graczyk

## Niezwykły album

Heiting Manfred, *Helmut Newton – work*, Taschen 2003, 280 s.

Album *Work* jest katalogiem zdjęć, które znalazły się na wystawie upamiętniającej osiemdziesiąte urodziny znakomitego, jednego z najlepszych i najważniejszych fotografów XX wieku – Helmuta Newtona. Autor kochał metamorfozy, drzwi i lustra, które były symbolem przemiany. Te pozornie zazwyczaj statyczne zdjęcia, miały dla świata fotografii wielkie znaczenie i dzięki nim właśnie Newton doprowadził do pewnej przemiany w sztuce, ale i z niej wychodził, był głosem artystów w sprawie odzyskania przez kobiety należnej im estetyki i seksualności, chociaż z drugiej strony wszystkie „rekwizyty” pozostawały na swoich miejscach. Jakby chciał zmienić spojrzenie ludzi, nie ruszając się z miejsca. I zrobił to. Przemiana widzenia i ujmowania w akcie oraz portrety ciała kobiety, które jest czymś więcej niż miejscem utrzymywania płodu, jest czymś estetycznie pięknym, potrzebnym, niezwykłym, pełnym życia,

energii, seksualnych potrzeb i samym w sobie pełnym metamorfoz właśnie. Niewielu artystów miało tak duży wpływ na zwiększenie kobiecej przestrzeni, niewielu robiło to tak dobrze i tak swobodnie, bawiąc się w przeróżne serie, że wymienił chociażby sławne zdjęcia z manekinami, tzw. duże akty, które niejednokrotnie przedstawiały rzeczywistą wielkość modelek, czy zdjęcia rentgenowskie. Newton preferował plener, nie lubił zdjęć w studio, uważając, że kobieta nie siedzi na co dzień w studio przed białym tłem, ale też z drugiej strony przedstawiał te kobiety w sposób niecodzienny, również artystycznie. Trzeba dodać, że książka jest wykonana na świetnym papierze, co ogromnie ważne dla jakości zdjęć. Warta polecenia każdemu, nie tylko kochającemu fotografię, ale też estetykę czy wpływ sztuki na przemianę społeczną.

Karol Graczyk

## Widzimię, czyli *demiurg simulacrum*

Jerzy Suchanek, *Widzimię*, Wydawnictwo Literatura Net PL, Gdańsk 2008, 127 s.

Słownikowa definicja ‘widzimię’ to – własny pogląd, własne upodobanie nieliczące się z niczym. Tak właśnie widzimię jest realizowane w książce Jerzego Suchanka, pod takimże znamienym tytułem: *Widzimię*, wydanej przez wydawnictwo Literatura Net PL (Gdańsk 2008). Życie Widzimię – bohatera książki (poety), jego obecność w przeszłości i teraźniejszości oraz jego wyobrażenie o życiu, jest rodzajem ruchu ku sobie samemu, ku autorowi. Ten ruch to domagający się pogłębionej refleksji dar sprzeciwu. Dar sprzeciwu wobec zastanych

i zastałych struktur, wobec utartych mniemań, akademickich komunałów, ale nie takim sprzeciwem, jakim bywa udawany i przez to pusty gest. Ten sprzeciw ma tutaj walor głębszy. Pod pozorem niepopartej racjonalnymi przesłankami negacji jest widoczny obraz niepokojącego ducha, *demiurga simulacrum* właśnie. Poprzez kreację Widzimię następuje poszerzenie stanu umysłu. Za sprawą coraz to nowych ujęć Widzimię, nowych jego obrazów, ktoś (autor) kto się przez te wiersze wypowiada, kogo za nimi widzimy, wciąż staje się odmieniony, niejako

pomnożony. Dzięki stwórczej mocy narracji książki, Widzimię stanowi centrum wszechświata. Widzimię ma swój własny byt: żyjący w świecie materii, więc chorujący, myślący, więc wąpiący; ma wyrazisty status socjalny, społeczny, ustrojowy. Widzimię kwestionuje tezy religijne i filozoficzne:

Niebo gwiazdzone nade mną  
I Widzimię w mnie  
(*Widzimię Immanuela Kanta w reinterpretacji postmodernistycznej*)

Podobnie jak w tekście pod tytułem: *Wspólne Widzimię Pozarządowego Centrum Miłośników Drobiu oraz Europejskiego Rzecznika Większości Mniejszości Religijnych i Seksualnych w sprawie Kota Schrödingera*.

Widzimię jako simulacrum, jako byt otwarcie negujący świat, ma swoją rolę do spełnienia:

Widzimię / uwypukla / co / Ważne  
(*Widzimię medialne*)

W Widzimię ważny jest język – ascetyczny w wyborach stylistycznych, za to bogaty w kombinację leksykalną. Język Widzimię to rodzaj kolażu, który przecież zawsze coś niszczy, wywraca, dyslokuję, aby ulokować, relokować, umotywić w nowym zestawieniu (jak o kolażu w sztuce pisał Tomasz Żałuski). Dzięki takiemu właśnie podejściu do języka Jerzy Suchanek w zakresie słownictwa przełamuje stałe związki językowe, zderza na nowo poszczególne wyrazy, rozregulowuje ustaloną frazę, w związku z czym uzyskuje efekt groteski, zmiany sensu poszczególnych elementów. Ta zabawa słowem – bawi odbiorcę, wciąga czytelnika w rozgrywkę intelektualną. Wielokrotnie Widzimię przemawia w zaledwie kilku słowach (jednym nawet!), będących pointą samą w sobie. W wyśmienity sposób autor popuścił semantycznej smyczy i dał się ponieść, a przez to poniósł czytelnika w świat Widzimię.

Ba, Widzimię jest ironicznie wariantywne. Ma inny głos, zasób leksykalny dla dorosłych i dla dzieci: Zaszyszane

Kino / Kolaż / Kopulacja (widzi mi się, że w wersji dla dzieci to będzie: koedukacyjne śniadanie) [...]

Trawka! / (w wersji dla dzieci: kaczka indyjskie, takie same, jak mamusia zapala, gdy się wykąpie i czeka, aż się tatuś wykąpie).

Widzimię poprzez swoje założenie bywa świetne w rubasznym *obscenum* typu:

Buraczek wylizał Truskawkę  
Rzodkiewka obciągnęła Pomidorowi

(w wersji dla dzieci: Buraczek zamiast korepetycji z biologii u Rzodkiewki, wziął się za Truskawkę, tzn. zlizął je z Truskawki, no nie, też nie tak, widzi mi się, że najlepiej powiedzieć, iż Buraczek uwielbia truskawki ze śmietaną. Natomiast Rzodkiewka, zamiast dawać Buraczkowi korepetycje, zjadła zupełnie pomidorową; takie mieli Widzimię).

Widzimię jako kreacja, jako multiplikacja Widzimię (ze zwróceniem uwagi również na Widzimię czytelnika obupłciowego), co już we wstępie zostaje tautologicznie podkreślone: „Widzimię książka jest Widzimię przeznaczona do użytkowania/czytania, tak jak kobieta/mężczyzna są przeznaczeni do kochania (nie kochających i nie kochanych skreślić)”, nie jest bezbolesne. Poprzez kolejne strony obnaża, w obłąkańczym prawie nicowaniu życia Widzimię, rodzaj *deadline* intelektu.

Nie należy mylić tego z wpływem czytania Widzimię na odbiorcę, bo przecież „uspokoiono” czytelnika, iż czytanie Widzimię nie szkodzi i Widzimię nie nadweręża.

Ciekawe jest w książce zagadnienie – w czym kreacja Widzimię dostrzega poezję? Oczywiście, że w:

W Sole  
w Otoczakach  
Poezja  
(*Widzimię poezja*)

co jest jednak nie tylko autoreklamą poprzedniego tomu poetyckiego Suchanka pt. *Bębny* (2007), w którym lejtmotywy są między innymi Soła i otoczaki.

Kwestia kamienia w *Widzimię* pojawia się kilkakrotnie, zwłaszcza w wierszu zatytułowanym: *Przypowieść o Widzimię na Rozstajach – kanon*:

[...] Widzimię / wróciło / by zabrać / ze sobą / Kamień.

Podobnie jest w wariantowym wierszu *Przypowieść o Widzimię na Rozstajach – apokryf*. W cały ten motyw kamienia wpisuje się *Regulamin Nagrody Otoczaka*, którą autor od trzech lat przyz-

naje literatom, których ceni, a który w przewrotny sposób uczynił dziełem literackim wchodzącym w skład *Widzimię*. *Widzimię* ma ogromnie wiele kreacji – tyle, ilu jest możliwych odbiorców.

Muszę przyznać, że lektura *Widzimię* sprawiła mi więcej przyjemności niż lektura wierszy niejed-

nego (niejednej) z utytułowanych ostatniej dekady. *Widzimię* jest oryginalne, a przez to jedyne w swoim rodzaju. Widzi mi się, że to świetna książka poetycka.

Beata Patrycja Klary

## Eseje o Śląsku

***Śląsk. Rzeczywistości wyobrażone*, pod red. W. Kunickiego, przy współpracy N. i K. Żarskich, Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 2009, 561 s.**

Literatura śląskoznawcza, nie tylko naukowa, przeżywa swoisty boom od mniej więcej dziesięciu lat, od kiedy stała się elementem budowania tożsamości regionu, w tym zwłaszcza miast wiodących, takich jak Wrocław. Nie sposób tu wymienić najbardziej znaczących publikacji, nie narażając się na zarzut selekcyjności, dlatego kierując ułkon w stronę wszystkich germanistów, polonistów i historyków, których refleksji śląskoznawczej zawdzięczamy odmitologizowanie wielu faktów dotyczących historii regionu, zwróćmy uwagę na najnowszą publikację, która ukazała się wiosną b.r. w zasłużonej dla poznania niemieckiej historii idei, cywilizacji i mentalności serii Poznańskiej Biblioteki Niemieckiej pod redakcją wrocławskiego germanisty, specjalizującego się m.in. w dziedzinie literatury niemieckiej na Śląsku, Wojciecha Kunickiego, przy współpracy Natalii i Krzysztofa Żarskich.

Książka jest zbiorem esejów pisarzy, publicystów i historyków niemieckich o Śląsku od XVIII wieku do czasów nam współczesnych. Poprzedza go obszerny wstęp Wojciecha Kunickiego, a zamykają rozważania Jürgena Joachimsthalera, germanisty niemieckiego, związanego przez kilka lat z Opolem, który zajmując się naukowo m.in. problematyką śląską i mając za sobą kilka lat doświadczeń w pracy dydaktycznej z polskimi studentami germanistyki, pisze o zwłaszcza Śląsku przewrotnie, że jest on „w mniejszym stopniu przestrzenią geograficzną niż budzącym gorące spory obszarem znaczeniowym” (s. 491).

Rozeznaniu w materiale źródłowym i historycznej kontekstualizacji starszej eseistyki, w której tak poziom argumentacji, jak i retoryki miejscami znacznie różni się od dzisiejszego uzusu, służyć ma

obszerny esej wstępny Wojciecha Kunickiego. Na wszystko to, co od wieków po części z powodów emocjonalnych, po części dla celów politycznej instrumentalizacji, doprowadziło do zmitologizowania obrazu Śląska i narzuciło zarazem styl publicznego dyskursu, tu spogląda się chłodnym okiem. Autor podkreśla, że zamierzeniem tej publikacji nie jest odebranie komukolwiek prawa do subiektywnego oglądu, lecz jedynie zarejestrowanie różnych przejawów mitologizowania Śląska w zbiorowej wyobraźni, a ma przy tym na myśli „rzeczywistości wyobrażone” po stronie niemieckiej. Również z tego powodu wstęp jest swojego rodzaju przewodnikiem po gąszczu historycznych uwarunkowań, z którym czytelnika polskiego wypada oswoić. Dowiaduje się on m.in., że w ramach refleksji wewnętrzniemieckiej Śląsk zawsze oscylował między pozycją krainy „obcej” w obrębie własnego kraju a ambicjami tworzenia z nim jedności narodowej i tożsamościowej. Wojciech Kunicki nazywa ten wiecznie niedomknięty proces konstruowania tożsamości na przestrzeni wieków „projektami przyszłościowymi” (s. 8), pokazując tym samym fakt dla polskiego czytelnika zdumiewający, że tłem tych niemieckich rozważań na temat Śląska była od początku życzeniowość, bynajmniej niemająca

pokrycia w rzeczywistości i tym bardziej emocjonalna, im bardziej „projekt śląski” miał charakter postulatu. Śląsk w tej mozaice rozważań to przede wszystkim płaszczyzna rozmaitych projekcji bądź wizji, które wpisują się w kontekst potrzeb danej epoki – tak kultury dworskiej, jak i późniejszego okresu modernizacji. W tle konstruowanej wspólnoty kulturowej Śląska zawsze wszak jest obecny jeden stały element,



mianowicie jego wielokulturowość i wieloetniczność, którą okresowo dla potrzeb politycznych przestano konstrukcjami tożsamościowymi służącymi przewyżczeniu wyobrażeń o kulturowym i cywilizacyjnym zapóźnieniu regionu oraz kreowaniu obrazu pozytywnego w rozmaitej postaci. Właśnie to napięcie między stanem faktycznym a płaszczyzną zbiorowych pragnień, stanowiło od zawsze kontekst emocjonalny dla powstania prezentowanych tu tekstów o niekiedy dużym ładunku uczuciowym, zarówno tych będących pochwałą faktycznych osiągnięć, jak i zastępczo przypisujących istniejące kontrasty np. problemom narodowościowym. Ten wgląd w dyskurs wewnątrzniemiecki, w którym przeglądają się państwowe, zbiorowe i rodowe interesy, daje polskiemu czytelnikowi wyobrażenie o tym, jaki ciężar symboliczny miał Śląsk w różnych okresach swojej historii, która z perspektywy polskiej podlegała przecież zupełnie innej periodyzacji. Dobrze zatem, że wstęp nie narzuca perspektywy polsko-niemieckiej dyskusji historycznej, lecz wprowadza w różne nurty pamięci żyjące swoim życiem w obrębie samej kultury niemieckiej. W rozważaniach powraca też motyw napięć kulturowo-cywilizacyjnych na tle niejednorodności społeczno-narodowej regionu. Wojciech Kunicki podejmuje ten wątek wielokrotnie nie tylko dla pokazania, jakie było źródło antypolskiej propagandy, lecz również dlatego, że to przede wszystkim właśnie żywioł wielokulturowości zdaje się mieć znaczenie dla polskiej refleksji na temat Śląska w ostatnich latach. Stanowi ona idealny moment wspólny dla kreowania europejskości regionu, którą poprzedzić musi odmitologizowanie wyobrażeń polaryzujących, tak po jednej, jak i po drugiej stronie granicy. W kontekście odwiecznych i opisanych tu szeroko dążeń Śląska do wykorzystania szans rozwojowych, takie konstruowanie europejskości najpierw samego Wrocławia, a w przyszłości może w ogóle Dolnego Śląska, może dziś być postrzegane jako swojego rodzaju kontynuacja odwiecznych starań, tyle że przejętych przez stronę polską i służących właśnie wielokulturowości, czyli forsowanych w imię postępu i modernizacji całego regionu.

Tym, co z kolei od roku 1989 składa się na proces przyswajania Śląska, poświęca uwagę w eseju końcowym Jürgen Joachimsthaler. Jego wstępna uwaga, że Śląsk to obszar znaczeniowy otwarty pod względem semantycznym, odnosząca się wprost do ciągłego procesu krystalizowania się nowych jego

obrazów, przechodzi wprost w konkluzję, że spór jest nieunikniony, gdyż chodzi nie o prostą rzeczywistość społeczną i polityczną, lecz o rzeczywistość wyobrażeń, w której minione zastępowane są sukcesywnie następnymi. Tym chłodnym, ale i pojednawczym wnioskiem, autor przechodzi do opisu procesu „przyswajania” – starannie przez autora rozgraniczanego – Górnego i Dolnego Śląska po 1989 roku. Przytoczone przykłady synkretycznego łączenia polskiej i niemieckiej tradycji, prowadzące do powstania form mieszanych, czyli wprawdzie nie czystych, ale umożliwiających konsensus, postrzega autor z lekkim dystansem, lecz nie odbiera im wartości. Proces „przyswajania”, mocno zaawansowany na Dolnym Śląsku, miewa wprawdzie zabawne cechy, gdy chodzi na przykład o stworzenie dolnośląskiego stroju ludowego, okazującego się zlepkiem strojów z przeszłości, a tym samym, jak mówi autor, „metaforą”, ale to właśnie ona może zająć miejsce dawnych, dziś już na szczęście skazanych na niepowodzenie, prób scentralizowania i narodowo-patriotycznego zawłaszczania Śląska przez obie strony. Wyobrażenie, że taki model synkretyczny może funkcjonować ku obojłnemu zadowoleniu, tworząc nowe, integrujące, a nie wykluczające, poczucie przynależności, jest na razie najnowszym pomysłem na Śląsk w Europie.

Obydwa teksty spinają zbiór kłamrą, a co charakterystyczne, autorzy zajmują się „rzeczywistościami wyobrażonymi” bądź transferami znaczeń powstałymi lub powstającymi u sąsiada, czyli jakby z pozycji większego dystansu. Trzeźwe rozważania, że postęp w dyskusji o Śląsku w zasadzie osiągnany jest dzięki praktyce tematycznego eliminowania partnera konfliktu – ponoć w dobrej wierze – przez jedną i drugą stronę, uzupełnia obserwacja, że procesy tworzenia samoświadomości dzisiejszych mieszkańców śląskich miast wpisują się w terażniejszą epokę globalnego integrowania ze sobą rozmaitych tradycji. Jürgen Joachimsthaler nie nazywa tu wypierania trudnych momentów zjawiskiem normalnym, lecz ocenia je jako fikcyjne pojednanie, które ma się obejść bez partnerów konfliktu. Dostrzega jednak również, że jednocześnie wzorce identyfikacyjne z przeszłości integrowane są w obrębie „zbiorowej wizji poetyckiej”, jaką staje się na naszych oczach Śląsk, czyli że obok naturalnej „ciągłości krajobrazu” istnieje ciągłość kulturowa i możliwość kontynuacji. Zapewnia ona, że będzie ciąg dalszy wyobrażeń, którym tom jest w całości poświęcony.

Zaprezentowany wybór tekstów źródłowych obejmuje okres od oświecenia do współczesności, z uwzględnieniem zarówno konserwatywnego pisarza Gustawa Freytaga, jak i przedstawiciela naturalizmu, noblisty Gerharta Hauptmanna, socjalisty Arnolda Zweiga, jak i górnośląskiego prozaika Horsta Bienka. Umożliwia dzięki temu zapoznanie się z szerokim spektrum „rzeczywistości wyobrażonych” i pozostawia czytelnikowi swobodę własnej oceny poza narodową kłamrą interpretacyjną. Obszerne noty biograficzne oraz wybór najnowszej literatury przedmiotu służą dobrej kontekstualizacji. Książka jest niemalże projektem w całości „wrocławskim”, jako że tłumaczenia dokonali z Wojciechem Kunickim

germaniści wrocławscy – Natalia i Krzysztof Żarscy. Zbiór ten z pewnością spotka się z zainteresowaniem także w Lubuskiem, gdzie w wielu już publikacjach – choćby zielonogórskich – przebija się do świadomości społecznej zainteresowanie dla procesów kształtowania tożsamości regionalnej, np. poprzez wydawanie antologii, zbiorów eseistyki, poezji etc. w imię przeciwdziałania tabuizacji i kształtowania pamięci zbiorowej dla europejskiej przyszłości. Lektura niniejszego zbioru pozwala bez uprzedzeń prześledzić drogi takiej refleksji na przykładzie Śląska.

**Dorota Cygan**

## W świecie Aborygenów

**Mateusz Marczewski, *Niewidzialni*, Wydawnictwo Czarne, Wołowiec 2008, 179 s.**

„Opisać obrazy, które być może coś wyjaśnią, nakreślić jakąś prawdę” – to zamiar, cel, w tym przypadku niesamowicie ambitny, tej, dodajmy od razu, znakomitej książki. Efektu podróży jej autora do pierwotnych, autochtonicznych mieszkańców Australii, których biali, gdy tylko pojawili się na Antypodach, zaczęli rugować z żyznych ziem na nieużytki, w głąb kraju, a potem na obrzeża miast i miasteczek. Aborygenów żyje w Australii, według różnych danych, od ćwierć do pół miliona, czyli jeden-dwa procent wszystkich mieszkańców tego ogromnego kraju-kontynentu. Mateusz Marczewski opisuje ich, ich świat, przeszły i dzisiejszy, z kilku punktów widzenia, w sposób wysmakowany, wielobarwnym, precyzyjnym, a jednocześnie zmetaforyzowanym językiem. Niektóre opisy to niemal proza poetycka. I to bardzo wysokiego lotu.

Wejście autora *Niewidzialnych* w wewnętrzną, zmitologizowaną, archetypiczny świat Aborygenów wiązało się ze zwyczajnym, ludzkim strachem, jak wejście w każdy, nowy świat. Do tego jeszcze wyjątkowy. Redfern, dzielnica Aborygenów w Sydney, „wygląda jak po powstaniu... I jeszcze ogniska, i słalom pijanych mieszkańców tego getta... Szedłem tamtędy i byłem sztywny – pisze – jakbym znajdował się w klatce z drapieżnymi zwierzętami, zdany na ich łaskę”. Później wielokrotnie autor zdany będzie na łaskę Aborygenów, otaczającej ich przyrody, ogrom-

nych przestrzeni. I o tym także ta książka.

Marczewski powoli zbliża się do czarnych, pierwotnych mieszkańców Australii. To coś, tę jakąś prawdę, po którą się wyprawił, sobie i nam przybliża i wyjaśnia. Z każdym opisem poznajemy wewnątrz tego plemienia, jego duchowość, tożsamość, inność, osobność, mentalność. Jego duszę. Pierwotność, bez której trudno zrozumieć dzisiejsze zachowanie, poglądy i reakcje Aborygenów. Zbliża się, patrzy, poznaje i opisuje. Obraz, jak każdy rasowy reporter, najpierw oswaja, żeby jak dzikie konie nie pierzchnął mu sprzed oczu. Rozbija namiot „na granicy wsi i buszu” i czeka, co się stanie. Długo nic się nie dzieje. Wieś żyje własnym, powolnym, leniwym, odwiecznym życiem. Obcy jej nie interesuje. Dopiero po pewnym czasie przychodzi młody mężczyzna o imieniu Daniel i mówi trochę o sobie, trochę o wsi. Jest silny. Gdy uderzy, pojawia się krew. Robi bumerangi. Gdy rzuci bumerangiem w kangura, ten pada z rozbitą głową. To tylko naskórek tego młodego mężczyzny. Ma on jeszcze drugie życie, życie wewnętrzne, sporą wiedzę, uczy się. W pewnej chwili zapyta o Europę. Nosi w sobie mit Europy i mity rodzinne, klanowe, w których się jako dziecko wychował. Żyje pomiędzy tymi światami. To jest ten Daniel oglądany z bliska. Prawdziwy, pełny Aborygen.

Takich Aborygenów Marczewski spotyka niemal na każdym miejscu. Te sylwetki, znakomicie nakreślone, osobne, długo się pamięta. Oto sprzedawca obrazów, wydrążonych w drewnie, kolorowych rur, „chce, by ludzie byli szczęśliwi”, tak jak on jest szczęśliwy. Aby iść, dowodzi, nie trzeba zmieniać miejsca. I ten mędrzec wędrując poplątanymi drogami, nie zmienia miejsca. Pociąga nas to, co na końcu. A na końcu jest Nicość, która łączy się z niebem. Naszym ostatecznym miejscem.

Oto syn starego Harneya, Harney, strażnik aborygeńskiego etosu, przepastnych tajemnic, ale i odwiecznego prawa. To on odzyskał dla swego klanu zabraną przez białych „krajną Wardaman”. Z rządowymi ekspertami pojechał w busz, by po wielu kilometrach jazdy terenowym samochodem, a potem pieszej wędrowki pokazać „im miejsca święte i malowidła. ...Uwierzyli, bo ktoś, kto nie wychował się na tych ziemiach, nigdy by tam nie trafił”.

Życie Aborygenów toczy się powoli jakby na zwolnionym filmie. Marczewski delikatnie, tkanka po tkance, zdejmuje tę powłokę codzienności, by niewidzialne stało się widzialne. Bezruch opisuje ruchem, szarość kolorem. W kilku zdaniach zamyka sedno. Istotę. „Czasem jednak – zauważa – pomimo że do miasta pojedzie kilka rodzin, okazuje się, że nikt nie pomyślał o kupnie jedzenia na zbliżający się tydzień. Mówią: »Zdarza się, nie ma problemu, bro«. To ich cecha kulturowa, jakaś życiowa zaduma, która pozwala im zapomnieć o dniu jutrzejszym”. I te obserwacje, zauważone jakby mimochodem, to jest jeszcze jeden walor tej książki.

Świat Aborygenów, wyrzuconych przez białych osadników na margines, poza horyzont europejskiej cywilizacji, to świat duchów, mitów, zwierząt, chaosu, żelastwa pożeranego przez rdzę, abnegacji, alkoholizmu, narkomanii, przestępstw. Świat, gdzie pół życia można spędzić w łóżku albo przed blaszaną budą – domem na materacu, grając w karty, pijąc, paląc. Bydła nie trzeba pilnować, samo trzyma się zbiorników wody, wspólnego źródła życia ludzi i zwierząt. Biali stworzyli Aborygenom cudowny, kolorowy świat, który oglądają na ekranach telewizorów. Na zaśmieconych podwórkach, w domostwach, gdzie często jedynym meblem jest telewizor, mity współczesnej cywilizacji mieszą się ze starymi mitami pierwotnych mieszkańców Australii.

Marczewskiego cechuje niepospolita spostrzegawczość, niesamowity zmysł obserwacji, bez

których nie ma tego rodzaju literatury, jaką autor *Niewidzialnych* uprawia. Każdy szczegół, drobiazg, pozorny epizod, jak np. aresztowanie młodego Aborygena przez parę policjantów, widzi w jego złożoności i kolorystyce. Nadaje mu artystyczny, ale i etyczny wymiar. Oto opis spontanicznego tańca dwu Aborygenek. Tańca, który wyraża i wrażliwość, delikatność, i dzikość, i nieujarzmioną przez nikogo ludyczną swobodę. Zwierzęce pospołu z ludzkim. Pierwotne i współczesne. Coś z Natury i coś z kultury. Wydaje się, że z tymi Aborygenkami tańczymy wszyscy, tańczy cały świat. Jakby poza tym tańcem nic nie istniało. „I była ona – pisze Marczewski o jednej z tancerek – jak archetypiczna Wielka Matka, z której łona wypadał świat po kawałku, z której wszystko wyrosło, która siadając zaślaniała sobą całą ziemię”. Po tym tańcu Aborygenki powróciły do powszechnej codzienności, do swoich rodzin, gdzie kłócono się, pito, palono, zaśmiecano. Opisy Aborygenów zdają się mówić, że naród, plemię, człowiek tyle znaczy, ile znaczy w sztuce, w kulturze. Malowidła naskalne w Australii liczą dwadzieścia tysięcy lat. Może zatem malarstwo zaczęło się od Aborygenów? Z każdego obrazu, spotkania, zdarzenia, rozmowy, emanuje empatia Marczewskiego do tych ludzi, ich świata, tradycji, mentalności.

*Niewidzialni* kończą się sceną dramatyczną. Jakimś niespodziewanym powrotem pisarza do krainy dzieciństwa, krainy, która ocala, pozwala choć na chwilę zapomnieć o niebezpieczeństwie. W bezkسیężycową noc wielkie stado dzikich koni w poszukiwaniu wody otoczyło maleńki namiot, w którym przebywał autor ze swoją żoną. Głośniejszy szepc, jakieś poruszenie mogłoby ten tabun spłoszyć. A wtedy byłiby stratowani. „I tak leżeliśmy – czytamy – a one podchodziły coraz bliżej namiotu i w końcu gdzieś nad naszymi głowami jeden z nich przejechał pyskiem po brezencie i wciągnął powietrze. Potem je wydymchnął. I był to dźwięk, jaki wydawały farne organy u mojej babki we Wschowie, dźwięk miecha tłoczącego powietrze...” Ta babka ze Wschowy, to żona Eugeniusza Wachowiaka, poety i tłumacza, bo Mateusz Marczewski to ich wnuk.

Książka nie jest ilustrowana. I to jest także jej walor. W ten sposób Aborygeni w naszej wyobraźni stają się postaciami uniwersalnymi, jak postacie z powieści, dramatów, legend, mitów. Bez ich spowolnionego świata ten nasz świat, który pędzi na

feb na szyję, byłby uboższy i szary. I to nam Marczewski na każdej stronie tego znakomitego zbioru reportaży uświadamia. Niewidzialni pod jego świetnym piórem stali się w swojej pełnej duchowej złożoności, może ostatni tacy na naszej planecie, ludźmi widzialnymi. A to, zdaje się, był główny cel tej

książki, która znalazła się w finale konkursu literackiego Fundacji Kultury 2008. Nie wiem, czy w Australii ma już tłumacza i wydawcę. Jeśli nie, to powinno to nastąpić bardzo szybko.

Janusz Koniusz

## Potwierdzenie drogi

**Władysław Łazuka, *Noc – podróż i inne wiersze*, Wydawnictwo Książkowe Ibis, Warszawa 2009, 64 s.**

Związany od początków swej twórczości z lubuskim środowiskiem literackim Władysław Łazuka w tym roku obchodził Jubileusz 40-lecia. Był to zarazem dla niego rok owocny pod względem wydawniczym. Dla każdego pisarza ma to duże znaczenie. Tak się też składa, że od dłuższego już czasu poeta mieszkający w Choszcznie w Pro Libris publikuje swoje utwory, jak i jego dokonania są sukcesywnie omawiane. Poezję Władysława Łazuki cechuje silne zakorzenienie w dwóch żywiołach, które karmią żywymi obrazami jego natchnienie. Jeden, to rodowód wiejski i związany z nim etos, a więc żywioł społecznej przynależności, a drugi, to natura, z całym kosmosem zjawisk i sensualnych wyglądków. Te sprawy się ze sobą łączą, przy czym akcent różnorodnie jest kładziony. Powiedziałbym, że w książkach najnowszych najwięcej uwagi poeta poświęca obrazowaniu natury. Jak mało kto potrafi ją odczuwać, obserwować i rozumieć jej prawa oraz „obyczaje”. Na jego eksperckim spojrzeniu można polegać.

Zajrzałem czytelniczko do najnowszego zbioru *Noc, podróż i inne wiersze* i znajduję potwierdzenie obranej drogi, zarówno w sferze tematu, jak i postawy filozoficznej. Łazuka nie mówi wprost, że natura dla niego stanowi rodzaj wcielonego sacrum, poznawalnego przez dziejące się we wszystkich porach roku misterium istnienia: „Drzewa włożyły barwne szaty / w perełkach rosy pajęczyny / nieśmiało jeszcze grzeje / słońce” (*Jesień*), ale w istocie tak jest. Przyroda jest w tych wierszach nie tylko obok, ale i w ścisłym związku z człowiekiem, z podmiotem tych wierszy, z samym poetą. Ona go wspiera, on przez jej obraz rozpoznaje swoje ja. To bardzo ważny i piękny związek. Dla jego utrzymywa-

nia konieczne jest kultywowanie wewnętrznej wrażliwości i zachowywanie systemu wartości. Bylibyśmy w błędzie, gdyby na tej podstawie sądzić, że tak układająca się relacja ze światem otaczającym ma arkadyjskiej proveniencji kształt i bliżej jej do sielskiego spojrzenia aniżeli krytycznej analizy. Nie tak to wygląda. Poeta bowiem detalicznie, precyzyjnie, w szczegółach przedstawia swoje obserwacje, a poza tym dostrzega w niej dokonujące się zmaganie: „W splotach korzeni kret / drąży / światło / ciemności”, tudzież podmiot sam się trudzi, nie obcy mu jest wysiłek: „Między światłem i cieniem / zmagam się”. W konsekwencji wkracza w świat jego przeżyć refleksja, zamyślenie, próba ogarnięcia przebytej drogi. Nostalgiczna tonacja nie pojawia się bez powodu. Powściągliwie się przejawia. Wiersz *We mnie* to jeden z ważniejszych, gdyż obejmuje życiową całość. Nie prowadzi do jakiejś filozoficznej konkluzji, poza podkreśleniem znaczenia pamięci. Ale taki wiersz pisze się już wyłącznie z perspektywy całego dotychczasowego życia. Ten wiersz może też stanowić furtkę ku czemuś nowemu, a więc ku obrazowaniu egzystencji w kategoriach uniwersalnych, w poszukiwaniu sensu zdarzeń, scenek i obrazów. Zdawać by się nadal mogło, że poeta mówi ciągle li tylko o zmianach pór roku, a tymczasem chodzi o to, że „Tyle za nami godzin, lat / i myśl że nic się nie powtórzy”. Więc widać zatroskanie, pojawienie się poczucia rozdziału. Bo natura trwa i będzie trwać, a podmiotowi dostępny jest chyba coraz częściej „człowieczy ból / i tęsknota”. Coraz trudniej o proste uzasadnienia i proste poczucie stabilności. Choćby i dlatego, że młodość już daleko, kiedy muzyka Beatlesów otwierała drogę ku światu. Teraz zdaje się być prawdziwie ważna również materia uczuć, np.

w pięknym wierszu *Do...*, w wierszu również nostalgicznym i sumującym życie, w którym „nic nie wraca”. To nie tylko kwestia przewagi wierszy z motywami jesiennymi, to także całkiem realne zapoznawanie nowej kategorii egzystencji, jak w wierszu *Stary poeta*: „Czasami nie wie / co powiedzieć bliskim / i światu”. Bywa bezradny i samotny. Tym poetą może przecież być w jakimś zakresie również podmiot poetycki, chociaż nie tylko.

Czytelnik też zwróci uwagę na rozdział zawie-

rający cykl wierszy poświęcony gorzowskiemu poecie – mistrzowi Zdzisławowi Morawskiemu oraz jego żonie Marii. To są naprawdę dobrze napisane utwory pełne apoteozy przyjaźni i żalu, bo już „Nie ma Zdzisława”. Poeta – wędrowiec przebywa różne drogi. Czasami odbywa je za dnia, czasami w nocy, realnie lub w marzeniu. Każda z nich ma znaczenie.

**Czesław Sobkowiak**

## Wiersze z miłości

**Anna Żłobińska, *Stąpienie po szkle*, Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna, Gorzów 2009, 86 s.**

Muszę przyznać, że trochę inaczej (lepiej) czyta się książki ładnie wydane. Taką ładną książkę poetycką Anna Żłobińska wydała nakładem Wojewódzkiej Biblioteki im. Zbigniewa Herberta w Gorzowie. Książka jest w twardej oprawie, druk na papierze kredowym, opatrzona została ilustracjami Magdaleny Ćwiertni, które trafnie wkomponowano w treść tekstu. Autorka do tej pory nie publikowała wiele, bo pisała raczej „do szuflady”. Tytuł tego zbioru, o sporej nawet objętości, bo 86-stronicowej, od razu zwraca uwagę zawartą w nim, zasugerowaną na samym początku, w tytule, silną dawką drastyczności, żeby nie powiedzieć ekstremalności sytuacji, bo jakże inaczej odebrać sformułowanie: „Stąpienie po szkle”, w domyśle – rozbitym szkle. To może być szkło konkretne, po rozbitym naczyniu, więc można sobie wyraźnie uzmysłwić, że z tym chodzeniem musi być związany ogromny ból i cierpienie. Oczywiście w tomiku Żłobińskiej nie z taką sytuacją mamy do czynienia. Nie chodzi tu o jakąkolwiek formę realnego okaleczania ciała, a szczególnie stóp. Sens tego tytułu jest metaforyczny, stanowi uogólnienie osobistego doświadczenia życiowego bądź uczuciowego, z którym w zaprezentowanych zapisach poetyckich poetka się zmagą. I właśnie ów domyślny, sugerowany ból i cierpienie nie ze zranieniem fizycznym, ale duchowym, psychicznym ma głównie związek.

Można stwierdzić podczas lektury, że poetka, która debiutuje właśnie tą publikacją, opowiada niezwykle wyraziście historię jak najbardziej osobis-

tego pewnego rozdziału, pewnego zdarzenia. Tym zdarzeniem, które ma miejsce w jej życiu – można domyśleć się (bo jest to zasygnalizowane) – nie wolnym od kłopotów i trudności, jakiegoś rodzaju niespełnienia, jest miłość. Prawdziwa, wielka, namiętna, rozpalona, nie wolna od piętna, że jest „zakazanym owocem”, ale też jest to miłość podjęta w świadomej decyzji, jej podmiotowym wyborem. Bohaterka tych wierszy jej właśnie smakuje. Opowiadając o niej, a raczej wyrażając ją, ma świadomość, że publicznie: „Obnażam się w wierszu / wystawiam na pokaz” lub się spowiada. Taka też jest poetka tych krótkich wierszy wzorowanych na haiku, ale nie są to typowe haiku. Poetce nie chodzi o budowanie zawoalowanych poetycko i metrycznie skomplikowanych konstrukcji zdaniowych, obrazowych, wyposażonych w liczne, finezyjne porównania, ale o wykrzyczenie swoich myśli, doznań, uczuć i prawd. Toteż są te wiersze właśnie krótkie, bardzo krótkie, jednozdaniowe często, tyleż zabrzmią, powiadomią o czymś czytelnika, co zaraz milkną. Czyta się więc je jak rodzaj lirycznych zapisków towarzyszących przeżyciom. W tych zapiskach jest wszystko, co dla kobiety ważne, a więc autentyczna miłość, zaspokojenie fundamentalnego pragnienia bycia kobietą w całej pełni. Taka możliwość nie ma ceny, każdą jest zdolna zapłacić. Paradoksalnie, mimo bólu „nie czułam bólu”, życie podmiotu dostępuje pozytywnego przewartościowania we wszystkich aspektach: „I radość była we mnie / I myśli rodziły się o świecie”. Była w nim siła i odwaga, by podołać każ-

demu wyzwaniu, każdej nowej sytuacji. Przyznam, że jest w tych wierszach Anna Żłobińska bardzo szczerą, autentyczną i właśnie spontaniczną. Zarazem w swej erotyce, co ważne i duchowo właściwe, nie przekracza granic intymności, chociaż i nie unika scen bliskości kochanków. Spełnia się, ale jednak ma świadomość tymczasowości. „Obejmuję ramionami” – jakby rzecz była w powetowaniu sobie wszystkich krzywd i niedostatków życiowych. Czuje się spolecznie także napiętnowana: „ludzie w samo południe / Zgasili światło”, jej miłość traci niejako niewinność, do wnętrza wdiera się zgrzyt, rozdźwięk, nie może całkowicie wymazać poczucia grzechu (patrz wiersz *Ewa*), upadku czy poczucia winy: „Krzyż ciągnę po ziemi”. Wreszcie jest tu zapisane doświadczenie końca miłości, w rezultacie będącej jedynie „rozdziałem”, której „plany sięgały zenitu”. Ten znamieny moment osiągnięcia dystansu boli, zmienia się w

udrękę codzienności, w którą wpisana jest strata i ból „przedwczesnego umierania”. Bólem jest każde doznanie, a więc „stąpienie” odbywa się niejako „po szkłe”.

Myślę, że klarownie, spójnie, psychologicznie bardzo wiarygodnie cały ten splot wewnętrznych przeżyć został w tym zbioru przedstawiony. Odwagą jest tu zaprezentowanie tych wszystkich przeżyć z punktu widzenia kobiety dojrzałej, której życie w sformalizowanym związku się nie wiodło należycie. Nie zanadto mnie jednak przekonuje zaprezentowana w końcowej części zbioru nuta straceńcza, dotycząca „przejścia na drugą stronę życia”. To jest też jakiś „rozdział”, etap, który może warto poddać osobnemu opisowi i refleksji, bo nie oznacza on wcale końca doświadczenia egzystencjalnego, tylko nowy, inny jego wymiar.

**Czesław Sobkowiak**

## Opowiadania niejednoznaczne

**Paweł Huelle, *Opowieści chłodnego morza*, Wydawnictwo Znak, Kraków 2008, 221 s.**

Myśląc o morzu, oczyma wyobraźni widzę głębie, potęgę, siłę i tajemnicę. Hasło „morskie opowieści” budzi skojarzenia z portowymi tawernami, w których rubaszni marynarze śpiewają szanty, snują historie o swych przygodach i często pociągają z butelki rum. Sformułowanie „opowieści chłodnego morza” wprawia mnie natomiast w głęboką konsternację, graniczącą niekiedy z osłupieniem. Odczucia te stanowią bezpośredni efekt lektury najnowszego tomu opowiadań Pawła Huellego – zbioru tekstów, które pozostawiają w umyśle czytelnika wielki znak zapytania.

Bohaterami wszystkich historii są ludzie mieszkający obecnie lub w młodości nad brzegiem Bałtyku. Łączy ich nie tylko pochodzenie, ale również poczucie zagubienia w świecie, braku sensu istnienia, samotność oraz fakt, iż niespodziewanie stają się uczestnikami lub świadkami niezwykłych wydarzeń, które – niczym magiczne różdżki – otwierają w ich umysłach wrota pamięci i pozwalają dotknąć Prawdy. Czytając kolejne opowieści, miałam jednakże wrażenie, iż ów przywilej absolutnego poznania dostępny jest jedynie postaciom fikcyjnym, podczas gdy ja – prosta czytelniczka, niemająca dotychczas

kontakty z mistycznym Chińczykiem czy Indianką sprzedającą tatarak – w żaden sposób nie pojmuję przesłania danego utworu. Tę niemożność wytłumaczyć można bądź moją własną niekompetencją, bądź też dziwną wiarą autora, iż czytelnik jego książki objawiać będzie niezwykle zdolności do pojmowania tego, co nie pozwala się pojąć oraz przewidywania przyszłych zdarzeń. Jestem zdania, że takich właśnie umiejętności wymaga większość opowiadań, Huellego charakteryzuje bowiem skłonność do przerywania narracji w najmniej spodziewanych momentach oraz unikanie puenty bądź finalizowanie historii dziwnymi, luźno związanymi z fabułą stwierdzeniami w rodzaju: „Turbot był fantastyczny i absolutnie zdystansował dorsze” (s. 68). Ponadto jego teksty obfitują w mądre brzmiące aforyzmy, skłaniające do (bezowocnej) refleksji i w bardzo niewielkim stopniu tłumaczące, o co chodzi w danym opowiadaniu, np. „Sen nie jest marzeniem. Ani odbiciem. To druga strona twojej koszuli” (s. 113), „[...] każda rzecz na tym świecie ma swój pierwowzór” (s. 161), „W punkcie osobliwym [...] załamują się wszelkie prawa fizyki. Krzywe linie czasu zbiegają się

ze sobą. To coś w rodzaju pętli” (s. 208). Oczywiście nie przekreślam arcyzmu wszelkiej metafory. Utwór znacznie zyskuje w moich oczach, jeśli pociąga za sobą różnorodność odczytań, jednak opowiadania Huellego wydają się być do tego stopnia niejednoznaczne, że mogą znaczyć cokolwiek lub – równie dobrze – mogą nie znaczyć absolutnie nic.

Mimo iż każda kolejna historia przynosi ze sobą zagadkę niemożliwą do rozwikłania, tym samym skłaniając do jałowych rozmyślań i coraz bardziej irytując czytelnika, który zaczyna zdawać sobie sprawę, że im dłużej czyta, tym mniej rozumie – mimo tego trzeba przyznać, iż Huellego czyta się dobrze, przede wszystkim ze względu na piękny styl. Autor *Weiser Dawidka* bez problemu potrafi wyczarować w wyobraźni odbiorcy obrazy, postaci i zdarzenia. Łatwość i przyjemność odbioru to jeden z czynników skłaniających do dalszej lektury silnie zmetaforyzowanych i przesyconych niejasną (i jak się wydaje, niekiedy wprost niepotrzebną) symboliką utworów. Sprzyja temu również perfekcja edytorskiego opracowania książki. Wydawnictwo Znak zadbało o estetykę oprawy oraz tekstu, który pozbawiony jest błędów drukarskich i literówek. Dzięki nienagannemu wydaniu oraz lekkości pióra autora treść opowiadań zdaje się sama „płynąć” poprzez umysł czytelnika. Pytanie tylko, jakim płynie kursem? Jaki cel przyświeca lekturze *Opowieści chłodnego morza*? Czy w założeniu cel taki w ogóle istnieje, czy też autor pozwala swym tekstom dryfować swobodnie po toni Bałtyku? Czy istnieje jakikolwiek kompas, zdolny zawęzić pole możliwości interpretacyjnych?

Prawdopodobnie funkcję takiego kompasu pełnić mają powracające w opowiadaniach motywy. Byłby to przede wszystkim wielokrotnie w literaturze polskiej i światowej eksploatowany symbol Księgi jako źródła ostatecznego poznania. Interesujące jest, iż dla każdego z bohaterów przybiera ona inną postać: dla niektórych bywa Biblią, dla innych chińską Księgą Przemian lub katalogiem wysyłkowym sklepu z zabawkami. Ten niezwykły, wielopostaciowy wolumen zdaje się pełnić nie tyle funkcję informacyjną, co sentymentalną. Jego lektura budzi w bohaterach wspomnienia, które uśmierzają ból samotności i rozjaśniają szarą codzienność. Księga, wspomnienia, poszukiwanie sensu życia oraz pojawianie się dziwnych, tajemniczych postaci, o których była już mowa wcześniej, to elementy składające się na

schemat opowiadań Huellego. Powtarzalność tych motywów spaja cały zbiór tekstów, sprawia, że czytelnik zdaje sobie sprawę, że znalazły się one w jednym tomie nieprzypadkowo, z drugiej jednak strony powoduje, że lektura z czasem staje się monotonna i – paradoksalnie – „przewidywalnie nieprzewidywalna”, tak bowiem można by chyba określić nieustanną świadomość odbiorcy, że „za chwilę stanie się coś dziwnego” (na przykład autor postanowi zakończyć opowiadanie). Charakterystyczne dla tych opowiadań jest również łączenie realizmu z tym, co irracjonalne, niejasne, niemożliwe do wytłumaczenia. Życie ludzkie obfituje w niepojęte wydarzenia i zbiegi okoliczności, ale chyba nie w takim stopniu, jak wskazuje na to Huelle, w dowolny sposób splatając wątki (np. polski emigrant wraca do rodzinnego kraju, by porozmawiać tam z Chińczykiem; wdowiec odwiedza dawno niewidzianą siostrę w Polsce, widzi łyżwiarza wyglądającego zupełnie jak postać z obrazu, który zainteresował go kiedyś w muzeum, a następnie spotyka dawno zmarłą żonę; mężczyzna przybywa do Szwajcarii, by odebrać spadek po ojcu, poznaje tu kobietę, która przesładuje pewnego księdza i wraz z nią wyjeżdża do Włoch, przedtem jednak snuje wspomnienia o kolejce elektrycznej). Książka staje się zbiorem „punktów osobliwych”, w których „załamują się prawa fizyki”, a postaci często są psychologicznie nieprawdopodobne. Autor w każdym z opowiadań prowadzi czytelnika ścieżką nakreśloną niegdyś przez Prousta, z tym że funkcję magdalenki przywołującej tęsknotę za przeszłością przyjmują na siebie tatarak, cytat z *Eneidy*, widok kobiety z Czeczenii, hasło „Franz Carl Weber”. Niektóre skojarzenia wydają się tak dalekosiężne, że wprost nieprawdopodobne: „Mocny zapach jej perfum miał w sobie równocześnie coś bardzo delikatnego, co przypominało mu ogród babki Marii na południu kraju” (ponadto, co ciekawe, później bohater przyznał, że w tym momencie miał ochotę pocałować ową uperfumowaną panią). Śmiem sądzić, że nawet Marcel Proust, czytając o samotnych, zagubionych w chaosie świata, nieszczęśliwych duszach, które nieustannie wspominają i podróżują dokądś, choć nie wiedzą czemu, zastanawiałby się, czy nie lepiej byłoby zamknąć książkę i poszukać straconego podczas jej lektury czasu. Podejrzewam jednak, że czytałby dalej, choćby ze względu na interesujący charakter niektórych spośród przekazywanych nam przez Huellego historii.

Za szczególnie ujmujące uważam utwory utrzymane w klimacie legendy, takie jak *Depka – Rzepka* czy *Óland*, a także opowiadanie *Mimesis*, którego akcja rozgrywa się w czasie II wojny światowej i które stanowi zapis dziejów grzechu kobiety należącej do wspólnoty żyjącej ściśle według Słowa Bożego.

Niewątpliwą zaletą omawianych tekstów są również częste odwołania do ciekawych, niekiedy mało znanych realiów życia mieszkańców Pomorza, np. do kultury menonitów czy legend kaszubskich rybaków. Za wartościowe uznaję także opowiadanie *Pocztą rowerowa*, w którym autor nie tylko opisuje strajk gdańskich stoczniowców, ale również ukazuje różnice i podobieństwa między pokoleniami, tym samym nadając opowiadaniu wymiar uniwersalny. Nie przeczę zresztą, że reszta tekstów w zbiorze prezentuje wyższych idei, uogólnień, sensów, jakiegoś cennego przesłania. Twierdzą natomiast, iż odkrycie takiego przekazu wymaga wielkiego wysiłku intelektu, emocji i wyobraźni odbiorcy, który tak naprawdę nie tyle odczytuje znaczenie zako-

dowane w utworze, co tworzy je na potrzeby swojego własnego, skołowanego brakiem logicznego rozwiązania akcji, umysłu.

*Opowieści chłodnego morza* tchną prawdziwym, nadmorskim klimatem. Epatują melancholią, szarością, pustką i chłodem (na szczęście niekiedy zdarza się również ożywcza bryza), skłaniają do refleksji i budzą poczucie bezsilności – nie wobec fal, głębi i przestrzeni, ale wobec przekazu słownego, który – w przypadku autorstwa Pawła Huelle – nigdy nie jest jednoznaczny. Wydany w 2008 roku zbiór opowiadań autora *Weiser Dawidka* uważam za godny polecenia wszystkim, którzy lubią snuć refleksje dla samego faktu ich snucia, oraz tym, którzy nigdy nie mają dość słodyczy Proustowskich magdałenek, zdecydowanie natomiast odradzam takim osobom, które na tyle cenią sobie swój czas, że żadne ciastko – choćby najpiękniej polukrowane – nie jest w stanie wynagrodzić im jego straty.

**Agnieszka Szpylma**

## Czar tajemnic

**Ian R. MacLeod, *Wiekі światła*, Wydawnictwo MAG, Warszawa 2006, 400 s.**

Gdyby magia była obecna w naszym świecie, to jaką formę by przybrała? Czy objawiałaby się latającymi po niebie smokami, walkami na ogniste kule, możliwością zamiany ołowiu w złoto? A może byłaby niczym kolejna kopalina podobna do węgla i ropy? Istniałby wtedy cały przemysł wydobywczy zajmujący się jej pozyskiwaniem, a gdy na jakimś przyjęciu, poznając kogoś nowego, zadawalibyśmy pytanie: „Czym się pani zajmuje?”, usłyszelibyśmy w odpowiedzi: „Sprzedaję magię”. Wyobraźmy sobie, jaką potęgą dysponowaliby właściciele takich złóż, a im większa władza, tym większa pokusa nadużyć i malwersacji. Magia byłaby pożądana i zienawidzona zarazem, jak każde inne bogactwo. A czy wiedzą państwo, że istnieje taki świat niezwykle podobny do naszego, z jedną różnicą – eterem-magią, którą pozyskuje się jak inne bogactwa naturalne. Opisuje go I. MacLeod w książce pod tytułem *Wiekі światła*.

Śledzimy w niej losy mężczyzny wychowanego w małym robotniczym miasteczku, w którym

wszystko obracało się wokół wydobywania eteru. Przeznaczenie małego Roberta wydawało się z góry ustalone – urodził się tu, wychowuje, dorosł, wstąpił do cechu swojego ojca, ożenił, wychował własne dzieci i umrze. Tak wygląda życie większości ludzi od czasu odkrycia eteru – przypisani swoim cechom, bez szans na zmianę swojego losu. Losu często tragicznego, gdyż eter sam w sobie jest niebezpieczny dla ludzi, a ci, którzy go wydobywają, mają z nim największą styczność, mając z tego najmniej korzyści. Borrows buntuje się ostatecznie, gdy złowrogi wpływ eteru dotyka jego matkę – ucieka do Londynu, gdzie dorastając, poznając życie biedoty w wielkim mieście, szukając swojego miejsca w świecie, flirtując z pomocą pięknej, tajemniczej kobiety poznanej w dzieciństwie w wielkim świecie, szykuje się do rewolucji. Wszystko szło dobrze – nawet kończące się złoza eteru sprzyjały ideowcom – gdy magii ograniczającej wszelki techniczny postęp nie będzie, trzeba będzie coś zmienić, a władza największych cechów



zostanie ukrócona. Wszystkie podziały społeczne zostaną zniesione, czy raczej wywrócone do góry nogami – znajome? Zakończenie też nas nie zadziwi.

Powieść ta nie spodoba się wszystkim, jest dość przewidywalna, ale i niepokojąca, ponura, bez happy endu, nie zaskakuje, nie ma tu spektakularnych pościgów samochodowych, nagłych zwrotów akcji, zagadek kryminalnych. Są za to mroczne tajemnice, jest to coś, co urzeka i wciąga, czaruje i uwodzi, coś co sprawia, że tę książkę smakuje się jak najlepszy alkohol, coś co nie pozwala odłożyć jej na półkę przed przeczytaniem ostatniej kartki, coś co sprawia, że nie czujemy się rozczarowani po zakończonej lekturze. Dla jednych tym tajemniczym składnikiem

będzie piękny, wysmakowany język, dla innych przejmujące, barwne opisy przywodzące na myśl Dickensa, dla innych sam eter, niezwykle niebezpieczny, trudny do okietznania, ale wykorzystywany do wszystkiego. Być może będzie to historia życia głównego bohatera, pozostawiająca przeświadczenie, że nawet w świecie gdzie magia jest tak realna, nie ma nic za darmo, natura ludzka jest taka sama, są bogaci i biedni, a przepaść między nimi jest tak wielka, a tak upragniona rewolucja nie przynosi oczekiwanych zmian. Poruszająca, gorzka w wymowie, pozostająca w pamięci na długo.

**Magdalena Stolarska**

## Niebieski azyl. Rytm Magdaleny Gryski

*Błękitna melancholia*, wystawa w Galerii Wieża Ciśnień, Konin 2009

Wystawa *Błękitna melancholia* w Galerii Wieża Ciśnień w Koninie jest odbiciem tych momentów w życiu, kiedy człowiek z wewnętrznej potrzeby powinien być sam. Pamiętamy, jak bohaterka Kieślowskiego: *Trzech kolorów: Niebieski*, szuka ciszy, pływając. W nawiązaniu do tych obrazów Magdalena Gryska namalowała własne. Tematem długiego cyklu są baseny. Ma wpisane w życiorys artystyczny barwy wody, przestrzenie jezior i rzek. Tym razem naturalne brzegi zastąpią kafelki.

*Ten basen jest pusty – dla podkreślenia, że jestem tu tylko ja sama, z tym, z czym przyszedłam* – powiedziała widzom, stojąc przed zestawem swoich monumentalnych płócien w centrum ekspozycji.

Zadziwiające, ile może być ukrytego życia w regularnych kształtach basenu, jeśli ona potraktuje go jako medium. Formy geometryczne, skądinąd obojętne duchowo, zyskują walor podskórnej aktywności – utrzymują w ryzach żywioł wody.

Na innych obrazach pojawia się pływaczka, istota zalana wodą, która wytyczy sobie drogę w ekstremalnych warunkach. Równie silne sugestie płyną z obrazów, których tematem jest czas. Tu dominują

brązy. Płótna dużych formatów zapisują malarskim *pismem obrazkowym* radość życia, poddaną przemianom. Korespondują z nimi małe obrazki, ułożone w cykle. Bliskie osoby, miejsca, przedmioty będą się stopniowo zacierać, aż zastąpią je na płótnach puste kwadraciki koloru lub ledwie czytelne, nostalgiczne plamy. Jak zauważa artystka, wszystko jest ważne: od dziania się, po słabnące refleksy w pamięci i sentymentach.

Magdalena Gryska operuje własnymi symbolami. Mocne linie prowadzą rytmy. Czasem ujmują jakby w nawias człowieka z jego sytuacją, kiedy indziej ujawniają drogę jego minionego życia. Artystka nazwała te czerwone linie rodzajem *swojego krwioobiegu*.

Błękitne wody, czyli przestrzenie indywidualnej wolności, istnieją, aby człowiek swobodnie pływał – na przykład tworzył sztukę. Pływanie to pokonywanie napięć, dążenie do harmonii. Czas określa jednostkę niejako wbrew jej samej. W obu przypadkach kondycja ludzka zostaje zapisana przez podmiot artystyczny – jego własnym życiem.

**Anna Dragan**

# KRONIKA LUBUSKA

czerwiec – sierpień 2009

- Na zielonogórskim deptaku z okazji Dnia Dziecka (1 czerwca) zaprezentowały się przedszkolaki z 11 placówek. Maluchy przedstawiły bogaty program artystyczny; wystąpiły m.in. dzieci z grupy Chichoty z Domu Harcerza.
- Tego samego dnia w Zielonej Górze, w Galerii Grafitt odbyła się Interaktywna Wystawa Robotów.
- 2 czerwca w kościele pw. Najświętszego Zbawiciela miał miejsce recital organowy Wielfrieda Wilke, organisty, pedagoga, dyrygenta, dyrektora muzycznego okręgu Cottbus. Artysta wykonał utwory Bacha, Mendelssohna, Fischera, Guilmana.
- W sali dębowej Biblioteki Norwida odbyła się prezentacja klubów i zespołów ZUTW pt. *Osiem-nastolatek na estradzie* (2 czerwca).
- W holu Wojewódzkiej i Miejskiej Biblioteki Publicznej swoją wystawę *Urok srebra w biżuterii* zaprezentowała artystka Aneta Pabjańska-Moskwa (2-19 czerwca).
- 3 czerwca na Placu Bohaterów miał miejsce piąty integracyjny happening *W gorącej Hiszpanii* zorganizowany przez ZSS nr 1 i Zespół Szkół Plastycznych. Była to inicjatywa z cyklu Otwartych Działań Twórczych.
- W tym samym dniu Małgorzata Kalicińska, autorka cyklu powieści: *Dom nad rozlewiskiem*, *Powroty nad rozlewisko*, *Miłość nad rozlewiskiem*, była gościem Czwartku Lubuskiego w klubie Pro Libris księżnicy zielonogórskiej.
- 4 czerwca świętowano obchody 20. rocznicy wolnych wyborów. Pod dawną siedzibą Komitetu Obywatelskiego Solidarność przy ul. Grottgera w Zielonej Górze, odsłonięto tablicę pamiątkową.
- Teatr Zza boru wystawił 5 czerwca w zamku w Zaborze przedstawienie plenerowe *Kroniki Zaborskie cz. I – hrabia Cosel* w reżyserii Jana Andrzeja Fręsia. Udział w spektaklu wzięli aktorzy teatru, Bractwo Rycerskie z Zielonej Góry, Teatr Ognia Suri i mieszkańcy wsi.
- W niedzielę, 7 czerwca na deptaku w Zielonej Górze obchodzone Festiwal Nauki zorganizowany przez Uniwersytet Zielonogórski. Hasło tegorocznej edycji brzmiało *Środowisko a cywilizacja*.
- W zielonogórskim amfiteatrze 8 czerwca kabaret Ani Mru Mru wystawił program z okazji 10-lecia swojej działalności. Koncert poprowadził Piotr Bałtroczyk.
- 9 czerwca w Instytucie im. Edyty Stein w Zielonej Górze otwarto wystawę *Twarze zielonogórskiej bezpieki (1945-1990)*. Zaprezentowano fotografie i biogramy czołowych funkcjonariuszy zielonogórskiego aparatu bezpieczeństwa.
- Tegoż dnia w Hydro(za)gadce odbył się finał eliminacji strefowych Studenckiego Festiwalu Piosenki – Zielona Góra 2009. Gościem wieczoru był Jarosław Wasik – członek poetyckiej Krainy Łagodności, znany z autorskich płyt *Nastroje* i *Zielony z niebieskim*.
- W tym samym dniu w Teatrze Lubuskim odbył się II przegląd spektakli teatralnych *Kochajmy bajki*, w którym wystąpili rodzice przedszkolaków.
- W Cinema City w Zielonej Górze miała miejsce uroczysta Gala Filmowa, podsumowanie konkursu *Zanim na YouTube, pokaż swój film w Klubie*, organizowanego przez Gimnazjum nr 2 (10 czerwca).
- XI Międzynarodowy Festiwal Muzyczny Form Artystycznych Jednoczącej się Europy pod nazwą *Abyśmy Byli Jedno* odbył się 11 czerwca w Łagowie.
- Niemieccy artyści (Jan Brokof, Antje Schiffrers, Sven Johne, Wiebke Loeper, Peter Kees) zaprezentowali w galerii BWA w Zielonej Górze wystawę *Erinnerungsland/Kraj wspomnień* (12 czerwca).
- Tego samego dnia Klub&Restauracja AvanGarda oraz Kopalnia Wolnego Czasu zorganizowali wieczór autorski Moniki Sawickiej. Pisarka opowiedziała o swojej najnowszej książce *Siedem Kolorów Tęczy*.
- W Nowej Soli od 13 do 14 czerwca trwało Święto Solan. Przygotowano m.in. widowisko muzyczne poświęcone twórczości Michaela Jacksona. Z koncertem wystąpił także zespół Dżem.
- 15 czerwca w Lubuskim Teatrze odbył się koncert zespołu wokalnno-tanecznego Chichoty.
- Tego samego dnia w sali widowiskowej Społecznego Ogniska Artystycznego otwarto wystawę prac Katarzyny Krok *W tańcu*.

- Wydział Artystyczny UZ zorganizował 16 czerwca wystawę prac studentów Katedry Sztuki i Kultury Plastycznej.
- 17 czerwca w Klubie Uniwersyteckim Kottownia wystąpił zielonogórski kabaret Nowaki.
- Również tego dnia w Hydro(za)gadce wystąpiła nowa formacja Zielonogórskiego Zagłębia Kabaretowego – Niedopary.
- Natomiast 17 czerwca w Piwnicy Artystycznej Kawon odbył się półfinałowy koncert konkursu muzycznego RČAK w Zielonej Górze. Wystąpiły gorzowskie grupy: Podróbka i Alter, zielonogórskie: Bezsensu, Sznuroofki i Instant Blues oraz żagańsko-zielonogórski: Syndrom i Bauagans z Żar.
- Od 17 czerwca w Muzeum Ziemi Lubuskiej prezentowano wystawę *Dzwonki i janczary z kolekcji Mariana Łysakowskiego*. Ekspozycja była czynna do 23 sierpnia.
- W Klubie Jazzowym *U Ojca* 18 czerwca koncertował zespół The Conception z gościnnym udziałem saksofonisty Piotra Barona.
- Z inicjatywy NBP oraz WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze 18 czerwca 2009 r. odbyło się spotkanie upamiętniające 20. rocznicę wyborów 4 czerwca 1989 r., połączone z promocją monety okolicznościowej i monet kolekcjonerskich z serii *Polska Droga do Wolności*.
- Także 18 czerwca w Muzeum Ziemi Lubuskiej miała miejsce promocja książki Alfreda Siateckiego *Klucz do bramy, rozmowy nieautoryzowane albo nieodbyte o przeszłości Środkowego Nadodrza*.
- 19 czerwca w sali dębowej Norwida odbyła się promocja książki Lucjana Fokszana i Juliana Stankiewicza *Historia Stowarzyszenia Pionierów Zielonej Góry*. Książkę tworzy kalendarium najważniejszych wydarzeń w dziejach Stowarzyszenia od 1985 r.
- Podobnie 19 czerwca w Galerii Pro Arte zaprezentowano wystawę malarstwa Katarzyny Wesołowskiej-Waszkowskiej.
- W terminie 19-21 czerwca odbył się najstarszy w Polsce, istniejący od 1937 r., VIII Konkurs Muzyki Ludowej w Kopanicy.
- W amfiteatrze zielonogórskim wystąpił Kabaret Moralnego Niepokoju z najnowszym programem *Trasasasa* (21 czerwca)..
- We wtorek, 23 czerwca w galerii Arka odbył się wernisaż malarstwa zielonogórskich artystów *Z krajobrazem w tle*.
- W Muzeum Ziemi Lubuskiej z wykładem wystąpił Marian Łysakowski. Mówił o *Dzwonkach w kulturze materialnej* z cyklu Studium Wiedzy o Sztuce i Historii (24 czerwca).
- 25 czerwca Galeria Pro Arte zielonogórskiego ZPAP zorganizowała dyskusję nad *Estetycznym aspektem przestrzeni publicznej starej zabudowy miasta Zielona Góra*.
- W piątek, 26 czerwca odbyła się gala rozdania Leonów 2009 – nagród na najpopularniejszego aktora i aktorkę Lubuskiego Teatru.
- Muzeum Ziemi Lubuskiej od 27 czerwca prezentowało wystawę *Satyra Sławomira Łuczynskiego*.
- Także 27 czerwca w Zatoniu zorganizowano Foto Day. Uczestnicy spotkania mogli otrzymać fachową poradę od fotografa Pawła Janczaruka, którego przy wyborze najlepszych fotografii wspierali inni specjaliści.
- 29 czerwca odbył się kolejny wieczór kabaretowy wieńczący wiosenny cykl: *Stały Punkt Programu*. Tytuł piątego spotkania to *Debestoff*.
- 30 czerwca w siedzibie Radia Zachód w Zielonej Górze, w Galerii Twórców Galera otwarto wystawę malarstwa Urszuli Widźgowskiej pt. *Kobiety i manekiny*.
- VII Festiwal Jazzowy – Róże Jazz Festiwal. Rozpoczął się w piątek, 3 lipca w Zielonej Górze.
- W dniach 4-5 lipca na zielonogórskim deptaku odbył się V Międzynarodowy Festiwal Teatrów Ulicznych BuskerBus.
- W Zbąszyniu rozpoczął się IX Międzynarodowy Festiwal Artystyczny Experiment. Widzowie mogli podziwiać: występy muzyków, tancerzy, aktorów, pokazy plastyczne i filmowe (5 lipca).
- 9 lipca w Zielonej Górze rozpoczął się pokaz filmów Grzegorza Lipca i grupy Sky Piastowskie.
- W zielonogórskim amfiteatrze odbył się Festiwal Piosenki Rosyjskiej. Wystąpili artyści: Lew Leszczenko, Valeria oraz zespoły Gorod 312, Ivanushki International i Lube (11 lipca).
- Otwarcie V Międzynarodowego Festiwalu Kina Autorskiego Quest Europe miało miejsce w Zielonej Górze, 12 lipca. W programie m.in. projekcje z Rumunii, Wielkiej Brytanii, Niemiec, Czech, Kanady, Polski.
- 13 lipca formacja jamajskich rytmów Creska otworzyła pierwszy dzień festiwalu Reggae nad Wartą w Gorzowie Wlkp.

- W ramach Lata Muz Wszelakich w kinie Newa 15 lipca wyświetlono bajki ze Studia Se-ma-for z cyklu *Niezapomniani bohaterowie*.
- W sali widowiskowej Zboru w Sulechowie 16 lipca odbył się koncert Lubuskiej Orkiestry Kameralnej pod dyrekcją Jerzego Salwarowskiego. Solistami byli: Anastazja Łysenko – skrzypce, Natalia Kruczek – mezzosopran, Hubert Salwarowski – fortepian.
- Również tego dnia, w Zielonej Górze w Piwnicy Artystycznej Kawon w premierowym programie *Być sobą* zaprezentował się kabaret Hlynur.
- W piątek, 17 lipca w 4 Różach dla Lucienne odbył się koncert formacji Artur Lesicki Acoustic Harmony.
- W zielonogórskiej restauracji Essenza miało miejsce spotkanie z muzyką na żywo *La viva Espania* (18 lipca).
- W Nowym Miasteczku odbył się projekt *Bluesobranie Krwiodawców*, czyli Ogólnopolski Festiwal Muzyki i Życia (19 lipca).
- W ramach Festiwalu Kina Autorskiego Quest Europe w ogródku Straszego Dworu wyświetlono sześć filmów komediowych (19 lipca).
- BWA zorganizowało 20 lipca Letnie Spotkania Młodych Twórców
- 21 lipca w sali widowiskowej SDK w Sulechowie zaprezentowano wystawę malarską Darka Milińskiego. Obrazy podziwiać można było do końca miesiąca.
- 23 lipca rozpoczęła się Biesiada Zorba, zorganizowana przez Zielonogórski Ośrodek Kultury. Spotkanie zainaugurował narodowy taniec grecki sirtaki. W programie znalazły się także inne melodie i tańce greckie.
- Skandynawski zespół Jazz Kamikaze wystąpił jako gwiazda Róże Jazz Festiwal 24 lipca.
- Na zakończenie Sceny Letniej w Gorzowie Wlkp. teatromani oglądali dramat *Kamienie w kieszeniach* Marie Jones. W jednej z głównych ról wystąpił Bartek Kasprzykowski (25 lipca).
- W gorzowskim amfiteatrze 26 lipca wystąpił zespół Feel, laureat Bursztynowego Słowika, Fryderyka i Telekamery.
- 27 lipca w Zielonej Górze rozpoczął się X Międzynarodowy Dziecięcy Festiwal Folkloru. Występy festiwalowe uświetniły zespoły z czterech kontynentów, m.in. grupy z Tajwanu, Argentyny, Mołdawii i Włoch.
- W Lubuskim Teatrze 29 lipca formacje kabaretowe zaprezentowały program *Zgaga*.
- Zielonogórski Ośrodek Kultury zorganizował 30 lipca biesiadę Czeską i Słowacką. Koncert obejrzeć można było na deptakowej scenie przed Lubuskim Teatrem.
- 31 lipca ruszyła pierwsza impreza w ramach Wakacji z Galerią u Jadźki. Było to święto plonów, a w nim tradycyjny konkurs kisenia ogórków. Pomysłodawcą imprezy jest Piotr Nowak, muzyk FZ.
- Od 1 sierpnia w zabytkowych salach Pałacu Książęcego w Żaganiu rozbrzmiewała muzyka klasyczna w ramach XXII Letniej Akademii Muzycznej.
- Uroczystą galą w zielonogórskim amfiteatrze zakończył się X Międzynarodowy Dziecięcy Festiwal Folkloru.
- Kostrzyn nad Odrą od 31 lipca do 2 sierpnia gościł 15. Przystanek Woodstock. Na imprezie obecny był Lech Wałęsa w ramach uczczenia 20 lat niepodległej Polski.
- Kolejna odsłona kreskówek w zielonogórskim amfiteatrze – w ramach Lata Muz Wszelakich 5 sierpnia w kinie Newa wyświetlano filmy z kultowym Reksiem.
- Z cyklu *Bajki, bajdy, banialuki* Studio Teatralne Guliwer z Zielonej Góry dało przedstawienie *Przygody Marka Wagarka* 6 sierpnia w amfiteatrze.
- W piątek, 7 sierpnia w gorzowskim amfiteatrze wystąpił kabaret Ani Mru Mru.
- Z okazji otwarcia nowoczesnego placu zabaw w Ochli, w sobotę 8 sierpnia odbył się koncert Majki Jeżowskiej.
- Zielonogórska Noc Kabaretowa z udziałem największych gwiazd polskiej sceny kabaretowej miała miejsce w amfiteatrze, 9 sierpnia. Fani podziwiać mogli występy m.in. Stanisława Tyma i Jerzego Kryszaka, a także rodzimych grup, takich jak: Słuchajcie, Słoiček po cukrze. Całość poprowadził Piotr Bałtroczyk.
- 13 sierpnia w Galerii Arka odbyło się otwarcie wystawy *Piękno w dziełach lubuskich artystów*.
- 14 sierpnia w Galerii u Jadźki wystąpiła Grupa Rogala. Zespół gra muzykę country w różnych odmianach, a także blues, folk i rock.
- Trio Nothing But Swing wystąpiło w 4 Różach dla Lucienne jako kolejna odsłona Jazz Róże Festiwal.
- 16 sierpnia w ogródku Straszego Dworu za sprawą wyświetlanych filmów można było przenieść się prosto do Rumunii. Pokazano m.in. *Miejski Manifest*, *Pewnego dnia w pociągu*.

- Zielonogórskie Wyższe Seminarium Duchowne w Gościkowie-Paradyżu po raz siódmy zorganizowało Festiwal *Muzyka w Raju* (19-23 sierpnia).
- Urszula Anna Zdanowicz 21 sierpnia. wystąpiła z koncertem piosenek żydowskich w podwórku Galerii u Jadźki.
- W Zbąszyniu w dniach 22-23 sierpnia odbywał się VI Jarmark św. Piotra połączony z dożynkami diecezjalnymi.
- W ramach Lata Muz Wszelakich 25 sierpnia odbył się pokaz nieba przy wykorzystaniu teleskopu astronomicznego. Akcja przebiegała pn. *a niebo gwiazdziste nade mną ...* na Wzgórzu Winnym przy Palmiarni.
- 27 sierpnia w ramach imprezy pt. *Orkiestrada* wystąpiły Parafialna Orkiestra Dęta Fermata Band z Nowej Soli oraz Świebodzińska Orkiestra Dęta.
- 29 sierpnia w Zielonej Górze, w ramach Lata Muz Wszelakich odbyła się impreza pt. *Operetkowe szlagiery*. W trakcie koncertu uczestnicy wysłuchali najpiękniejszych i najbardziej znanych arii z operetek w wykonaniu solistów z wrocławskich scen.



# KSIĄŻKI NADESŁANE

Dorota Angutek, *„Obcy” w przestrzeni kulturowej współczesnej Europy*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 128 s.

*Emigracja z Kłępska i okolic do Australii w 1838 roku/ Auswanderung aus Klemzig und Umgebung nach Australien in 1838*, pod red. Anitty Maksymowicz, Gmina Sulechów Muzeum Ziemi Lubuskiej, Sulechów 2009, 256 s.

Maria Jolanta Fraszewska, *Z wiatrem*, ART-DRUK przy RCAF, Zielona Góra 2009, 72 s.

Viktoria Korb, *Śmierć naukowca*, Wydawnictwo L&L, Gdańsk 2008, 202 s.

Sławomir Kufel, *Fragmenty mozaiki. Szkice i materiały z czasów oświecenia*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 186 s.

*Küstrin-Kostrzyn. Sięgając w przeszłość./ Küstrin-Kostrzyn. Ein blick in die Vergangenheit*, Księgarnia Akademicka, Zielona Góra – Kostrzyn, 128 s.

*Lasy Zielonogórskie na przestrzeni dziejów. Kulturowa rola lasu w dziejach*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 262 s.

Inetta Nowosad, *Autonomia szkoły publicznej w Niemczech. Poszukiwania – konteksty – uwarunkowania*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2008, 528 s.

*Scriptura, diploma, sigillum. Prace ofiarowane Profesorowi Kazimierzowi Bobowskiemu*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 434 s.

Alfred Siatecki, *Klucz do bramy. Rozmowy nieautoryzowane albo nieodbyte o przeszłości Środkowego Nadodrza*, Muzeum Ziemi Lubuskiej, Zielona Góra 2009, 218 s.

Adam Siedlecki, *Zachwył. Poezje*, Akcydens, Szczecin 2007, 32 s.

Ireneusz Sikora, *Młoda Polska i okolice*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 256 s.

Henryk Szyłkin, *Wiersze rozpraszone*, ART-DRUK, Zielona Góra 2009, 48 s.

Maria Barbara Topolska, *Przemiany zachodnioeuropejskiego pogranicza kulturowego pomiędzy Bugiem a Dźwiną i Dnieprem*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 498 s.

Bogdan Trocha, *Degradacja mitu w literaturze fantasy*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 430 s.

Aleksandra Urban-Podolan, *Poezja Bułata Okudźawy. Między praktyką a interpretacją*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2008, 276 s.

Ryszard Zaradny, *Władza i społeczność Zielonej Góry w latach 1945-1975*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2009, 714 s.

*Ze studiów nad literaturami i językami wschodniosłowiańskimi*, Uniwersytet Zielonogórski, Zielona Góra 2008, 424 s.

# AUTORZY NUMERU

## **Urszula M. Benka**

Pisarka, doktor nauk humanistycznych. Była stypendystką rządu francuskiego, Europejskiej Organizacji Niezależnych Intelktualistów w Paryżu, dwukrotna stypendystka Ministerstwa Kultury w Polsce oraz Rządu Saksonii. Twórczość Benki była tłumaczona na wiele języków, m.in. na angielski, czeski, fiński, francuski, niemiecki, szwedzki, rosyjski.

## **Dorota Cygan**

Germanistka (studia we Wrocławiu i Berlinie); specjalizuje się w krytycznej recepcji literatury niemieckiej lat 30. XX wieku. Tłumaczy dla programów transgranicznych, prowadzi kursy językowe.

## **Anna Dragan**

Dziennikarka „Przeglądu Konińskiego”, autorka książek.

## **ks. dr Andrzej Draguła**

Absolwent KUL-u, doktor teologii. Obecnie zajmuje się pograniczem homiletyki, teologii ewangelizacji, teologii mediów i teologii kultury. Pracuje nad monografią pt. *Teologia internetu* oraz prowadzi kwerendę do pracy habilitacyjnej: *Teologiczna interpretacja transmisji liturgicznych „live”*. Zastępca dyrektora Instytutu Teologiczno-Filozoficznego im. Edyty Stein w Zielonej Górze.

## **Jan Andrzej Fręś**

Ur. 1947 w Katowicach. Dr nauk humanistycznych, filolog polski, teatrolog. Pracuje na UZ i współpracuje z Teatrem Lubuskim.

## **Lidia Głuchowska**

Historyk sztuki i literatury, animator kultury. Doktoryzowała się w 2004 r. na Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie. Od 2005 r. prowadzi zajęcia z historii sztuki i kultury na Uniwersytecie Europejskim Viadrina oraz Uniwersytecie Zielonogórskim.

## **Karol Graczyk**

Ur. w 1984 r. w Gorzowie Wlkp. Uprawia poezję, prozę, zajmuje się dziennikarstwem. Laureat konkursów poetyckich. Stypendysta Prezydenta Gorzowa Wlkp.

## **Marek Grewling**

Ur. się w 1963 r. w Gorzowie Wlkp. Nauczyciel historii, absolwent teologii biblijnej. Autor 6 książek poetyckich, inicjator wydań antologii, autor aforyzmów, wierszy, esejów, recenzji i artykułów publicystycznych; współpracownik „Pegaza Lubuskiego”. Od roku 2003 jest członkiem Związku Literatów Polskich.

## **Beata Patrycja Klary**

Poetka, publicystka, stypendystka prezydenta Miasta Gorzowa. Zastępca redaktora naczelnego „Pegaza Lubuskiego”, sekretarz RSTK w Gorzowie Wlkp. Autorka książek i arkuszy poetyckich, prac krytyczno-literackich, recenzji, wywiadów publikowanych w pismach regionalnych i ogólnopolskich.

## **Janusz Koniusz**

Ur. w 1934 r. w Sosnowcu-Niwce w rodzinie górniczej. Poeta, dziennikarz, redaktor antologii wierszy, opowiadań, reportaży, baśni i legend lubuskich, pamiętników mieszkańców Środkowego Nadodrza oraz osób niepełnosprawnych. Opublikował kilkanaście zbiorów wierszy, opowiadań oraz esejów historyczno-wspomnieniowych. Autor słuchowisk radiowych i widowiska telewizyjnego. Laureat konkursów literackich, członek ZLP.

## **Viktoria Korb**

Ur. się w Kazachstanie, wychowała w Warszawie. Dwujęzyczna (polski, niemiecki) pisarka, publicystka, autorka publikacji naukowych, dziennikarka. Współpracowała z Radiem „Wolna Europa”, „Gazetą Wyborczą”, „Sztandarem”, „Głosem Wlkp.”, berlińskim radiem „MultiKulti” i „Deutsche Welle” oraz „Kurierem Berlińskim – Polonica”.

**Paulina Korzeniewska**

Młoda zielonogórska poetka; wydała autorski tomik, dotychczas publikowała m.in. w internetowym miesięczniku PKPzin i antologii pokonkursowej *Przeciw poetom*.

**Zbigniew Kozłowski**

Prozaik, laureat „Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2004”, autor powieści historycznych.

**Konrad Krakowiak**

Ur. w 1979; redaktor telewizyjny, copywriter, organizator działań kulturalnych, lektor radiowy i telewizyjny.

**Rafał Krzywiński**

Absolwent politologii UZ; dziennikarz, reportażysta, autor opowiadań, redaktor bądź współpracownik lokalnych periodyków („Polska The Times Lubuskie”, „Tydzień Lubuski”, „Życie Nad Odrą” i „Twój Rynek.pl.”, „LiteraT”).

**Michael Kurzwelly**

Ur. w 1963 r. Niemiecki artysta (dyplom z malarstwa w Alanus Kunsthochschule w Alfter/Bonn); studia ukończył w Poznaniu, gdzie prowadził. Międzynarodowe Centrum Sztuki. Wykładowca na Uniwersytecie Viadrina we Frankfurcie n.O (kulturoznawstwo), współpracownik Stowarzyszenia Artystyczno-Edukacyjnego Magazyn. Najbardziej znane projekty to: „Słubfurt” oraz „Biała strefa”.

**Anna Kwapisiewicz-Sevens**

Ur. w 1957 r. w Zwoleniu. Muzyk, poetka. Absolwentka PWSM w Bydgoszczy i Lemmens Instituut w Leuven w Belgii. Studiowała także pedagogikę i religioznawstwo. Pracowała jako muzyk w Filharmonii im. Bairda oraz jako nauczyciel w PSM I i II st. w Zielonej Górze. Publikowała w lokalnych i ogólnopolskich periodykach literackich. Laureatka konkursów i nagród poetyckich. Mieszka i pracuje w Belgii.

**Magdalena Poradzisz-Cincio**

Absolwentka historii sztuki Uniwersytetu Wrocławskiego, doktorantka.

**Alfred Siatecki**

Ur. w 1947 r., autor powieści, zbiorów opowiadań i reportaży, słuchowisk oraz bio-bibliografii pisarzy Środkowego Nadodrza. Laureat prestiżowych nagród literackich. Pracuje jako dziennikarz w „Gazecie Lubuskiej”.

**Marcin Sieńko**

Doktor filozofii, specjalizuje się w filozofii kultury, w szczególności w problematyce mediów. Pracuje w Instytucie Filozofii Uniwersytetu Zielonogórskiego w Zakładzie Estetyki i Filozofii Kultury.

**Ewa Slaska**

Polska pisarka, dziennikarka i organizatorka projektów. Mieszka od 24 lat w Berlinie. Jedną z inicjatorek Polsko-Niemieckiego Towarzystwa Literackiego (WIR), obecnie jego przewodnicząca. WIR wydaje (nieregularnie) polsko-niemiecką edycję literacką o tej samej nazwie; organizuje warsztaty, imprezy i projekty z zakresu pol.-niem. zagadnień kulturalnych, w tym również wystawy, wieczory autorskie i projekty wraz z Galerią ZERO. Od 2003 r. Galeria ZERO jest siedzibą Towarzystwa.

**Czesław Sobkowiak**

Ur. w 1950 r., poeta, krytyk literacki, współpracownik regionalnych i ogólnopolskich pism literackich.

**Magdalena Stolarska**

Absolwentka zielonogórskiej polonistyki, obecnie doktorantka w Instytucie Filologii Polskiej UZ.

**Agnieszka Szpyłma**

Studentka filologii polskiej UZ. Uczestniczka Dyskusyjnego Klubu Książki przy Wypożyczalni Główniej WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze.

**Stanisław Turowski**

Prezes Gubińskiego Towarzystwa Kultury, nauczyciel, publicysta, regionalista, działacz kultury.

**Grażyna Zwolińska**

Dziennikarka. 25 lat pracowała w prasie wrocławskiej. Po przeprowadzce w 1994 r. do Zielonej Góry, związała się z „Gazetą Lubuską”. Specjalizuje się w szeroko pojętej tematyce społecznej.



KSIĄŻKI OFICYNY WYDAWNICZEJ  
WOJEWÓDZKIEJ I MIEJSKIEJ BIBLIOTEKI PUBLICZNEJ  
IM. C. NORWIDA W ZIELONEJ GÓRZE



